

STANISŁAW GERLACH

Z
TASZKENTU



Wojna 1914-18
DO
KRAKOWA

NAOKOŁO ŚWIATA

PAMIĘTNIK UCIECZKI OFICERA
POLAKA Z NIEWOLI ROSYJSKIEJ

————— CZĘŚĆ II. —————

WYDAWNICTWO KOZJAŃSKICH
WARSZAWA - KRAKÓW.

STANISŁAW GERLACH

Z TASZKENTU DO KRAKOWA

NAOKOŁO ŚWIATA

PAMIĘTNIK UCIECZKI OFICERA POLAKA
Z NIEWOLI ROSYJSKIEJ.

CZEŚĆ DRUGA.



WYDAWNICTWO KOZIAŃSKICH WARSZAWA-KRAKÓW.

GDANSKI
ANTYKWIARIAT KRAKOWY

A. Koziański
Gdańsk 6, Karłowicza 15

184-3:2/210.2).4

WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE.

MM36/1



OKŁADKA I OZDOBY WEDŁUG PROJEKTU ART-MALARZA
WACŁAWA BOROWSKIEGO.



CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ I.

....

Z Pekinu do Nankinu. W pułapce. Przyjazd do Shanghaju. Japoński okręt. Czekanie na odjazd.

Dnia 1. sierpnia 1916 r. o 9-ej rano znalazłem się znowu na peronie kolejowym w Pekinie, aby udać się w dalszą drogę do Shanghaju. Czułem się zadowolonym, że w końcu wydostanę się z tego miasta, które wprawdzie jest oryginalnem i interesującym — ale gdzie człowiek mimo wszystko czuje się zawsze obcym, wśród narodu, z którym żyć się niepodobna Europejczykowi, którego po dwóch miesiącach już się ma dosyć.

Kiedy pociąg ruszył z miejsca i po kilkunastu minutach wyjechał poza mur otaczający Pekin, odetchnąłem z ulgą, jakbym wydostał się z więzienia. — Pogoda była ładna, słońce przygrzewało coraz silniej, a my mknęliśmy z całą szybkością pomiędzy zielonymi polami i łąkami, zmierzając w stronę Tientsinu.

Dwunasta dochodziła, kiedy zajechaliśmy na stację

kolejową tego miasta. Trzeba się było przesiąść do innego pociągu, odchodzącego w stronę Pukowa. Ponieważ do odjazdu było prawie godzinę czasu, wszedłem do wagonu restauracyjnego, aby zamiast prażyć się na słońcu, zjeść powoli i spokojnie obiad. W wagonie pustki; jedna jedyna amerykanka, którą znałem jeszcze z widzenia z Pekinu, siedziała o parę stolików odwrócona plecami do mnie. Naprzeciwko niej przy drzwiach prowadzących do pokoju restauracyjnego II. klasy siedziało dwóch chińczyków, którzy łechcąc swoje wargi końcem języka, wpatrywali się w nią uporczywie swym bazylijszkowym magnetycznym wzrokiem, jakby ją chcieli zahypnotyzować. Widać i czuć to było, iż amerykanka mimo całego oporu i walki wewnętrznej ulegała sile wzroku, hypnotyzujących ją chińczyków. Jakby z trudem, z wysiłkiem formalnym wstała wreszcie i zmieniła miejsce odwracając się tym razem plecami do nich.

Po pewnym czasie pociąg ruszył w drogę i dzień ten jak również i następny jechaliśmy pomiędzy samymi polami i łąkami, zatrzymując się tylko od czasu do czasu na małych stacyjkach chińskich. Po drodze na stacjach tych stały wszędzie warty, złożone z chińskich żołnierzy; atoli żołnierze ci różnili się zupełnie tak z wyglądu jak i umundurowaniem od żołnierzy służących w Pekinie. Armja bowiem w Pekinie nosi mundury koloru żółtego, twarze golone, włosy krótko strzyżone. Tymczasem żołnierze, których tu spotykałem mieli ubranie niebieskie, długie warkocze i słomiany kapelusz, a ten ostatni u każdego żołnierza był innego fasonu. W czasie przyjazdu pociągu na stację, przyby-

wały nieraz patrole kawalerji. Jeźdźcy ci siedzieli na małych konikach, które z miejsca puszczały galopem. Broń, a w szczególności karabiny, mają porozmieszczane na sobie w najrozmaitszy sposób. I tak jeden trzyma karabin przed sobą gotowy do strzału, drugi kawalerzysta ma go przewieszonym przez prawe lub lewe ramię, lub przez plecy, raz lufą do góry to znowu lufą na dół. Spadający z karku długi warkocz dopełnia charakterystyki tej straży nad wyraz śmiesznej.

Na łąkach, pomiędzy którymi stale jechaliśmy, pasły się stada bawołów. Ponieważ łąki te są bagniste, a pasące się na nich bydło dość głęboko zapada się, stojąc po kilka godzin w wodzie, więc chińczycy chcąc tego uniknąć kładą się na grzbietach pasących się bawołów i tak leżą na nich całymi godzinami, dopóki nie powrócą do domu.

Na drugi dzień popołudniu dojechaliśmy do stacji kolejowej Puków, gdzie trzeba się było przesiąść na statek parowy, który przeprowiał się na drugą stronę rzeki i dojeżdżał do miasta Nanking.

Kiedyśmy dojeżdżali do stacji Puków, wszedł do pociągu chińczyk w mundurze i wtykał bez pytania każdemu pasażerowi do ręki jakąś zadrukowaną po chińsku kartkę. Nie wiedząc co ta kartka oznacza, w przypuszczeniu, że jest to zwykły anons reklamujący hotele, z czystym sumieniem i spokojem kartkę tę podarłem i rzuciłem na podłogę. Niedługo potem wysiadamy wszyscy na stacji. W oddali widnieje duży budynek stacyjny, odległy od nas o jakie tysiąc metrów. Wiedziałem tylko tyle, że tutaj mam się przesiąść do innego pociągu, którym pojedę dalej. Atoli gdzie się ten

pociąg znajduje nie miałem zupełnie pojęcia. Pytać się zaś o to było zbytecznem i bezcelowem, gdyż dookoła mnie byli tylko chińczycy. Wołam więc tragarza, który zabiera moje rzeczy i z falą ludzi potoczyłem się naprzód. Przeszliśmy jedną i drugą bramę i minęli wysoki parkan otaczający stację. Następnie wzdłuż budynku kolejowego wraz z całym tłumem ludzi postępując naprzód znalazłem się na ulicy, a następnie na statku. Kiedy już wszystkie pakunki naładowano, a pasażerowie zajęli swe miejsca w I. II. lub III. klasie, odbiliśmy od brzegu i popłynęliśmy ku brzegowi przeciwnemu, na którym leży miasto Nanking, Byliśmy już na środku rzeki, kiedy podszedł do mnie elegancko ubrany chińczyk w mundurze oficera okrętowego i zażądał po angielsku biletu. Zrobiło się małe nieporozumienie, gdyż oficer z początku wziął mnie za takiego pasażera, który lubi jeździć darmo; w końcu jednak wyjaśniło się, że kartka którą podarłem w pociągu była właśnie biletem na przejazd tym parowcem z Pukowa do Nankingu. Za tę nieostrożność, trzeba było zapłacić frycowe w postaci dolara chińskiego.

Formalne stado tragarzy rzuciło się na nas przy wysiadaniu, chcąc odnieść pakunki ze statku, a druga taka sama zgraja czekała już z riksami, aby nas odwiedzić z przystani na stację kolejową, gdzie się właśnie znajdował pociąg idący wprost do Shang-haju. — Miasto Nanking brudne, zabłocone, a wazkie jego uliczki robiły bardzo przykre wrażenie. Cuchnęło na każdym kroku od brudu i niechlujstwa. Zajechawszy przed stacją oddałem rzeczy na przechowanie, sam zaś udałem się na poszukiwanie restauracji. Ponieważ w bliz-

kości niebyło żadnej jadalni, więc zwróciłem się do jednego z rikszmanów, stojących przed dworcem kolejowym, żądając aby mnie zawiózł do „German“ restauracji.

Jeden z nich, chłopak młody, może czternastoletni oświadczył, że wie gdzie się „German“ restauracja znajduje i że mnie tam zawiezie. Ruszyliśmy z miejsca i niedługo potem znalazłem się przed budynkiem otoczonym wysokim murem. Przez otwartą bramę wjechaliśmy na obszerne podwórze, gdzie wskazano mi drzwi, prowadzące rzekomo do niemieckiej restauracji.

Wszedłszy do środka zobaczyłem dosyć mały pokój, w którym były tylko dwa małe stoły. Przy jednym z nich grało dwóch mężczyzn w karty. Przy drugim siedziała kobieta. — Zapytałem czy tu jest restauracja niemiecka i czy można dostać co do zjedzenia, naco jeden z grających odpowiedział w języku niemieckim, że tak. Następnie prosił abym usiadł i zapytał skąd przybywam, czy może z Syberji, wyjaśnił, że on jest Niemcem, zaś towarzysz grający z nim w karty Francuzem, ale mówi po rosyjsku. W końcu rzucił niby od niechcienia pytanie, czy jadę sam czy jedzie nas więcej, a rzekomy Francuz zapytał łamanym językiem rosyjskim czy mówię po rosyjsku?

Odrądomyśliłem się, że wpadłem w jakąś pułapkę i że nie mam tutaj czego szukać, — lecz przeciwnie że trzeba jak najprędzej stąd się wydostać. Odpowiedziałem więc tylko, że jestem Niemcem kupcem z Tientsinu, że zamawiam tutaj kolację, ale ponieważ nas jedzie więcej i koledzy moi czekają na mnie w mieście, więc pójdę po nich i przyprowadzę ich tutaj.

Tymczasem rzekomy niemiec starał się mnie formalnie siłą wciągnąć do środka, nalegając gwałtownie, abym tylko zajął miejsce przy jednym ze stolików. Nie zważając na to wyszedłem copędzej z tego podejrzanego mieszkania. Szybkim krokiem przebiegłem podwórze, wskoczyłem do czekającej jeszcze ciągle na mnie rikszy i kazałem jechać galopem na stację, aby jak najprędzej oddalić się od tego miejsca. Byłem tak przejęty całym tem zajściem, jak również oburzony na chińczyka, który z pewnością był nastawiony przez rosjan lub anglików, że byłbym go na miejscu z całą przyjemnością obikł. Ale nie było rady, musiałem skorzystać z jego usług, bo któżby mnie był wywiózł z tej pełnej zakamarków dzielnicy.

Koniec końców dowiedziałem się dopiero w Shang-haju, że rzekoma niemiecka restauracja była angielską, zaś dwaj panowie którzy ze mną rozmawiali byli detektywami nastawionemi przez rząd rosyjski i angielski, aby łapać żołnierzy i oficerów austriackich uciekających z niewoli rosyjskiej ze Syberji. Riksha zaś którym jechałem był poprostu płatnym stałym policjantem mającym za zadanie wszystkich dopytujących się w Nankinie o Niemców odwozić i wprost oddawać w ręce detektywów rosyjskich.

Przybywszy na stację przebrałem się copędzej od stóp do głowy, w białe ubranie; gdyż byłem pewny, że nie na tem się skończy i że detektyw angielski pojedzie za mną do Shang-haju i tam dalej śledzić będzie. Może w pół godziny później, kiedy już wygodnie siedziałem w wagonie, i spokojnie wyglądałem przez okno, zauważyłem naraz jakiegoś mężczyznę, który idąc od

wagonu do wagonu lustrował skrupulatnie wszystkich gości, szukając z pewnością mnie. Lecz zmienione ubranie, a wskutek tego i zupełnie inny wygląd zbiły go niezawodnie z tropu.

Na drugi dzień o 7-ej rano byłem już w Shang-haju. Ruch przy wysiadaniu, jak zwykle był bardzo wielki i z trudnością przedostałem się do bramy wychodniej, gdzie falanga rikszy-kulisów rzuciła się na mnie z zjadłością. — Wykrzykiwali wszystkie konsulaty po kolei, proponując swoje wózki. Ostrzeżony jednak jeszcze w Pekinie, bym się nie dał złapać pierwszemu lepszemu nastawionemu rikszy-kulisowi, który wprawdzie przyrzeknie pojechać do konsulatu austriackiego, ale w rzeczywistości zawiezie mnie do ambasady rosyjskiej, — a nadto mając świeżo w pamięci wczorajsze zajście w Nankinie, odganiałem wszystkich natrętów od siebie posługując się nawet laską. W końcu wzięwszy jakiegoś rikszy który najwięcej wzbudził we mnie zafania ruszyłem w stronę konsulatu austriackiego.

Pogodny dzień dodawał jeszcze więcej uroku wrażeniu, jakie wywołuje zawsze zjawienie się w dużem, obcym mieście. Szerokimi asfaltowanymi ulicami jechałem do miasta, wśród wysokich piętrowych budynków, zbudowanych na sposób europejski. Świeżo polane wodą czyste ulice, chłodne powietrze, jasno wypogodzone niebo i spokój w mieście spowodowany wczesną godziną, nastrajały sympatycznie.

Kiedy znalazłem się w Konsulacie, generalny Konsul Dr. Bernauer, przyjął mnie nadzwyczaj uprzejmie, a podprowadziwszy do swego sekretarza polecił mu poinformować mnie w sprawie wyjazdu do Ameryki.

Jak się zaraz z początku rozmowy przekonałem, depesza z Pekinu donosząca o moim przyjeździe była już od dwóch dni w Shang-haju.

Sekretarz przedewszystkiem począł się dopytywać, czy mam jakie dokumenty przy sobie, a szczególnie te, za którymi przybyłem z Rosji do Pekinu. Odpowiedziałem tak, wyjaśniając równocześnie, że moja rosyjska przepustka nadejdzie tu dziś lub jutro pocztą, ponieważ nie chciałem dokumentów tych wozić ze sobą.— Wtenczas sekretarz zaczął przeglądać w angielskiej gazecie ogłoszenia poszczególnych kompanji okrętowych, zawiadamiające podróżnych o odjeździe swych statków, mówiąc równocześnie przez nos jakby od niechcenia: „Pan pojedzie dalej! O to nie ma obawy, jeżeli jak pan mówi, potrafi się pan rozmówić po rosyjsku i angielsku. Zobaczymy tylko, jakie okręty w tych dniach odchodzą. Zdaje się jednak, że będzie pan musiał jechać okrętem japońskim, gdyż chiński „China-Shipp“ (Czajna Szip) odchodzi dopiero za miesiąc“. — Mówiąc to przeglądał uważnie listę okrętów odchodzących w tym miesiącu do Ameryki. Naraz zatrzymał się i patrząc na mnie bystro odezwał się: 13 sierpnia odchodzi z Shang-haju do Ameryki „Kamakura—Maru“, tym okrętem japońskim pan pojedzie dalej.

Zgłupiałem poprostu usłyszawszy te słowa. Jakto, ja, oficer austriacki, mam siadać na okręt japoński i jechać nim do Ameryki? — Poco? chyba po to aby uciekły z jednej niewoli dostać się do drugiej!

Mówię więc do sekretarza: czyż to jest możliwem, abym ja jechał na okręcie japońskim? Pan chyba za-

pomina o tem, że jestem oficerem austriackim, a na razie jeszcze ciągle jeńcem rosyjskim. Chyba pan nie chce, abym się znowu dostał do niewoli japońskiej. A grozi mi to niezawodnie, jeżeli tylko wpadnę na statku w podejrzenie.

„Bądź pan spokojny, — odzywa się na to sekretarz. — To jest jedyny okręt, którym pan może się dostać do Ameryki. Pojedzie pan bezpiecznie i spokojnie. Wielkie jednak pytanie, czy jakie miejsce jest jeszcze wolne na okręcie i czy dostanie pan bilet jazdy. W obecnych bowiem czasach, bilety na dwa miesiące naprzód bywają wykupywane. Proszę więc przyjść do mnie, po otrzymaniu dokumentów z poczty, ja zaś tymczasem zasięgnę informacji co do biletów“.

Na tem, na razie rozeszliśmy się. Wyszukawszy sobie bezpieczne mieszkanie sprowadziłem się tam, aby poczekać na odjazd okrętu.





ROZDZIAŁ II.

Shang-haj. Wizyta u konsula austriackiego. Zwiedzanie miasta. Film wojenny. Staranie o paszport. Sfałszowana wiza. Wyjazd okrętem do Japonji.

Shang-haj jest miastem nawpół chińskim, nawpół europejskim. Dzielnica chińska zupełnie podobna do pekińskiej i ma wygląd czysto handlowy; natomiast dzielnica europejska jest zabudowaną pięknymi willami, z których każda jest w innym stylu. — Wszystkie mają od frontu piękne werandy i ogródki kwiatowe. Werandy zasłaniane są w dzień grubemi słomianemi matami, a gdy słońce zaczyna powoli zachodzić podnoszą je do góry. Na werandzie zaś zasiadają mieszkańcy do podwieczorku.

Część europejska dzieli się na tak zwane koncesje, to jest dzielnice; austriacką, niemiecką, angielską, francuską, rosyjską, japońską, włoską.

W dzielnicach tych mieszkają wyłącznie obywa-

tele danego państwa. Zostały one okupowane krwią i życiem marynarzy sprzymierzonych państw europejskich podczas powstania „boxów“ w r. 1912 i dlatego ziemia w tych dzielnicach jest już obecnie własnością nie Chin, tylko danego państwa, a więc Austrii, Niemiec, Anglii i td.

Miasto Shang-haj posiada 200.000 mieszkańców, jest miastem czysto handlowem, a zarazem jednym z największych portów handlowych w Azji Wschodniej. Szeroko rozgałęziona sieć kolei elektrycznej przecina miasto we wszystkich kierunkach. — Ulice są mniej-więcej tej szerokości co i u nas, główna jednak ulica będzie miała do 40 metrów szerokości.

Idąc w dół miasta mija się bogate i pięknie urządzone wystawy sklepów galanteryjnych, tak europejskich jak i chińskich, aż w końcu dochodzi się do rzeki Jank-Sek-Jank (żółtej rzeki).

Rzeka ta właściwie jest portem, to też jest zasiana setkami okrętów, statków i łodzi rybackich, z których jedne albo stale są przywiązane, albo też pływają po rzece.

Większe okręty, które mają ponad pięć tysięcy ton, a skutkiem tego muszą się zanurzać dosyć głęboko, nie dojeżdżają do samego miasta, lecz zatrzymują się w odległości jakich 3 do 4 kilometrów w dole rzeki.

Wzdłuż lewego brzegu znajdują się małe przystanie zbudowane z drzewa, należące do rozmaitych kompanji okrętowych. Tutaj wsiadają na okręt lub też wysiadają podróżni. Przy drzwiach wchodowych każdej przystani zamieszczoną jest lista wszystkich okrętów przyjeżdżających lub odjeżdżających z Shang-haju.

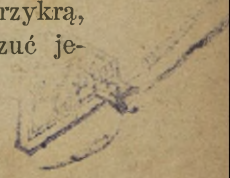
Między lewym brzegiem rzeki Jank-Sek-Jank, a ulicą Rood znajdują się ślicznie utrzymane zielone szerokie trawniki, po których odbywa się wieczorem promenada.

Ulica Rood jest to jedna z najładniejszych ulic Shang-haju. Szeroka obsadzona wysokimi rozłożystymi drzewami, ciągnie się wzdłuż rzeki Jank-Sek-Jank, a między prawym brzegiem tej rzeki a gościńcem ulicy znajdują się szerokie trawniki, poprzecinane licznymi ścieżkami: jestto miejsce wieczornych spotkań wszystkich europeczyków w Shang-haju. — Jedna rzecz zwróciła na siebie moją uwagę; otóż podczas kiedy u nas chodzenie po zielonych trawnikach jest zabronione, to tutaj przeciwnie wszyscy na sposób amerykański spacerują po zielonej murawie, jakby po zwykłej łące. W dalszym ciągu tej ulicy już niedaleko mostu na rzece wpadającej do Jank-Sek-Jank znajduje się duży park z pięknymi drzewami palmowemi, bananami, oleandrami i inemi drzewami podzwrotnikowemi. Wspaniałe kwitnące oleandry, duże wielkie gałęzie wąsatych palm ciągną ku sobie mimowoli wzrok obcokrajowca. Na pagórku w środku ogrodu znajduje się altana, w której dwa razy dziennie: to jest popołudniu i wieczorem przygrywa orkiestra. — I wtenczas dookoła altany, goście rozkładają sobie leżaki, rozkładają je swobodnie na murawie i tak wygodnie, napawają się dźwiękami muzyki. — Park ten jednym bokiem przytyka do rzeki Jank-Sek-Jank. Siedząc na ławce i obserwując ruch przesuwających się po szerokim korycie okrętów, statków i łodzi ma się zupełnie złudzenie morza. Uwagę europejczyka zwracają prze-

dewszystkiem chińscy rybacy, którzy ze swych łodzi łowią siecią ryby. Rybak staje na końcu łódki i podniósłszy wysoko nad głową ręce, w których trzyma sieć, kręci się szybko w kółko na jednym miejscu, wprawiając temsamem w ruch i sieć. Po chwili silnie odrzuca ją od siebie, a ta wskutek siły odśrodkowej odlatuje daleko i w kształcie szerokiego dzwonu opada na wodę i ginie w jej nurtach. Po chwili rybak ściąga sieć już sznurkiem pod wodą jak balon, ciągnie powoli ku sobie i chwyta ryby, które wpadły do tego saka.

Temperatura dzienna w Shang-haju dochodzi przeciętnie do 45 stopni R. Upał ten jest o tyle trudniejszym do zniesienia, że powietrze jest tu bardzo wilgotne, wskutek czego około południa, jak również i po południu jest tak parno i duszno, że poprostu oddychać nie można. I podczas kiedy z rana człowiek wychodzi na ulicę zupełnie rzeźki i w najlepszym usposobieniu, to z nadejściem południa staje się zmęczonym, wyczerpanym i zniechęconym do pracy. Wilgoć unosząca się tutaj w powietrzu jest tak wielka a powietrze jest nią przesycone do tego stopnia, że chusteczka zamoczona w wodzie, a następnie silnie wykręcona i powieszona w pokoju schnie w lecie 24 godzin, jeżeli nawet czasem nie dłużej pomimo tego, że na połu jest upał przeszło 40 stopni. To też bieliznę, którą w Shang-haju oddaje się chińczykom do prania, można odebrać najwcześniej po trzech dniach z powrotem, podczas kiedy w Pekinie bielizna oddana do prania rano, na wieczór bywa już gotową.

Duszność, która przez dzień jest bardzo przykrą, daje się nowo przybyłym europejczykom, odczuć je-



szcze więcej w nocy. — Nieraz się zdarza, że obco-krajowiec do świtu samego przewraca się na łóżku nie mogąc usnąć.

Ruch tramwajowy jest wielki, a linje jego przecinają miasto we wszystkich kierunkach. Ponieważ zaś odległość z jednego końca miasta na drugi jest bardzo wielką, przeto i wozy tramwajowe są stale przepelnione.

Hotele są bardzo piękne, na sposób europejski urządzone, największe są hotel Palace i hotel Calli. Są one stosunkowo bardzo drogie, a najtańszy pokój z utrzymaniem kosztuje dziennie 8 dolarów.

Życie nocne szeroko rozwinięte. Biorą w niem udział po największej części kupcy tamtejsi, ludzie bardzo bogaci. Koncentruje się ono zaś głównie w kawiarni francuskiej, urządzonej z całym przepychem i komfortem. Ruch tam rozpoczyna się dopiero o godzinie 12-ej w nocy. Całe towarzystwo elegancko ubrane, panie w efektownych świeżych toaletach, panowie w smokingu, obsiadając stoliki, słuchają muzyki która gra na sali. Aby mieć wyobrażenie, jak ludzie wydają tutaj pieniądze wystarczy powiedzieć, że kolacja z winem na trzy, cztery osoby kosztuje 100 dolarów chińskich.

Wspomnieć jeszcze muszę o restauracji popularnego w Shang-haju berlińczyka p. Neumana, którego piwiarnia dostarczała wybornego piwa przez cały czas wojny, wszystkim ambasadom państw koalicyjnych. Ładnie urządzonej lokal, a przedewszystkiem znakomite piwo ściągało każdego wieczoru do Neumana setki gości.

Człowiek ten uchodzi obecnie za biednego kupca, gdyż posiadał w r. 1916 tylko 5 milionów dolarów

chińskich majątku. Był jednak jak powszechnie opowiadano dawniej bardzo bogatym. Oceniano go na 30 milionów dolarów chińskich, — grając jednak stale na giełdzie stracił znaczną część majątku. —

Neuman był wdowcem. Żonę stracił w ciekawych okolicznościach. Była to nadzwyczaj wysoka i silna kobieta, a przytem porywcza. Obchodziła się ona srogo ze służącymi chinkami. Za najmniejsze przewinienie biła je ręką lub harapem do krwi. Gdy tak pewnego razu znęcała się nad swoją chińską służącą, która również była dosyć silną, ta wpadłszy w wściekłość porwała za siekiere i porąbała panią formalnie na kawałki. Neuman od tego czasu nie mogąc przeboleć straty swej żony, począł grać na giełdzie i grał ze szczęściem bardzo zmiennem.

Na ulicach Shang-haju pełni służbę bezpieczeństwa, w części policja chińska, w części zaś hindusi, rekrutowani i uzbrojeni przez anglików. Policja chińska organizowaną jest wspólnie przez inne państwa europejskie i przez nie jest uzbrojona, ubierana i opłacana. — To też nie mało zdziwiłem się, kiedy pewnego razu przechodząc ulicą zobaczyłem na policjantach chińskich rzemienne pasy ze sprzączkami austriackimi, węgierskimi, niemieckimi, francuskimi i td.

Na zwiedzaniu miasta i bezcelowem wyczekiwaniu zszedł mi czas od 3-go do 10-go sierpnia, a ponieważ 13-go miałem odjeżdżać okrętem japońskim z Shang-haju, więc już od 11-go zaczęły się przygotowania do dalszej drogi. I tak najpierw otrzymałem z konsulatu austriackiego 2.000 dolarów w złocie na dalszą podróż do Ameryki. Sprawiwszy sobie przedewszystkiem nową

bieliznę, ubranie i wiele innych rzeczy koniecznych podczas drogi na okręcie, z niecierpliwością wyczeka-
wałem 12-go sierpnia, w którym to dniu miało się osta-
tecznie rozstrzygnąć; czy pojedę dalej do Ameryki,
czy będę musiał jeszcze dłużej czekać w Shang-haju.

Tymczasem stała się rzecz bądź co bądź oryginalna.
Oto do konsulatu austriackiego nadszedł via Ameryka
film kinematograficzny przedstawiający sceny z osta-
tniej wojny europejskiej, z frontu austriacko-rosyj-
skiego. Film ten wystawiony był w tak zwanym chiń-
skim parku zabawowym, to jest na terenie neutralnym,
gdzie się wszyscy europejczycy w Shang-haju podczas
wojny schodzili.

Zainteresowanie się tym filmem było tak wielkie,
że przez trzy przedstawienia, które odbyły się z rzędu
jedno za drugim sala była nabitą publicznością do tego
stopnia, że nietylko miejsca siedzącego, ale nawet sto-
jącego nie można było wieczorem przy kasie dostać.

Szczególniejsze zaś zainteresowanie wzbudziło to
przedstawienie wśród chińczyków, którzy w dwóch
trzecich częściach wypełniali przez trzy wieczory salę.

Film przedstawiał najpierw wielkie urodzaje zboża
w Austrii i na Węgrzech; następnie poszczególne sceny
z okopów austriackich, budowanie mostów na rzece,
przeprawę przez nie uchodźców galicyjskich z całym
swoim majątkiem i dobytkiem. I tak tu daleko na
wschodzie, blisko po dwóch latach, zobaczyłem dopiero
po raz pierwszy znane mi postacie i typy chłopów ga-
licyjskich i cały ich tak dobrze mi znany obyczaj!

Następnie szły obrazy przedstawiające wielkie
austriackie działa oblężnicze i skutek ich pocisków

na twierdzą Iwangród, jeźdźców austriackich w pochodzie, postępowanie piechoty naprzód pod osłoną ognia artyleryjskiego, podobizny generałów austriackich i niemieckich, a w końcu postacie cesarzy: Franciszka Józefa i Wilhelma.

Dumny i sztywny jak zawsze Wilhelm z najeżonymi do góry wąsami nie wzbudził wśród chińczyków najmniejszego zainteresowania. Natomiast, ile razy na ekranie ukazała się postać uśmiechniętego cesarza Franciszka Józefa, który równocześnie zaczął się kłaniać na wszystkie strony, oklaskom chińczyków nie było końca, a na żądanie „publiczności, stary Franio musiał się kilka razy pokazywać na ekranie filmowym“.

Na drugi dzień, to jest 12-go sierpnia poszedłem do jednego z kupców shang-hajskich, który miał mi ułatwić dostęp do kompanji okrętowej japońskiej, a tem samem wyrobić bilet i wstęp na okręt odchodzący do Ameryki. — Jakkolwiek miałem pełne zaufanie do tego człowieka, to jednak dziwiłem się bardzo, a nawet zaniepokoiłem nieco, kiedy kupiec ten zaczął ze mną wypełniać tak zwany arkusz okrętowy. W arkuszu tym, który zresztą każdy podróżny udający się okrętem z Azji do Ameryki musi wypełnić i podpisać, znajduje się cały rodowód danego gościa, a prócz takiej rubryki jak: czy jest pan żonatym czy może ma pan więcej żon? znajduje się jeszcze cały szereg pytań dosyć ciekawych: czy był pan kiedy już karany za zbrodnię, i jak długo siedział pan w kryminale? czy był pan umyślowo chorym? czy był pan kiedy w zakładzie dla obłąkanych? i td.

Wszystkiemi temi pytaniami byłem zaskoczony,

a jakkolwiek na wszystkie dawałem odpowiedź przeczącą, to jednak nie mogę sobie tego wytłumaczyć w jakim celu Ameryka zapytuje podróżnego o podobne rzeczy, do których choćby nawet i tak było, nikt się chyba nie przyzna.

Następnie udaliśmy się do japońskiej kompanji okrętowej. — Przyznam się otwarcie, że szedłem tam ze strachem i biciem serca. Bo i z jakimże dokumentem na przejazd do Ameryki tam się udawałem? W rękę miałem tylko świstek papieru, tak zwane „udostowierzenie“ czyli poświadczenie w języku rosyjskim, z którym przyjechałem z Rosji do Chin, a które, jak już poprzednio wspomniałem sam sobie sporządziłem. — Czy to wystarczy, czy nie będzie za mało, przez cały czas drogi rozmyślałem nad tem. Kiedyśmy się atoli zjawili w biurze kompanji okrętowej i pokazali mój dokument, urzędnik japończyk uśmiechnął się tylko i zapytał grzecznie: „Co to jest za papier i co on znaczy, ja nic nie rozumiem co tu napisane! Czy ten pan — dodał wskazując na mnie — ma paszport?

Pośrednik mój odpowiedział mu po japońsku, że ten właśnie papier to jest paszport.

A po jakimu to napisane — pyta znowu japończyk. Po rosyjsku odpowiada mój pośrednik.

W takim razie — mówi japończyk, — musicie iść do konsula rosyjskiego, aby wam na drugiej stronie przetłumaczył po angielsku co tu napisane. Oprócz tego niech pozwoli na wyjazd, niech da pieczęć urzędową i podpis. Inaczej nie możemy tego pana przyjąć na okręt. Wszystko to wypowiedział już japończyk po angielsku.

Struchlałem słysząc te słowa. Iść bowiem do konsula znaczyło tyle, co dobrowolnie oddać się w ręce władz rosyjskich. W dodatku jutro rano o wpół do 9-ej miałem odjeżdżać a tymczasem dzisiaj dochodziło już południe, więc i czasu nie wiele było na załatwienie jakichkolwiek formalności. Lęk, czy pojedę w ogóle jutro, obleciał mnie nie na żarty.

Wyszliśmy więc z kompanji z niczem. Ale pośrednik mój zaraz na ulicy odezwał się do mnie spokojnie:

Przetłumaczyć dokument po angielsku, to i my sami sobie potrafimy bez konsula rosyjskiego. To się zrobi w mieście, gdzie jest maszyna do pisania. O podpis i pieczęć już ja się sam postaram. Teraz rozejdziemy się a popołudniu spotkamy się o 5-ej.

Zwróciłem mu uwagę, że czasu nie ma dużo, że jutro rano mam przecież odjeżdżać i kto wie, czy się to wszystko w ostatniej chwili załatwi. Ale on odpowiedział mi tym samym spokojnym tonem: właśnie o to chodzi, żeby czasu było jak najmniej, gdyż w przeciwnym razie kompanja japońska odniosłaby się napewno do konsula rosyjskiego po informacje. A tak się wszystko po cichu załatwi, bez żadnych możliwych komplikacji. — Proszę tylko punktualnie o trzy na 5-tą zatelefonować do mnie i dowiedzieć się jak sprawa stoi. Jeżeli panu dam odpowiedź, że „pogoda jest ładna i że wyjdę wieczorem na spacer“, to będzie to znaczyć, że wszystko jest w porządku i ma pan przyjechać zaraz do mnie. Jeżeli zaś przez telefon powiem, że nie wyjdę na spacer dzisiaj, to będzie znaczyć, że nic nie dało się zrobić i nie ma

się pan po co u mnie pokazywać. — Na tem rozstaliśmy się.

Punktualnie o trzy na 5-tą telefonuję do mego pośrednika, i otrzymuję odpowiedź, że wyjdzie dziś na spacer. Siadam więc do tramwaju, jadę do niego, odbieram paszport z tłumaczeniem angielskim i pieczęcią konsula rosyjskiego i z jego podpisem, — oraz bilet okrętowy I-szej klasy.

Drogo to jednak wszystko kosztowało, gdyż 50 dolarów amerykańskich w złocie musiałem gotówką zaraz wypłacić. Uczyniłem to jednak z całą gotowością i zadowoleniem, będąc pewnym, że jutro rano odjadę okrętem.

Chodziło jeszcze tylko o to, jak się rano dostanę na tender, który miał mnie przewieźć wraz z innymi podróżnymi na okręt japoński. Bałem się brać rikszę, aby wyjeżdżając z dzielnicy, czyli tak zwanej koncesji niemieckiej razem z bagażami nie wpaść w oko detektywom rosyjskim, angielskim, francuskim i td. którzy w porcie na każdym kroku się kręcili. Bałem się również rikszoów-kulisów, którzy mogli być nastawieni przez nieprzyjacielskich konsulów w Shang-haju.

Widząc to moje zakłopotanie i niezdecydowanie generalny konsul austriacki Dr. Bernauer odezwał się z uśmiechem: największa trudność usunięta, gdyż bilet i wstęp na okręt ma już pan w kieszeni. Boi się pan rikszoów i detektywoów? Niech się pan uspokoi, nie zetknie się pan przy odjeździe z nimi zupełnie, gdyż ja pan odwożę moim ekwipażem do portu. Jutro rano o 8-ej godzinie mój powóz będzie czekał przed pańską willą do pańskiej dyspozycji.

Nocy tej nie spałem zupełnie. Jakkolwiek bardzo późno rzuciłem się na łóżko, już o świcie byłem na nogach. — Gorączka paliła mnie. Więc za kilka godzin mam zobaczyć morze, ten wielki Ocean Spokojny, o którym tak dużo słyszałem i czytałem jeszcze w latach młodości. Więc ostatecznie spełniły się moje marzenia zwiedzenia Japonji, tego kraju piękna i uroku i dostania się do Ameryki, tego kraju bogactwa, oryginalnych pomysłów, dobrobytu, wolności i ogólnego zadowolenia.

Punktualnie o godzinie wpół do 9-ej rano miał odejść tender z przystani, odwoząc gości do okrętu japońskiego Kama-Kura-Maru. O 8-ej rano miałem odjechać powozem ze swego mieszkania, a tymczasem już o godzinie 7-ej rano byłem spakowany zupełnie i jedząc na werandzie z pośpiechem śniadanie, wyczekiwałem niecierpliwie powozu generalnego konsula. — Chwile dłużyły się w nieskończoność. W końcu postyszałem turkot i przed willę zajechał piękny powóz na gumach, zaprzężony w dwa ogniste rumaki, które chwili na miejscu ustać nie mogły. Szybko i zręcznie zeskoczył z kozła boy chińczyk i zabrał moje bagaże do powozu, poczem usiadł znowu nieruchomo na swoim miejscu obok woźnicy.

Za chwilę ruszyliśmy z miejsca, a w niespełna kwadrans byliśmy już w przystani.



ROZDZIAŁ III.

Na pokładzie Kama-Kura-Maru. Granica wód żółtych i zielonych. Marzenia na pokładzie.

Udając wielce zaczytanego i zaciekawionego wiadomościami porannego dziennika, pogrążony formalnie w gazecie, siedziałem na barjerze biegnącej wzdłuż brzegu tendru. Do kabiny bowiem schodzić nie chciałem, na piętro również nie miałem ochoty się udawać, gdyż tu i tam było pełno gości, z którymi zetknięcia ostrożnie unikałem. Wolałem więc pozostać na pokładzie.

Od czasu tylko do czasu spoglądałem ukradkiem na okna stojącego naprzeciw hotelu Palace. Ztamtąd miał mnie ewentualnie obserwować sekretarz konsulatu austriackiego, z którym dnia poprzedniego umówiliśmy się w ten sposób, że on z okien swego mieszkania będzie uważał, czy ja wsiądę rano i odjadę tendrem na okręt. Na wypadek zaś gdyby mnie nie zauważył pomiędzy licznymi podróżnymi, będzie punktualnie o 12-ej w południe w kasynie niemieckim. Je-

żeli o tym czasie punktualnie nie będę na sali jadalnej, będzie to oznaczać, że odjechałem szczęśliwie.

Co do sekundy o godzinie 8-ej 30 min. tender odbił powoli od brzegu, kierując się na środek rzeki. Do okrętu Kama-Kura-Maru mieliśmy około 3-ech kilometrów drogi. Z pewnego rodzaju zadowoleniem ruszyłem w dalszą drogę, rad, że nareszcie opuszczam Azję, łąd stały i puszczam się na wody Oceanu Spokojnego. Lekko, szybko i cichutko, jak jaskółka posuwał się tender środkiem koryta, w dół rzeki. Przejeżdżamy obok trzech wielkich okrętów Loydu austriackiego: Adrji, Sylezji i Bohemji, obecnie spoczywających spokojnie w porcie Shang-haju, gdyż z powodu wojny ruszyć się im stąd niewolno. Powoli za nimi wychyla się jeden okręt za drugim, aż w końcu zauważyłem potężny kolos: umiejscowiony na czterech kotwicach „Kama-Kura-Maru“.

Tender nasz zręcznie i zwinnie jak jaskółka zatoczył koło objeżdżając dookoła Kama-Kurę-Maru i niedługo potem oparł się o pomost spuszczone z okrętu. Stanąwszy na pomoście poczułem się tak pewnym siebie i takim zadowolonym, jak gdybym wszedł nie na okręt, ale na łąd stały, na jakiejś ziemi obiecanej.

Odszukawszy swoją kabinę rozgościłem się w niej na dobre i postanowiłem tutaj przeczekać do godziny 10-ej rano, to jest chwili odjazdu okrętu z portu, nie chcąc się narazie bardzo pokazywać na pokładzie.

Tymczasem czas upływał i wskazówka coraz bardziej dobiegała godziny 10-ej. Głos syreny okrętowej odezwał się raz i drugi na znak odjazdu, poczem punktualnie o 10-ej podniesiono kotwicę okrętową i Kama-

Kura-Marū wolno, spokojnie, majestatycznie ruszył powoli naprzód.

Nie posiadałem się z radości i wybiegłem coprędzej na pokład. Ruch tu panował wielki, gdyż wszystko co jechało okrętem znajdowało się na pomoście. — Oglądam się wokół. Na lewo i prawo ciągnie się brzeg rzeki Jank-Sek-Jank a wzdłuż nich kręcą się łódki i dżonki chińskie. Na dolnym pokładzie marynarze w białych płóciennych ubraniach zwijają liny, i robią porządek na pomoście, myjąc go wodą i szorując piaskiem. Jedziemy ciągle korytem żółtej rzeki, które coraz bardziej się rozszerza. Z daleka widać pasmo gór, ciągnących się wzdłuż wybrzeża. Jakiś stary dawnej konstrukcji okręt chiński z drewnianymi masztami z dziesiątkami rei i płóciennych żagli mija nas w przejeździe. Wzdłuż brzegu rzeki na pomostkach mających kształt kładek łowią rybacy dużymi czerpakami ryby. Czerpaki te, których jeden bok będzie miał do czterech metrów długości jest stale przymocowany na końcu kładki do wiდეłek, a rybak bez najmniejszego wysiłku to dźwiga go do góry to opuszcza znowu w wodę. Znudzeni zaś rybacy swoją monotonną, nieraz zupełnie bezowocną pracą leżą leniwie na kładce i tylko od czasu do czasu podnoszą lub opuszczają odpowiednio skonstruowany drążek czerpaka.

Zbliża się południe. Na okręcie rozlega się, znany mi już dobrze dźwięk „Tam-tam“. To boy okrętowy trzymając w jednej ręce tarczę mosiężną na sznurze, a w drugiej pałkę obitą irchową skórą, uderza w nią to silniej to słabiej w talerz mosiężny, wydobywając z niego głos podobny do fali rozchodzącej się daleko

po okręcie. Jest to znak, że pora obiadowa się zbliża i goście mają zająć swe miejsca przy stole w pokoju jadalnym.

Schodzę na dół i siadam przy stole na miejscu dla mnie przeznaczonem. Dwa stoły były tylko nakryte w pokoju jadalnym pierwszej klasy. Przy moim siedział na pierwszym miejscu pierwszy oficer okrętowy, prawdziwy „Japs“ (dżeps) japoński, którego nigdy nie obchodziło. Ponadto jakieś dwie młode panienki, jakaś starsza pani, detektyw okrętowy, który miał miejsce naprzeciwko mnie, oraz lekarz okrętowy siedzący przy bocznej krawędzi stołu, na prawo odemnie.

Przy drugim stole siedział kapitan okrętowy, naprzeciw niego komisarz okrętowy, w środku zaś między nimi kilku kupców europejskich, z których niektórzy jechali z żonami.

Jeszcze w Shang-haju generalny konsul austriacki zwrócił mi uwagę, że ile razy będę miał sposobność rozmawiania z japończykami, muszę zawsze być jak najbardziej ugrzeczniejszy i ze wszystkiego, co mi będą opowiadać śmiać się do rozpuku, gdyż tak każe w Japonji zwyczaj i forma dobrego wychowania. Idąc więc za tą wskazówką siadam wesoło do stołu.

Wyjeżdżając z Pekinu, jak również i w drodze później nabrałem przekonania, że władam językiem angielskim wcale dobrze i mogę się nim porozumiewać z łatwością. Tymczasem zaraz przy stole pokazało się inaczej i jakkolwiek poprzednio obiecywałem sobie dysponować boyami okrętowymi bardzo krótko w tonie rozkazującym, jak to czynią prawdziwi anglicy, — to jednak stało się wprost przeciwnie i na razie znalazłem

sę w dosyć przykłej sytuacji wobec boya japończyka usługującego przy stole.

Boy bowiem zwyczajem przyjętym na każdym okęcie podał mi spis potraw długi jak litanja i z miną poważną czekał dalszych rozkazów. Tymczasem ja mając przed sobą cały szereg technicznych wyrażeń sztuki kulinarnej i nazw poszczególnych potraw przyrządzonych po największej części po angielsku, zrozumiałem z tego wszystkiego tylko słowa: zupa, ryba, owoce, kawa i herbata. Pozatem zaś znalazłem się w labiryncie słów i nazw potraw, z którymi nie mogłem sobie dać rady, a już ani mowy nawet nie było o tem, aby krótko ostro, po angielsku dysponować boyowi. Sytuacja więc była na razie bardzo przykra.

Nie tracąc jednak fantazji zamawiam zupę, rybę, lecz co teraz zrobić. Przejść odrazu z pominięciem innych potraw do owoców lub kawy nie można, bo przecież drudzy goście jeszcze cały szereg innych potraw zamawiają. Wyczekiwać zaś przy próżnym talerzu, aż inni dojdą do owoców lub kawy znaczyłoby to samo co ośmieszyć się z miejsca. Probuje więc szczęścia, biorę spis potraw do ręki i stojącemu obok boyowi pokazuję palcem jedną z następnych potraw. Boy robi wdzięczny uśmiech, odchodzi szybko i za chwilę przynosi mi na talerzu jakąś mizerję, którą dla konsekwencji jeść musiałem. Niezrażony jednak pokazuję palcem inny rząd na karcie, myśląc, że tym razem trafię na mięso. Boy robi jeszcze wdzięczniejszy uśmiech odchodzi szybko i po chwili przynosi mi jakiś sos w sosjerce służący do przyprawy ryżu. Tak było jeszcze trzy razy, aż w końcu zdecydowałem się na owoce

i czarną kawę, zakończywszy tem samem mój pierwszy obiad na okręcie.

Pouczony przykrem doświadczeniem zaraz po obiedzie wołam do swej kabiny boya, daję mu pięć dolarów i proszę aby mi przyniósł spisy potraw na śniadanie, obiad i kolację z kilku dni poprzednich. Przy pomocy słownika przestudjowałem to wszystko i już wieczorem przy kolacji zamawiałem potrawy zupełnie pewny siebie.

Po obiedzie wyszedłem na pokład. Dzień był bardzo piękny. Słońce unosiło się prawie prostopadle nad nami i wskazywało może godzinę 1-szą popołudniu, a jakkolwiek było ciepło, prawie że gorąco na pokładzie, to jednak powietrze nie było tak duszne i parne jak w Shang-haju.

Na zachód od nas widać jeszcze ciągle na horyzoncie pasmo gór, brzegi rzeki rozszerzają się i oddalają od siebie coraz bardziej a ciągnące się wzdłuż prawego brzegu pasmo gór widać coraz słabiej, w końcu już tylko jakby przez mgłę.

Tymczasem zaś Kama-Kura-Maru to wspina się, to opada w głębię wody, posuwając się stale naprzód. Gdzieś daleko przed nami na horyzoncie widać przesuważące się powoli dwa wielkie okręty. Blask od morza jest tak wielki i tak razi oczy, że wszyscy podróżni zakładają na oczy niebieskie okulary.

Było już około 2-ej popołudniu. Przestrzeń wody, którą płyniemy staje się coraz szersza i niedługo potem, widać już tylko morze i morze. Już dłuższy czas płynęliśmy po tem morzu, a ja spoglądając od czasu do czasu w jego głębiny, widziałem ciągle wodę zupełnie brudną, jakby żółtą. Dziwiło mnie to niepomiernie i za-

stanawiałem się nad tem dlaczego woda morska jest tutaj taka nieczysta. Dopiero kiedy około wpół do 3-ej, gdyśmy już byli na pełnym morzu, rzuciłem okiem w dal, zauważyłem ze zdziwieniem długi, jasny pas jakby jaką taśmę, położoną w poprzek przed nami na tafli morza. Z początku zdawało mi się, że jest to jakieś złudzenie optyczne, lub też odbicie się promieni słonecznych w lustrze morza. Wkrótce jednak okazało się, że pas jaśniejszy na morzu jest stale i ciągle na tem samym miejscu, i że my coraz bardziej ku niemu się zbliżamy. Równocześnie prawie przyszło mi na myśl, że my przecież dotąd płynie my po morzu żółtem i z niego dopiero mamy wyjechać na Ocean Spokojny. Że jasny pas na morzu jest to pewnie granica oddzielająca te dwie wielkie masy wody od siebie.

Tak też było i w rzeczywistości. Powoli coraz bardziej zbliżamy się do wód jaśniejszych, a kiedyśmy dojeżdżali do smugi dzielącej dwa morza od siebie, widać było najwyraźniej, jak w jednym miejscu, jakby ściana kończyły się wody morza żółtego i równocześnie okręt wjeżdżał w ścianę wód jaśniejszych koloru zielonkawatego Oceanu Wielkiego.

Tymczasem i inni goście wyszli na pokład okrętu i już to przechadzając się po pomoście, już to stojąc grupkami delectowali się czystem, świeżem powietrzem morskiem. — Biorę leżak i wyciągam się wygodnie na niem obok barjery biegnącej wzdłuż pokładu. Jasna i czysta obecnie już tafła Wielkiego Oceanu zdaje się być jakby naciągnięta, jakby naprężona. Ani jednej zmarszczki, ani jednej fałdy najmniejszej nawet fali na niej nie widać. Morze jest ciche i spokojne. To zda-

rza się dosyć często na Oceanie Spokojnym zwłaszcza w godzinach popołudniowych i wtenczas powierzchnia morza wygląda zupełnie nieruchomo, jak zwierciadło.

Dookoła nas widać tylko szerokie, rozległe masy wód. Jak daleko okiem sięgnąć jasna tafla morza, — z lądu stałego, już ani śladu.

Naraz zdaje mi się, że jakby stado ptaków zerwało się nagle z morza i uniosło w powietrze. Lecą szybko, pracując skrzydłami z jakie 400—500 metrów i naraz zapadają w morze, ginąc bez śladu. Przypominam sobie, że są to przecież nie ptaki, lecz ryby latające, o których będąc dzieckiem uczyłem się w zoologii. I znowu spokojnie na morzu i cicho w powietrzu, a tylko na przodzie okrętu słychać stale szum wody i plusk fali powstającej wskutek wspinania się Kama - Kury - Maru, prującego masy wód Oceanu Spokojnego.

Nadszedł pierwszy wieczór na okręcie na morzu. Jasna, duża tarcza słońca powoli coraz bardziej opuszcza się na widnokręgu ku morzu. Skośne jego promienie rzucają długi, szeroki odbłask, który jakby szeroka droga odbijał się na powierzchni Oceanu i uciekał w dal od okrętu ku słońcu, łącząc się z nim na horyzoncie. — Już tarcza słońca czerwona jak szkarłat opiera się krajem na widnokręgu, rozsiewając jeszcze ku górze swoje promienie. — Powoli jednak zanurza się ona coraz więcej i niezadługo różowa wstęga w tamtej stronie, znaczy już tylko zachód słońca.

Robi się coraz ciemniej. Jakaś uroczysta cisza, pełna niepewności unosi się nad morzem. Od czasu do czasu łagodny powiew ciepłego wiatru nadchodzi gdzieś od wschodu.

Już ciemno zupełnie. Gwiazdy błyszczą na jasnym niebie, księżycy jeszcze nie widać. Dziwne jakieś ciepło otula okręt, dając pewnego rodzaju zadowolenie i upojenie. — Dusza przepełniona tem wszystkim zapada w pewnego rodzaju ekstazę i człowiek mimowoli zaczyna marzyć, — tak słodko i przyjemnie jak nigdy jeszcze dotąd w życiu. — Bo jest to jego pierwszy wieczór na morzu, jego pierwsze chwile, pierwsze wrażenia na szerokim, cudnym, Spokojnym Oceanie, na tem wielkiem przestworzu.

Tymczasem coś zaczyna świtać na dalekim wschodzie. Najpierw mały rąbek, później półksiężyc, w końcu cała jasna tarcza wyłania się powoli z cichych wód morza. Długi, jasny perłący się srebrzysty poblask biegnie od księżyca w stronę okrętu, jakby jedna długa wstęga mieniająca się cudnym srebrnym połyskiem. — Jakby rozsypane na długiej szerokiej drodze brylanty, lśniły się drobne fale oceanu, muskane srebrnymi, bladymi promieniami księżyca.

Takim był ten pierwszy i szereg następnych cudnych wieczorów na szerokim oceanie.

Szeregi par przechadzają się swobodnie po pokładzie okrętu, rozmawiając więcej ze sobą oczyma, aniżeli słowami. — I czy dziwić się można, że w tym pięknym i cudnym nastroju i pierś szybciej oddycha i serce żywiej bije?

A tymczasem Kama-Kura-Maru pruł spokojnie głębie oceanu, posuwając się coraz bardziej na północny-wschód, ciągnąc za sobą długi ogon spienionej wody.



ROZDZIAŁ IV.

Detektyw okrętowy. Brzegi Japonji. Lądowanie. Kontrola policji w kabinie okrętowej. Noc japońska w zatoce.

Z gości, którzy jechali na okręcie nikt na mnie uwagi nie zwracał, nikt się mną nie interesował, z wyjątkiem jednego żyda amerykańskiego, który jak się później okazało był detektywem okrętowym. — Człowiek ten nieraz wprost natrętnie narzucał się każdemu z podróżnych swoim towarzystwem i rozmową, starając się od każdego dowiedzieć się skąd pochodzi, dokąd i poco jedzie, jaki ma paszport i tak dalej.

Podszedł on w końcu także i do mnie nawiązując ze mną rozmowę. Jakkolwiek wtedy jeszcze nie wiedziałem z kim mam do czynienia, to jednak z wyrobionej już podczas ucieczki ostrożności trzymałem się od niego zdaleka, a w odpowiedziach byłem skąpy, wymijający i ostrożny. — Ponieważ jednak mówił on biegle po angielsku, ja zaś choć władałem dobrze tym języ-

kiem, to jednak można było zaraz poznać, że nie jestem ani amerykańnikiem ani angikiem, przeto mój natrętny opiekun zapytał mnie skąd pochodzę, gdyż z wymowy widać, że nie jestem rodowitym amerykańnikiem. Odpowiedziałem mu na to, że jestem z Rosji i że jakkolwiek nauczyłem się po angielsku jako młody chłopak, to jednak w późniejszym życiu nie mówiąc dłuższy czas tym językiem, wyszedłem z wprawy.

Na to zrobił żydek uwagę: poco właściwie jadę do Ameryki, jeżeli po angielsku dobrze nie mówię i co tam wobec tego będę robił? Odpowiedziałem mu krótko, że jadę do znajomych.

Żyd jednak typowy kombinator wpadł odrazu na praktyczny pomysł. Zapytuje się mnie więc o stosunki panujące w Rosji podczas wojny, dalej, jak się wojna skończy i kto zwycięży, czy Rosja czy Niemcy? Czy polacy kochają cara rosyjskiego i czy w Rosji przyjdzie do rewolucji podczas wojny? Tak bowiem wszyscy sądzą.

Odpowiedziałem mu na to, że Rosja musi zwyciężyć, bo ma dużo ludzi i ziemi, że polacy bardzo cara kochają, bo jest dla nich bardzo dobry i żadnego innego króla mieć nie chcą. Do rewolucji w Rosji nie przyjdzie, bo jest tam ludziom tak dobrze, w szczególności zaś polakom i żydom.

Na to żyd się odzywa: Jeżeli Polakom jest tak dobrze w Rosji, to dlaczego pan jedzie do Ameryki?

Mam interes — odpowiadam na to.

Wtenczas przychodzi temu panu znakomita myśl do głowy. Wyjeżdża z Rosji (to znaczy ja) jedzie do Ameryki, ma tam interes, po amerykańsku dobrze nie mówi,

więc jest to z pewnością rewolucjonista rosyjski, który albo ucieka przed karą polityczną, albo jedzie robić propagandę rewolucyjną.

I zaczyna znowu na ten temat delikatną ze mną rozmowę. Musiałem uważać na każde słowo wypowiedziane do tego człowieka. I rzeczywiście od tego czasu nie miałem spokoju; ciągle narzucał mi swą osobę i wprost bezczelnie nagabywał pytaniami w tym rodzaju jak te, które wyżej podałem.

Chciał widocznie doprowadzić do tego poprostu zwykłą prowokacją, aby mu dać przytakującą odpowiedź, a w takim razie byłby mnie z pewnością jako rewolucjonistę rosyjskiego podejrzanego o chęć agitacji lub propagandy w Ameryce w najbliższym porcie kazał przyaresztować.

Dawałem mu zawsze wymijające odpowiedzi, wobec czego odchodził stale odemnie niezadowolony. To mu jednak zupełnie nie przeszkadzało, że w parę godzin później był znowu przy mnie i na nowo zaczynał rozmowę na ten sam temat.

Dwa pierwsze dni drogi przeszły nam dosyć prędko. Trzeciego dnia byliśmy już na morzu japońskim, zbliżając się coraz bardziej do brzegów Japonji.

Cudny widok. Wzdłuż skalistych wybrzeży posuwa się okręt po sieniej tafli morza. Falanga dzonek japońskich ze swoimi małymi, białymi kwadratowymi i rozpiętymi żaglami snuje się jak stado motyli w koło nas po morzu. Czasem jeszcze jakiś stary chiński żaglowiec o wysokiej, niezgrabnej, kształtu rogala, budowie, najeżony dziesiątkami masztów i setkami reji przesuwa się obok nas.

Trzeciego dnia rano zajeżdżamy do pierwszego portu japońskiego Moji. Stoimy chwilę zdaleka od portu celem odbycia kwarantanny. Podjeżdża komisja sanitarna, bada i ogląda wszystkich podróżnych, poczem dopiero jedziemy w głąb portu. — Marynarze zarzucają kotwicę, okręt staje na miejscu, a tymczasem już steamer podjeżdża do okrętu i tych, którzy chcą wyjść na ląd odwozi na wybrzeże.

Wysiadanie podróżnych z okrętu na ląd uregulowane jest w ten sposób, że kiedy okręt zajedzie do portu, stuart rozdaje podróżnym I i II-ej klasy kartki, na których jest wydrukowany czas odjazdu steameru (portowy statek) i przyjazdu na okręt. Dużo podróżnych wysiadło i odjechało na ląd. Ja zaś stosownie do wskazówek otrzymanych w Shang-haju pozostałem na okręcie, a nie chcąc pokazywać się na pokładzie, poszedłem do swojej kabiny, zamknąłem się i zacząłem dla zabicia czasu przeglądać walizkę z rzeczami.

Naraz słyszę silne dobijanie się do drzwi mojej kabiny, a kiedy je otworzyłem ze zdziwieniem zobaczyłem policję japońską przed sobą. — Było ich trzech funkcjonarjuszów policji, z tych jeden w mundurze oficera policji wojskowej, dwóch ubranych po cywilnemu, widocznie detektywów.

Jakkolwiek serce uderzyło mi silniej, to jednak nie tracąc rezonu poprosiłem ich grzecznie do swojej kabiny, gdzie na moje zaproszenie zajęli miejsce; oficer na moim łóżku, zaś dwaj detektywi na kanapie. Równocześnie prawie zaczęła się indagacja urzędowa.

Chcąc urzędowe miny funkcjonarjuszów policji nieco złagodzić, poczęstowałem ich papierosami. Przy-

jęli. Badanie rozpoczęło się jak zwykle w takich razach od nazwiska, imienia, liczby lat, skąd pochodzę, dokąd jadę, czy mam paszport i td.

Podałem swoje nazwisko Antoni Kamiński, za którym jechałem, pokazując równocześnie paszport. — Atoli dokument ten wzbudził w policji pewnego rodzaju wątpliwości. Nie mogli bowiem zrozumieć, co na niem było napisane po rosyjsku i to ich najwięcej zaciękaowało. A choć im tłumaczyłem, to i owo, to jednak wątpliwości ich nie rozpraszały się zupełnie. — Ostatecznie jednak jeden z detektywów, przeczytawszy na odwrotnej stronie paszportu tłumaczenie angielskie, uznał go za ważny i następnem jego pytaniem było już, jaki jest mój zawód?

Odpowiedziałem, że jestem profesorem uniwersytetu i jadę do Ameryki do Chicago. Tak bowiem zameldowałem się w kompanji okrętowej w Shang-haju.

Równocześnie jeden z detektywów podchwycił mnie pytaniem, czy może jestem profesorem matematyki i fizyki?

Już miałem odpowiedzieć potakująco, kiedy przez myśl przeszło mi, że policja japońska mając mnie w podejrzaniu i chcąc się przekonać czy rzeczywiście jestem profesorem od matematyki i fizyki zawoła którego z inżynierów okrętowych, aby mnie odpowiednio przepytął, a wtedy krucho będzie ze mną.

Odpowiedziałem więc coprędzej, że jestem profesorem języków: polskiego i rosyjskiego.

Tu muszę nadmienić, że dwaj detektywi cywilni byli nadzwyczaj grzeczni i uprzejmi. Natomiast oficer w mundurze był to prawdziwy mops policyjny. Srogi,

podejrzliwy, nieprzystępny, a choć palił moje papierosy jeden za drugim, to jednak wciąż patrzył na mnie swoją szeroką gębą jak prawdziwy pies policyjny, na złodzieja. — Oficer ten trzymał w ręce długi notes, w którym miał porobione notatki. Zapiski te odczytywał po japońsku detektywom cywilnym, którzy następnie pytania oficera zadawali mi po angielsku.

Po godzinnej indagacji i konferencji, po spisaniu protokołu, który musiałem własnoręcznie podpisać, odeszli wszyscy trzej odemnie zadowoleni. — Ja również, że się ich szczęśliwie pozbyłem.

Przez jakiś jeszcze czas pozostałem w kajucie, poczem poskładawszy rzeczy z powrotem do walizki wyszedłem na pokład.

Duża rozległa zatoka mieściła w sobie kilka okrętów i statków. Małe dżonki japońskie wprawiane w ruch przy pomocy jednego wiosła umocowanego z tyłu łodzi snuły się po zatoce we wszystkich kierunkach. — Brzeg zatoki nieco skalisty i pagórkowaty. — Na ścianach tego wybrzeża rzucone są cudne domki japońskie, tworzące jedno miasto, które terasami opada ku morzu.

Miasto ładne, czysto japońskie, ginie w powodzi drzew i kwiatów. — Popołudnie mija szybko i powoli zapada noc cicha spokojna.

Jedno, drugie, trzecie i tak dalej światło pokazuje się w oddaleniu i niedługo potem widać cudnie oświetlone wybrzeże portu. — Setki świateł migają w ciemności. Wszystkie dżonki, steamery, łodzie oświetlone różnokolorowymi lampjonami, snują się cicho po zatoce i przypominają noce i wieczory na wodach weneckich.

Gdzieś zdaleka dolatuje dźwięk mandoliny japońskiej, jakiś smętny, rzewny, rozplakany.

Wszystko to razem wzięwszy sprawia urok i wrażenie niezapomniane. Jest się tak zapatrzonym, zasłuchanym, formalnie zahypnotyzowanym, że całymi godzinami bezwiednie pozostaje się na pokładzie okrętu.— Tymczasem czas ucieka szybko, i ani się spostrzeżesz, jak północ już dawno minęła.



ROZDZIAŁ V.

Port Kobe. Ruch w porcie. Joka-iji. Kąpiel w morzu. Natrętny detektyw. Rewizja okrętu. Zgubiony i znalezione majtek.

Na drugi dzień ruszamy dalej w drogę i dnia następnego popołudniu zawinęliśmy do drugiego portu japońskiego Kobe.

W tej samej chwili, kiedy okręt zarzucił kotwicę, szarpnął łańcuchem i stanął na uwięzi, już dziesiątki galarów naładowanych węglem zaczęło go otaczać ze wszystkich stron. — W porcie tym bowiem mieliśmy nabrać węgla na całą dalszą drogę, aż do Ameryki.

Setki japończyków, mających przeładować węgiel na okręt stanęło odrazu do roboty. — Byli to mężczyźni i kobiety, z których niejedna miała przymocowane małe dzieci na plecach. — Z ciężarem tym pracowały one stale, gorliwie, niezmordowanie.

Kobiety były wszystkie w kimonach, natomiast mężczyźni, jedni byli ubrani całkowicie, mając nawet

kapelusze szerokie słomiane na głowie, drudzy zaś mieli za cały strój wążką, płócienną przepaskę na biodrach i głowę opasaną ręcznikiem. — Ręcznik ten miał chronić twarz przed sphywającym do oczu potem.

Po chwili spuszczone z okrętu na dół ku najbliższemu galarowi szerokie schody zrobione z desek umocowanych na linach. — Na każdym stopniu względnie desce stańło czterech japończyków gotowych do roboty i równocześnie rozpoczęła się praca szybka, gorączkowa.

Na dole na galarze, małemi motyczkami napełniano drobnym węglem koszyki słomiane, nieco większe od tych w jakich u nas wypieka się chleb. — Pełny koszyk węgla podawano sobie z ręki do ręki, aż doszedł do stopni. Stojący na stopniach japończycy lewą ręką łapali formalnie w powietrzu koszyki z węglem, prawą ręką podbijali go równocześnie w górę, podając robotnikom stojącym nad nimi. — Tak koszyk ten dostawał się na pokład, gdzie jechał następnie po desce, posuwany rękami coraz dalej, aż w końcu przez otwór oddawał swą zawartość — drobną ilość węgla piwnicom okrętowym.

Przez dwa dni i nocę z małą przerwą od 12-ej w nocy do 5-ej rano ładowano bez przerwy węgiel na okręt. — Dziesiątki galarów naładowanych węglem znikaly w otchłaniach okrętu, poczem odpływały z powrotem do portu robiąc miejsce nowym dziesiątkom.

Podziwiałem sprawność, pracowitość i wytrwałość tych robotników japońskich. — Od wschodu słońca aż do zachodu, ba, nawet później przy lampie elektrycznej do północy pracowali wytrwale, niezmordowanie,

bez żadnego nadzoru, zachęty lub przynaglania. — Tylko kiedy nadeszła pora obiadowa lub wieczery, podjeżdżała do okrętu łódź rybacka przywożąc robotnikom z portu małe drewniane skrzyneczki z obiadem lub kolacją. — Wtenczas dopiero praca ustawała na chwilę. — Kulisi podchodzili ku łodzi i bez ścisku bez tłóczenia się w największym porządku zabierali jeden za drugim swój posiłek.

W każdej skrzyneczce, przedzielonej na dwie części, był w jednej połowie ryż gotowany, zaś w drugiej owoce, jak naprzykład winogrona, banany, pomarańcze i tp.

Niektórzy kulisi, za całe pożywienie obiadowe mieli tylko dwa kawałki banana.

Po spożyciu obiadu lub kolacji pili wodę zaczerpniętą wprost z morza, poczem zabierali się zaraz bez żadnego odpoczynku z dawną gorliwością i zapalem do dalszej pracy.

Tak przeszły całe dwa dni i góry węgla znikwały pod pokładem.

W końcu wszystko do odjazdu gotowe. Na okręt wchodzi jeszcze nowi pasażerowie. Są nimi dwaj japońscy sekiarze i dwaj chłopcy, jak się później dowiedziałem, synowie bogatego kupca angielskiego z Kobe.

Około południa okręt rusza w dalszą drogę. Powoli wyjeżdżamy z portu i niedługo potem płynie już na pełnem morzu.

Cudnie, pięknie, ciepło na dworze, najmniejszego wiatru nie czuć w powietrzu. — Jest tak gorąco około południa, że wszyscy mężczyźni chodzą po pokładzie bez marynarki, zaś panie mają na sobie bardzo leciutkie prawie przeźroczyste kostjумы. Jedziemy ciągle ka-

nałem pomiędzy skalistemi wysepkami. Widok niekiedy wprost czarujący, tak, że oczu od niego oderwać trudno.

Następnego dnia przybyliśmy do nowego portu Joka-iji. Tym razem jednak nie dojeżdżamy do samego wybrzeża, lecz zatrzymujemy się na morzu o jakie 3 do 4 mil angielskich od brzegu.

Jakkolwiek z początku przybywanie do portów, zatrzymywanie się w nich i zwiedzanie coraz to nowych miejscowości japońskich bardzo mnie bawiło, to jednak z drugiej strony ten ciągły postój po portach zaczął mnie coraz więcej niepokoić i denerwować. — Doszedłem bowiem do przekonania, że takie zatrzymywanie się co kilka dni tylko złe skutki dla mnie mieć może, tem więcej, że w każdym porcie zatrzymywaliśmy się najmniej dzień jeden. Okręt bowiem, którym jechałem był statkiem czysto handlowym, a nie pasażerskim i dlatego w każdym porcie nawet małym zabierał tonaż, po największej części herbatę do Ameryki.

Ponieważ w Joka-iji staliśmy blisko trzy dni ładując stale herbatę na okręt, stałego zaś połączenia z lądem za pomocą tendrów nie było, więc dla zabicia czasu graliśmy na pokładzie w rozmaite gry, zaś o 11-ej przedpołudniem i o 5-ej popołudniu regularnie kąpaliśmy się w morzu. — Pierwszy raz w życiu widziałem ludzi, którzy kąpali się na otwartem morzu, urządzających formalne harce w wodzie. Pływali oni swobodnie bez najmniejszego wysiłku po kilka kwadransów. Pomiedzy kąpiącymi się byli mężczyźni i kobiety, najwięcej zaś harcował, pływając w najrozmaitszy sposób, młody czternastoletni chłopiec, syn kupca angielskiego z Kobe. Jakkolwiek jeszcze prawie dziecko czuł się już w mo-

Chillo's R. x. c.

rze jak w swoim żywiole, zanurzając się i pływając jak prawdziwy nurek.

Tak wychowują dzieci i młodzież na dalekim wschodzie, w Azji, Japonji, jak również i w Ameryce. — Tam dziecko nie wie co strach, co lęk, co bojaźń, gdyż od lat najmłodszych uczą go najrozmaitszych sportów i przyzwyczajają do wszelkiego rodzaju ćwiczeń fizycznych.

Z tymi dwoma chłopcami angielskimi zaprzyjaźniłem się później na okręcie, co o tyle było dla mnie korzystnem, że przez ciągłą rozmowę wprawiałem się coraz lepiej w języku angielskim, a powtóre trzymając się stale dwóch anglików oddalałem w mojem mylnem przekonaniu wszelkie podejrzenia od siebie.

Detektyw nie dawał mi jednak chwili spokoju, lecz ciągle narzucał swoje towarzystwo i nagabywał mnie stale pytaniami na temat rewolucji w Rosji i miłości polaków do cara. — Burzyłem się wewnątrz na sam widok tego człowieka i w innych warunkach byłbym postąpił z nim krótko, po krakowsku. W danych jednak okolicznościach ze względu na skutki i następstwa jakie by to za sobą pociągnęło nie mogłem tego zrobić i musiałem panować nad sobą, przybierając uprzejmy wyraz twarzy i udając że nie wiem o co chodzi.

Przez trzy dni, z małemi przerwami, zabieraliśmy w porcie tym ładunek herbaty.

W końcu ruszyliśmy dalej. — Trzydniowy postój w porcie na okręcie, z którego wyjść nie mogłem był rzeczą nadzwyczaj denerwującą i wprost trudną do zniesienia. — Ciągłe bowiem trapiła mnie myśl, że mogą mnie lada chwila przyaresztować, że mnie szukają.

Proste pojawienie się łodzi, barki lub nawet parowca-jachtu w pobliżu okrętu powodowało zawsze cierpięcie skóry na mnie. — To też kiedy ruszaliśmy w dalszą drogę, doznawałem pewnego rodzaju ulgi i zadowolenia, jakby odpoczynku po szalonym zdenerwowaniu i wyczekiwaniu.

Po jednodniowej podróży stajemy znowu w bliskości jakiegoś portu, którego nazwy obecnie już nie pamiętam. Ze względu na płytkość dna morskiego w tym miejscu okręt nasz ciężko naładowany i głęboko zanurzony, zatrzymał się zdala od portu. — Staliśmy tak ze dwie godziny na miejscu, gdy naraz począł się zbliżać ku nam od strony brzegu mały tender japoński, a niedługo potem dobiwszy do Kama-Kury-Maru wysadził nam na pokład japońską policję morską. — Komendant policji udał się wprost do kapitana okrętu, poczem z nim razem zeszedł do kabiny stuarta (komisarza okrętowego), od którego zażądał papierów okrętowych, a przede wszystkim listy podróżnych. — Następnie na podstawie papierów tych policja skontrolowała przede wszystkim gości jadących okrętem, a potem całą służbę okrętową, którą już poprzednio jeden z boyów przy pomocy „Tam-tam“ zaalarmował i zwołał na dolny pomost statku. — Karnie jak żołnierze stanęła służba okrętowa w dwóch szeregach, poczem funkcjonariusze policji szli za porządkiem od jednego do drugiego majtka, badali dokładnie jego papiery, indagowali go osobiście, oglądali formalnie na wszystkie strony. — Coś się im widać nie zgadzało, tem więcej, że zauważyli brak jednego z pracowników okrętowych. Zrobił się alarm i zamieszanie co najmniej takie, jakby

pękła śruba okrętowa. I szukano go tak długo, aż w końcu wyciągnięto na pokład przestraszonego, zasmarowanego. Za spóźnienie się do apelu i rzucenie podejrzenia na okręt, że pod nazwiskiem boya okrętowego jedzie ktoś podejrzany, został winny majątek przez kapitana okrętu surowo ukarany.

Już dobrze było popołudniu, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę, aby ostatecznie dnia następnego przybyć do ostatniego portu japońskiego Jokohamy.



ROZDZIAŁ VI.

Podśluchane wynurzenia detektywa. Jego koleje życia. Zamiar zdemaskowania mnie. Jokohama. Herbaciarnia i gejsze.

Od chwili, kiedy wsiadłem na okręt w Shang-haju aż do dnia dzisiejszego — a był to już dziewiąty dzień podróży, była stale śliczna pogoda. Tego dnia jednak pod wieczór zaczęło się niebo chmurzyć, a morze zlekka falować. — Pomimo tego jednak powietrze było przyjemne i okna jak zwykle dotąd w kajutach otwarte.

Wieczorem po kolacji, wróciwszy do swojej kabiny położyłem się wygodnie na kanapie i czytałem książkę. Pod oknem zaś mojej kajuty na pokładzie była ławka, na której zwykle siadywali oficerowie okrętowi.

W tym dniu wieczorem podszedł ku nim detektyw okrętowy i począł na swój sposób gawędzić z nimi. Naraz przez otwarte okno posłyszałem tego rodzaju rozmowę:

Pięć dolarów dał boyowi. Niby za co? — za to, żeby go boy skrywał w kabinie. Mówi, że jedzie do Ameryki pracować, a jak sam utrzymuje dobrze po angielsku mówić nie umie. Gdzie on tam jedzie i poco? Nie ulega wątpliwości, że jest to rewolucjonista rosyjski, który albo ucieka do Ameryki przed karą, albo też jedzie tam z rewolucyjną agitacją. — Wysiadać na ląd dużo nie chce, dlaczego? Widać, że boi się policji japońskiej. — Ja mówię, że należy nakłonić kapitana okrętu, aby wydał go policji jak tylko przyjedziemy do Jokohamy, co zresztą powinien był już dawno uczynić! Inaczej bowiem człowiek ten przyjedzie do Ameryki, a Ameryka rewolucjonistów nie potrzebuje.

Całą tę rozmowę wysłuchali oficerowie okrętowi zupełnie spokojnie, poczem jeden z nich, który wiedział o tem, że ja jadę za fałszywym paszportem odezwał się w te słowa:

Przypuszczenie, a raczej podejrzenie pana nie jest słuszne. Gdyby człowiek ten nie miał wszystkich papierów w porządku nie byłby się dostał na nasz okręt! To zaś, że jest rosjaninem, niczego jeszcze nie dowodzi. Bo czyż rosjanie nie jeżdżą naszymi okrętami do Ameryki? Że dał boyowi przy wsiadaniu na okręt 5 dolarów, to z pewnością dlatego, aby go boy lepiej obsługiwał, nie zaś w celu przekupienia. Nasza rzecz tylko badać i uważać, aby każdy podróżny miał bilet zapłacony, wszystko zaś inne należy do policji. Zresztą zobaczymy jutro co będzie w Jokohamie, a na razie nie zaprzatajmy sobie tem głowy.

Całą tę rozmowę prowadzoną w języku angielskim rozumiałem co do słowa. Zcierpłem, słysząc to wszy-

stko! Więc detektyw nie ustaje w swych zabiegach i poza moimi plecami dołki kopie podemną, chcąc spowodować moje przyaresztowanie.

Przewidywałem, że z człowiekiem tym będę miał jeszcze przeprawę nie lada, że wzięł mnie on na oko, że będzie ścigał i pilnował na każdym kroku, aby ostatecznie zdemaskować i udowodnić kim jestem, a tem samem wykazać cały swój spryt i doświadczenie. Bo jak sam utrzymywał był starym i doświadczoneym detektywem, który blisko 20 lat pracował już w swoim zawodzie. — Była więc między nami cicha, ale z całym wytężeniem prowadzona walka.

Detektyw ten będąc z pochodzenia żydem czuł do mnie jako do chrześcijanina nienawiść spotęgowaną jeszcze tem, co go w życiu, — jak sam opowiadał — spotkało. Urodził się bowiem w Rumunji. Kiedy w r. 1898 czy 1899 wysiedlono prawie wszystkich żydów z Rumunji, wygnany wraz z innymi musiał wyjechać do Ameryki. — Sam pamiętam te chwile, jak całe pociągi pełne tych wysiedleńców przejeżdżały przez Galicję do Hamburga, skąd następnie transportowano ich do Ameryki.

Los ten, jak wspomniałem spotkał także mego detektywa. Przybywszy do Ameryki przez dłuższy czas nie mógł on znaleźć żadnego zajęcia aż ostatecznie udało mu się pozyskać miejsce agenta w policji amerykańskiej. — Ztąd dostał się później do kompanji okrętowej japońskiej, gdzie pełnił służbę detektywa okrętowego.

Nie więc dziwnego, że przymusowe wysiedlenie z Rumunji odbiło się na całym życiu tego człowieka

i że z tego powodu zawsze odczuwał on żal i nienawiść do Europejczyków.

W końcu trzeci powód nienawiści ku mnie był ten, że jak powszechnie jest wiadomem żydzi w Rosji do chwili wybuchu wojny światowej w r. 1914 byli srodze prześladowani i pozbawieni tam wszelkich praw. Srogię zaś pogromy żydów w Rosji aż nadto były w pamięci wszystkich. Kiedy więc człowiek ten posłyszał, że pochodzę z Rosji, już przez to samo czuł do mnie nienawiść.

To wszystko było powodem, że z całą bezwzględnością robił wszystko, aby tylko postawić na swoim, zdemaskować mnie i przyaresztować. — Ja zaś ze swej strony broniłem się napozór niby obojętnie, a jednak wyęźlałem całą swą siłę psychiczną, aby człowieka tego uczynić dla siebie nieszkodliwym. Była to walka ciężka i niełatwa.

Słyszac więc wyżej wspomnianą rozmowę pod mojem oknem, doczekałem najpierw do końca chcąc się wszystkiego dowiedzieć. — A kiedy usłyszałem ostateczną konkluzję, wyszedłem spokojnie z kabiny, podszedłem ku ławce stojącej pod mojem oknem, na której jeszcze siedziało całe towarzystwo i spokojnie zacząłem przymykać okno, chcąc dać do zrozumienia, że rozmowę ich słyszałem dobrze.

Detektyw zobaczywszy mnie momentalnie zmienił temat rozmowy. Ja zaś porozmawiawszy chwilę z oficerami poszedłem dalej na pokład, delektując się miłem ciepłem, rozkosznego wieczoru na morzu.

Okręt tymczasem mknął cicho i spokojnie. Nad nami iskrzyło się niebo milionami gwiazd, błyszczącemi jak

drobne ogniki. Na lewo ciągnął się brzeg Japonji. W ciemności prawie że widać go nie było i tylko linję wybrzeża znaczyły dokładnie rozsiiane latarnie morskie. Były to wieże dosyć wysokie, a na szczycie każdej z nich znajdowała się latarnia obracająca się automatycznie i rzucająca światło na morze, to znowu gasnąca na chwilę. — Patrząc z okrętu na wybrzeże oświetlone latarniami morskimi miało się wrażenie, jakby przed nami ciągnęła się ulica oświetlona zwykłemi latarniami.

Na drugi dzień rano jechaliśmy już stale wzdłuż brzegów Japonji, pomiędzy małemi wysepkami. — Skaliste brzegi tychże miejscami pokryte zielenią, uprawną ziemią, gaikami lub małemi osadami ludzkimi, tworzyły przepiękne widoki. — Jak w kalejdoskopie co kilkaset metrów, zmieniają się kształty wysepek, zmienia się cała okolica.

Godzinami całemi można przestać na okręcie podziwiając te cuda przyrody, ten cudny krajobraz, ten prawdziwie egzotyczny kraj czaru i uroku.

Wkoło nas snują się stale małe dżonki japońskie, jedne zupełnie odkryte, drugie z małymi kwadratowymi żaglami, inne znowu jakby nakryte baldachimem, wspartym na czterech bambusach. — Wszystko razem wzięwszy piękne, cudne, wspaniałe. — Już samo wprawianie w ruch tych dżonek jest dosyć ciekawe, choć nadzwyczaj prymitywnie urządzone. Z tyłu przymocowane jest wiosło na kształt mniejwięcej naszego steru przy galarach. — Wiosłem tym stojący z tyłu łodzi chińczyk lub japończyk odpowiednio manipulując kraje jakby wodę raz w lewo drugi raz w prawo i wskutek tego łódka posuwa się szybko naprzód.

Okolo południa dojeżdżamy do Jokohamy. Zdaleka widać na wybrzeżu wielkie miasto z całym szeregiem kominów fabrycznych. — Okręt nasz zwalnia biegu i powoli zbliża się ku bramie wjazdowej prowadzącej do portu. Brama ta utworzona jest przez dwie wysokie tamy zbudowane z kamienia, które od południowego i północnego brzegu portu w głąb tegoż biegną ku sobie. — Końce tam tych oddalone są od siebie o jakie 500 kroków i wskutek tego tworzą bramę wjazdową. Tędy muszą przejeżdżać dla kontroli wszystkie okręty wjeżdżające lub wyjeżdżające z portu. Przejeżdżamy około różnych okrętów należących do wszelkich możliwych państw na świecie.

Widzę okręt chiński „China“ (Czajna) wracający obecnie z San-Francisko i stojący tutaj na kotwicy. Za kilka dni będzie on dopiero w Shang-haju i gdzieś około 10 września odjedzie z powrotem do Ameryki, w tym właśnie czasie, kiedy ja już będę z pewnością po drugiej stronie oceanu. — Początkowo miałem tym okrętem jechać do Ameryki, lecz zadługo było mi czekać na niego i dlatego zdecydowałem się odbyć podróż na Kama-Kura-Maru.

Tymczasem pogoda od kilku godzin zmieniła się zupełnie, i deszcz leje jak z cebra. Zimno dojmuje dotkliwie. Pomimo tego jednak ruch na pokładzie panuje wielki i wszystko co jedzie okrętem wyszło na pomost. W końcu dojeżdżamy do wielkich doków okrętowych. Są one kolosalnych rozmiarów, a budowane na kształt naszych wielkich magazynów kolejowych. — I jak pod magazyny kolejowe względnie pomost znajdujący się przed nimi podjeżdżają różne wagony, tak tutaj przed

doki, przed którymi znajduje się szerokie molo podpływają okręty. — Każda kompanja okrętowa ma swoje oddzielne doki. Powoli okręt przybliży się do molo, na którym stoją już piloci w gumowych płaszczach i kapтурach i czekają tylko aby pochwycić liny rzucone im z okrętu.

Rzeczywiście z przodu i z tyłu statku marynarze rzucają końce lin mających uwiązać okręt do silnych żelaznych słupów. Wskutek jednak ulewnego deszczu liny oślizgują się ciągle, nie można ich zakręcić a tem samem umiejscowić okrętu. — W końcu Kama-Kuramaru szarpnął się raz i drugi, wyprężył grube liny tak, że chwilami zdawało się że pękną i trzasną jak słaba nitka i ostatecznie ogromny kolos stanął na uwieży.

Ruch i zamieszanie na okręcie zwiększa się jeszcze bardziej. Na okręt wchodzi policja morska, komisja sanitarna i agenci handlowi, aby odebrać przywiezione towary. Cała falanga robotników zjawia się również na pokładzie. Zdejmują płótno a następnie deski ze składu okrętowego i przez otwór w ten sposób powstały schodzą do środka. — Równocześnie marynarze nastawiają żórawie przy pomocy których wyładowują pakunki i towary na ląd.

Huk, turkot maszyn parowych podnoszących i opuszczających windy głośny wszystko. Krzyk i nawoływania robotników rozlegają się donośnie na okręcie, na molo i w dokach. Pod okręt podjeżdżają riksze, których kulisi ubrani są w krótkie niebieskie jak i z dużymi napisami na plecach. — Na głowie zaś mają słomiane kapelusze w kształcie grzybka.

Ponieważ kontrola policyjna i sanitarna już się od-

była, przeto podróżni wychodzą szybko na ląd i zająwszy miejsca w riksach odjeżdżają coprędzej do miasta.

Tymczasem powoli zapada wieczór, ruch i zgiełk na okręcie ustaje.

Po kolacji wśród mroku nocy poczęli się pasażerowie jedni za drugimi wykradać do miasta. Korzystając z ulewy narzuciłem gumowy płaszcz na siebie i postawiwszy kaptur na głowie zamknąwszy poprzednio swoją kabinę wyszedłem również z okrętu, i wzięwszy riksę pojechałem do miasta.

Po chwili wyjechaliśmy z półmroku i dostaliśmy się na jasno oświetloną ulicę. Stary riksza kulis, człowiek już w podeszłym wieku, jak się zdaje stary wyga portowy, który już nieraz woził podróżnych do miasta, zwrócił się do mnie z zapytaniem dokąd ma jechać? Odpowiedziałem jedno słowo: gejsza.

Niedługo potem stanęliśmy przed ładnym domkiem japońskim, z którego wnętrza dochodziły smętne dźwięki japońskiej mandoliny. — Zdjąwszy obuwie wszedłem w skarpetkach, w myśl przyjętego zwyczaju, do środka, stąpając po miękkich matach rozesłanych na podłodze. Jakaś piękna japonka wprowadziła mnie do tak zwanego pokoju przyjęć, gdzie już znajdowało się kilkunastu europejczyków i japończyków. — Siedzieli oni wszyscy na miękkich poduszkach na podłodze, przed nimi zaś na niziutkich stolikach stała herbata, woda sodowa, whiskey i inne napoje.

Japonka rzuciła mi na ziemię piękną poduszkę i przysunęła niziutki stoliczek, a kiedy zająłem miejsce

ta ostatnia w klęczącej już pozie zapytała się co wezmę: herbatę, whiskey czy wodę sodową.

Tymczasem z rogu pokoju odezwały się znowu dźwięki mandoliny i smętna melodja pieśni japońskiej. — Trzy zaś inne japonki poczęły tańczyć gestykulując przytem drobnemi rączkami. Dużo uroku i powabu ma w sobie taniec japoński. — Chodząc spokojnie i giestykulując podnoszą od czasu do czasu dyskretnie jedną lub drugą nóżkę, sprawiając wrażenie małych, niewinnie bawiących się dzieci. I jakkolwiek melodje nie różnią się wiele od siebie, a ruchy wykonywane w tańcu są bardzo podobne jedne do drugich, to jednakowoż słucha się i patrzy na to wszystko z wielkiem zajęciem, ciekawością i przyjemnością, i czas ucieka bardzo szybko.

Przypadkowo spojrziałem na zegarek i ze zdumieniem zobaczyłem godzinę drugą po północy. — Opuściłem więc z żalem lokal i tą samą riksą powróciłem na okręt.





ROZDZIAŁ VII.

....

Ruch na okręcie. Zwyczaje i obyczaje w Japonji Pożegnanie Jokohamy.

Na drugi dzień rano ruch na okręcie rozpoczął się na nowo. Zaczęto bowiem przedewszystkiem ładować towary oraz bagaże podróżnych jadących do Ameryki. Wskutek tego weszło na okręt kilkunastu agentów handlowych, którzy mieli doglądać ładowania towarów. Zwyczajem przyjętym na Kama-Kura-Maru agencji ci handlowi, a może nawet i sami właściciele firm byli stale na obiedzie i kolacji na okręcie, a podejmowani i goszczeni byli w jadalni I-ej klasy.

Obserwowałem zachowanie się tych gości, gdyż często już nawet w innych portach japońskich siadali oni do obiadu i kolacji przy moim stole. — Zwykle rozmowę z nimi prowadził pierwszy oficer okrętowy zabawiając ich opowiadaniem o różnych rzeczach. Oni zaś słuchali go z natężoną uwagą i ciekawością, przy czem co chwila na znak zainteresowania się i zadowolenia wybuchali głośnym śmiechem: ha, ha, ha!

Powoli zaczęli się schodzić na okręt także podróżni jadący do Ameryki. — Przybyło ich dosyć, wskutek czego, o ile dotychczas jechaliśmy bardzo wygodnie, prawie każdy sam w osobnej kabinie, to obecnie musieliśmy się nieco ścieśnić, gdyż prawie do każdej kajuty dodano po dwóch lub trzech podróżnych.

Również i mnie przydzielono nowego gościa japończyka, z czego z początku byłem bardzo niezadowolony.

Popołudniu wyszedłem do miasta celem zwiedzenia Jokohamy. Charakter i wygląd miasta, biorąc na ogół, jest ten sam co i miast chińskich to znaczy, ten sam wygląd domów ze szpiczastymi, do góry podwiniętymi rogami dachów, ten sam charakter ulic handlowych, gdzie sklepy anonsowane są zapomocą długich wysokich tablic i chorągwi. — Jedną z główniejszych ulic handlowych jest tak zwana Isezakicho, jak również Motomachi, na których ruch panuje kolosalny. — Oryginalnie wyglądają tu japończycy w swoich kimonach. Mężczyźni ubrani są po największej części w szerokie spodnie i kimono, na głowach zaś noszą powszechnie okrągłe kapelusze słomiane tak zwane „sporciki“.

Japonki zaś w swoich szerokich kimonach z tradycyjną poduszczką na plecach i wysoko uczesaną fryzurą. Oryginalnie wyglądają matki lub niańki, niosące małe dzieci na plecach.

Wzdłuż wspomnianych ulic biegną słupy malowane, na których wspierają się podsienia ciągnące się przed domami. — Ponadto po jednej i drugiej stronie ulic znajdują się lampy elektryczne lub też lampjony, które z zapadnięciem nocy iluminują barwnie całe ulice.

W sklepach porozumieć się można bardzo łatwo, gdyż japończycy mówią bardzo dobrze po angielsku, rosyjsku lub niemiecku. — Sklepy zaś są bardzo ładnie i gustownie urządzone.

Kupując jednak w nich nawet jakąś drobnostkę trzeba być bardzo ostrożnym i nigdy nie płacić tyle ile zażąda kupiec, gdyż nieraz i połowa ceny jest jeszcze za duża.

Wyroby japońskie cechuje pewnego rodzaju oryginalność i subtelność w wykończeniu, a wszystko jest nadzwyczaj gustowne, piękne, pełne smaku i bardzo pociągające.

Główną uwagę zwracają na siebie wyroby porcelanowe, wyroby z jedwabiu i laki czerwonej, inkrustacje ze złota i t.d. — Wyroby porcelanowe zwłaszcza serwisy są nadzwyczaj delikatne i filigranowe; pominąwszy już to, że porcelana japońska jak również i chińska jest bardzo dobra, to jeszcze ponadto wyroby porcelanowe są tak misterne i delikatne, że naprzykład filiżanka chińska lub japońska jest tak cienką, prześwietlającą jak najdelikatniejszy papier, przyczem serwisy te ozdobione są cudnemi malowidłami przedstawiającymi sceny z życia japońskiego. — Takie serwisy porcelanowe, ręcznie malowane, są bardzo drogie, cena wynosi około 100 dolarów chińskich.

Odnosnie do wyrobów z jedwabiu to są one tak delikatne jak w Chinach. — Główną zaś uwagę każdego Europejczyka zwracają w Japonji sklepy z bielizną. Zwyczaj jest tutaj taki, że kobiety noszą tylko same kimona, nie używając zupełnie bielizny, natomiast mężczyźni na punkcie bielizny są wprost wybredni. — Wi-

działem nawet u ludzi pracujących fizycznie bieliznę nadzwyczaj delikatną i cieniotką. Bielizna ta robiona jest po największej części z rypsu japońskiego tak delikatnego, jak miękka bibułka. Jedni tylko robotnicy tak zwani kulisi nie używają zupełnie bielizny, a często także nie używają zupełnie ubrań, — wystarczają im przepaski.

Piękne są także wyroby z laki czerwonej. Po większej części są to wazy, wazoniki i pudełka, na których rzeźbione są sceny z życia japońskiego. — Widziałem wazy wysokości więcej niż metra, których obwód w środku wynosił z pewnością półtora metra. Robota takiej wazy trwa czasem kilka lat, albowiem wazę samą robi się przez maczanie odpowiedniej formy w rozpuszczonej lacie. — Takie zanurzanie odbywa się po kilkanaście razy, dopóki waza nie nabierze odpowiedniej grubości, następnie dopiero można ją rzeźbić. — Piękne są także inkrustacje ze złota. Tu zasługują na uwagę przedewszystkiem papierośnice, broszki, spinki, klamry do pasów damskich, bransolety, naszyjniki, łańcuszki i td. przedstawiające jakieś widoki lub sceny z życia japońskiego.

Dawniejsza szkoła używała do inkrustacji dużo złota, tak, że na przykład papierośnica inkrustowana złotem wyglądała zupełnie jakby cała pozłacana. Szkoła nowsza zostawia więcej miejsca czarnego jako tło, zaś złota używa po największej części do ułożenia konturów danego obrazu. — I tak np. papierośnica przedstawiająca japończyka uciekającego przed burzą: przez środek papierośnicy przebiega pędem japończyk, nad nim jeden lub dwa zygzaki przedstawiają burzę z bły-

skawicą; skośnych kilka przerywanych kresek przedstawiają ulewę deszczową.

Bardzo ładne wyroby inkrustowane widziałem w sklepach jubilerskich, jak np. bransolety, broszki, spinki, szpilki, łańcuszki damskie, klamry i td. — Przedstawiają one krajobrazy, a na wszystkich tych rzeczach — stale Święta Góra Fuzi-Yama. Najwięcej jednak zwracają na siebie uwagę bransolety japońskie, które składają się z szeregu ogniw, a każde ogniwo przedstawia inny widoczek minjaturowej wielkości, a wszystko tak dokładnie, wyraźnie zrobione i wykończone, że tak każda część jak również i całość jest jednym pięknym cackiem. Pięknymi są również wyroby z popielatej skóry jeleniej, jak np. portfele, torebki, a wszystkie te rzeczy ozdobione są rysunkami wypalaniem na skórze.

Ubiór japoński jest skromny, kimono służy za cały strój. Mężczyźni noszą prócz tego szerokie spodnie i kapelusze. Bogatsi japończycy noszą na nogach skarpetki o jednym palcu, jak również i sandały składające się tylko z podeszwy oraz dwóch rzemieni przymocowanych na krzyż, służących do trzymania się sandałów na nogach.

Podczas deszczu i śloty zamiast sandałów robionych z korka, słomy lub skóry, noszą japończycy sandały z drzewa. Jest to prosta deszczułka, pod którą umieszczone są pod spodem dwie podstawki drewniane. Z wierzchu deszczułki są przymocowane dwa rzemyki krzyżujące się nad stopą.

Nie potrzebuję nadmieniać, że chód w takich sandałach jest ciężki, niezgrabny i nadzwyczaj utrudniony.

To też podczas deszczu widać całe szeregi japończyków idących pod parasolami na swoich drewnianych, wysokich sandałach, robiących wrażenie chodzących manekinów.

Nadeszło południe i tegoż dnia po obiedzie okręt miał odjechać z Jokohamy. Ruch na okręcie wzmógł się jeszcze więcej. Cztery windy ładujące bagaże na okręt pracowały bez przerwy od samego rana z całą zawziętością.

Zdarzyło się właśnie, że na naszym okręcie odjeżdżała grupa akademików japońskich na studia do Ameryki. Odprowadzało ich grono poważnych japończyków z Jokohamy, którzy zatrzymali się na pokładzie aż do odejścia okrętu. — Jeden z nich, jak się zdaje przewodniczący uroczystości, wypowiedział nawet mowę do odjeżdżających studentów, żegnając ich na drogę i życząc im powodzenia w naukach i szczęśliwego powrotu do ojczyzny.

Około 3-ej popołudniu zjawiała się komisja sanitarna celem zbadania podróżnych odjeżdżających do Ameryki. — Badanie to w pierwszej klasie było prostą formalnością, natomiast podróżnych II-ej i III-ej klasy badał lekarz dokładnie.

Wkrótce przyjechała komisja morsko-policyjna, której funkcjonariusze przeszukawszy cały okręt skrupulatnie w celu wykrycia kontrabandy, pozostali na nim aż do odjazdu z portu.

W jakie pół godziny później zaczęto ładować na okręt pocztę. Ponieważ czynność tę dokonywano zawsze przed samem odejściem okrętu, więc był to jakby znak, że za parę minut ruszymy już w drogę. W końcu

rozległ się na pokładzie metaliczny dźwięk talerza mo siężnego; był to sygnał, że okręt gotów do odjazdu i każdej chwili wyruszy z portu. — Wszyscy, którzy znajdowali się na okręcie tylko przypadkowo, a więc odprowadzający podróżnych i inni zeszli na ląd, dwóch tragarzy dokowych zesunęło mostek i za chwilę Kama-Kura-Maru począł drgać, chwiać się i powoli oddalać od brzegu.

Stojąca na molo liczna publiczność, wznosi raz za razem gromkie okrzyki na cześć odjeżdżających, życząc im szczęśliwej podróży, ci zaś, zwyczajem amerykańskim ściskając własne dłonie, krzyczeli coraz głośniej Good-bye! Good-bye!

Po jakimś czasie znajdowaliśmy się już na otwartym morzu. Jeszcze ostatnia kontrola straży morskiej, jeszcze jedna rewizja skrupulatna straży finansowej, poczem i ci urzędnicy schodzą z okrętu, wsiadają do dwóch motorówek płynących dotąd razem z nami i odjeżdżają szybko do portu.

Idąc do swojej kabiny spotkałem po drodze stuarta okrętowego.

— Dobry wieczór panie stuart! — odzywam się do niego. — Jak długo będziemy jechać do Ameryki?

— Piętnaście dni bez przerwy — odpowiada japończyk z uśmiechem.

Spojrzałem w tył okrętu. Ciemna smuga lądu widniała jeszcze na zachodzie, lecz niedługo potem wszystko znikło z przed oczu, a przed nami rozciągał się nieprzejrzanym majestatycznym Ocean Spokojny.



ROZDZIAŁ VIII.

Współtowarzysz podróży. Prawdziwy profesor uniwersytetu. Wchodzę w moją przybraną rolę profesora. Dysputy ze studentami japońskimi. Ocean. Życie na pokładzie.

Kiedy wróciłem do swojej kabiny, zastałem tam już nowego towarzysza podróży. Był to japończyk, kupiec, czy handlarz ryb z Vancouver, który powracał od rodziny swojej z Jokohamy. — Przedstawił mi się zaraz, powiedział swoje nazwisko, opowiedział kim jest, a równocześnie wypytał mnie nawzajem o to samo. Dowiedziawszy się, że jestem profesorem, japończyk zrobił przyjemny wyraz twarzy i ofiarował mi do dyspozycji swoje książki angielskie, których miał dwa pełne kosze.

Przyznam się, że z początku byłem z nowego towarzysza podróży niezadowolony. Miał on bowiem dosyć odpychający wyraz twarzy, wzrok ponury, a co najważniejsza, prawie cały pierwszy wieczór przesiedział w kajucie nie wychodząc krokiem. — Już to samo, że

ciągle siedział mi na karku było dla mnie wielce denerwującym. Rano bowiem i wieczorem chodziłem regularnie do kąpieli, a przedtem musiałem się zupełnie przebrać. Japończyk, który na wszystko zwracał baczną uwagę, wszystkim się interesował i o wszystko zaraz pytał, mógł snadnie podczas ubierania się zobaczyć liczne blizny od kul nieprzyjacielskich na mojem ciele. Tego zaś najwięcej się obawiałem, gdyż to mogło mnie zdradzić w jednej chwili.

Na drugi dzień jednak przekonałem się, że mój towarzysz japończyk wyszedłszy rano z kabiny wraca do niej dopiero po obiedzie na krótką drzemkę, poczem znowu opuszcza kajutę, aby wrócić do niej późno po kolacji. Wskutek tego chwile naszej romowy były bardzo krótkie.

Zpomiedzy nowych gości, którzy w Jokohamie wsiadli na okręt, główną moją uwagę zwrócił na siebie prawdziwy profesor uniwersytetu z Nowego Yorku p. Henryk Musay, który razem z żoną i 10-cioletnim synem wracał z podróży po Azji i Japonji do Ameryki. Była to cicha i nadzwyczaj sympatyczna rodzina, nikim się nie interesująca, na nikogo nie zwracająca uwagi, a przebywająca tylko stale ze sobą. — Ona cały dzień zajęta robótkami lub pisaniem pamiętnika z odbytej podróży; on zaś wyciągnięty obok na leżaku czytał głośno synowi jak również i żonie książki angielskie. Zwróciło moją uwagę, że 10-cioletni chłopak kiedy ojciec czytał książkę, musiał uważnie słuchać, a następnie przy pomocy ojca powtórzyć treść przeczytanego rozdziału. Rodziny tej trzymałem się cały czas podróży z Japonji do Ameryki. Znajomość i przyjaźń z tymi

ludźmi była mi bardzo przydatną, temwięcej, że p. Musay dowiedziawszy się, iż jestem profesorem uniwersytetu w Warszawie, sam z obowiązku koleżeńskiego szukał mego towarzystwa i bardzo często całemi godzinami gawędził ze mną.

Gdy nadto w toku rozmowy wyszło na jaw, że jestem polakiem, p. Musay dopytywał się z całą ciekawością o historję mojej ojczyzny, wyrażał wielką sympatję dla narodu polskiego, oświadczył nawet, że jeden polak nazwiskiem Kościuszko był osobistym przyjacielem Washingtona i że do dziś dnia jest znanym i czynnym, jako bohater polak, który walczył za wolność Ameryki. — Rozmawialiśmy także o stosunkach ni byto panujących na uniwersytecie w Warszawie, biorąc naturalnie za podkład rozmowy stosunki panujące na uniwersytecie krakowskim, a kiedy mu jeszcze zacząłem opowiadać o wpisach, imatrykulacji, indeksach, tekstach, absolutorjach, egzaminach, kollokwiach, seminarjach, dziekanach i td. człowiek ten nabrał tak świętego przekonania o tem, że jestem rzeczywistym profesorem uniwersytetu, że byłby się raczej dał posiekać, a zdania swego pod tym względem nie byłby zmienił.

Towarzystwo I-ej klasy powiększyło się o dwie amerykanki, które niebawem zajęły miejsce przy naszym stole. — Jedna z nich wysoka, smukła jak topola, blondyna, druga niższa i korpulentna. Pierwsza była milczącą, i słowa przy stole nigdy nie powiedziała, natomiast druga dawała się mocno we znaki boyowi, usługującemu przy naszym stole.

Wiść o tem, że jestem profesorem uniwersytetu z Rosji szybko rozeszła się pomiędzy podróżnymi I-ej

klasy. Szczególnie zaś życzliwie i z wielkiem zadowoleniem wiadomość ta została przyjęta przez akademików japońskich, jadących na studia do Ameryki. Trzy czwarte z nich było słuchaczami filozofji, a między nimi kilku znowu filologów. Na drugi czy trzeci dzień podróży, kiedy po obiedzie wyszedłem na pokład, przystąpili do mnie gremjalnie studenci japońscy, przedstawili się i zaczęli ze mną uprzejmą rozmowę. Naraz jeden z nich odzywa się, że będąc jeszcze w gimnazjum uczył się języka rosyjskiego jak i wszyscy tu obecni jego koledzy i że znają dokładnie literaturę rosyjską.— Równocześnie poczęli wyliczać pisarzy rosyjskich, jak Gogol, Puszkina, Tołstoj i td.

Zdumiałem się słysząc to wszystko. Nigdy bowiem nie przypuszczałem, że w Japonji jest takie zamiłowanie do literatury rosyjskiej, oraz, że goście jadący z Japonji do Ameryki będą chcieli ze mną rozmawiać o niej. Ładna rzecz — myślę sobie. Dziś zaczną ze mną rozmawiać o literaturze, jutro o polityce, a pojutrze zaczną mi może paszport kontrolować. Całe szczęście, że przeżywszy całe 20 miesięcy w niewoli rosyjskiej czasu tego nie zmarnowałem. Kiedy szczęśliwie podniosłem się z łóżka, prosto z nudów wziąłem się do nauki języka rosyjskiego. Następnie zacząłem czytać gazety, a kiedy mnie i to znudziło, a innych książek pod ręką nie miałem zabrałem się do literatury rosyjskiej i przeczytałem całego Tołstoja, następnie Puszkina, Gogola, Gorkiego, Andrejewa i wielu innych pisarzy.

Znajomość przeczytanych autorów oddała mi w tych warunkach wielkie usługi.

Jeden ze studentów zachwalał Gorkiego, drugi Toł-

stoja, trzeci Puszkina i Gogola, a ja musiałem im dawać wyjaśnienia i tłumaczyć to czego w danym autorze zrozumieć nie mogli. Całe szczęście więc, że miałem o tem wszystkim pewne wiadomości dzięki czemu z całej opresji jakoś się wywinąłem.

Od tego czasu zaprzyjaźniłem się z młodymi japończykami i prawie codziennie gawędziłem z nimi po kilka godzin. Pewnego razu zapytałem się, dlaczego właściwie na dalsze studia wyjeżdżają do Ameryki, a nie jadą na uniwersytet do Moskwy, Petersburga lub Omska, które są o wiele bliżej, aniżeli Ameryka i że studia na tych uniwersytetach mniej wydatków za sobą pociągają. — Odpowiedzieli mi na to wszyscy zgodnie, że do Rosji na studia nie ma pogo jechać, bo się tam niczego nauczyć nie można, że przed wojną masa młodzieży akademickiej jak również i oni sami studjowali na uniwersytecie w Berlinie, obecnie zaś z powodu wojny z Niemcami, jadą wszyscy studenci do Ameryki i zapisują się na uniwersytet w Bostonie, Filadelfji, Nowym Yorku i td.

Na moje pytanie co będzie po wojnie, i gdzie będą wtenczas studjować, odpowiedzieli wszyscy zgodnie, że kiedy wojna się skończy, będą znowu wszyscy nadal jeździć na studia do Berlina.

Obserwowałem zachowanie się tych młodych ludzi na okręcie. Przez cały czas podróży trzymali się razem, znajomości żadnych nie zawierali, ucząc się po całych dniach. — Czasem tylko wieczorem po kolacji przychodzili gremjalnie do profesora, Musaya celem zasiągnięcia informacji odnośnie do stosunków na uniwersytecie w Ameryce. — Deputacja złożona zwykle

z czterech do pięciu akademików prowadzoną była przez najstarszego z nich japończyka, profesora jakiejś szkoły przemysłowej w Tokio — który również jechał na dalsze studia. Wszyscy stanawszy rzędem przed p. Musayem jakby na dany znak, jakby na komendę zaczęli wybijać pokłony powitalne, następnie zająwszy skromnie wskazane im przez p. Musaya miejsca zupełnie do rozmowy się nie wtrącali, słuchając z natężoną uwagą tego, co mówił ich przewodnik i co odpowiadał profesor Musay. — W całej zaś rozmowie brali oni tylko w ten sposób udział, że kiedy ich przewodnik profesor szkoły przemysłowej zadowolony z odpowiedzi p. Musaya zaczął się grzecznie uśmiechać, oni wszyscy wtenczas jakby na komendę wybuchali śmiechem: ha, ha, ha! poczem znowu spokojnie słuchali rozmowy. Po skończonej konferencji wstawali wszyscy równocześnie ustawiali się znowu w jeden rząd i oddawszy trzykrotny głęboki pokłon p. Musayowi odchodzili następnie z powrotem.

Pierwszy i drugi dzień drogi na oceanie przeszedł spokojnie, prawie niespostrzeżenie. — Niebo na nowo się roz pogodziło, jasny błękit rozpiął się nad nami, a cudny seledynowy kolor morza, jego cichość i spokój otoczyły nas.

Każdego dnia w południe jeden z majtków okrętowych schodził do przedpokoju prowadzącego do jadalni, gdzie wisiała mapa wybrzeży Azji wschodniej, Oceanu Spokojnego i Ameryki. Tutaj odmierzał na mapie na wschód od Jokohamy drogę, jaką okręt odbył w ostatnich dwudziestu czterech godzinach i odległość tę zaznaczył przez wbicie na mapie szpilki z czerwoną

chorągiewką. — Z wielkiem naprężeniem i ciekawością wyczekiwaliśmy każdego dnia o dwunastej w południe pojawienia się tego marynarza i z pewnego rodzaju zadowoleniem patrzyliśmy na przybywające na mapie chorągiewki. Było ich już trzy, a miało być wszystkich piętnaście.

Powoli zaczęło się robić na okręcie nudno. Monotonność podróży, brak wrażeń, jeden i ten sam spokojny wygląd Oceanu Wielkiego działał wprost przygnębiająco na usposobienie wszystkich podróżnych.

Czwartego dnia od wyjazdu z Jokohamy była niedziela. Leżałem jeszcze w łóżku, kiedy przez otwarte okno od strony przedniego pokładu doleciał mnie jakiś monotony, bezmelodyjny śpiew. — Ubrawszy się prędko wyszedłem z kabiny i zauważyłem na pokładzie trzeciej klasy kilkunastu japończyków, którzy stojąc kołem i trzymając otwarte książki przed sobą śpiewali chórem.

Byli to sekciarze. Po odśpiewaniu pieśni usiedli na krzesłach stojących za niemi i tworzących duże koło, poczem jeden z nich zaczął czytać coś z książki. — Wszyscy inni słuchali go ze skupieniem i uwagą, poczem odśpiewali jeszcze kilka pieśni i rozeszli się do swoich kabin. — Sekta ta pochodząca z Japonji, w ten sposób odprawiała swe nabożeństwo w każdą niedzielę. — Sekt takich religijnych jest podobno w Japonji mnóstwo.

W godzinę potem odezwał się nagle strzał na okręcie i powstał wielki ruch i zamieszanie, wszyscy podróżni wybiegli na pokład, ze wszystkich stron okrętu zaczęła się zbiegać służba okrętowa. Boye, posługacze, kucha-

rze i wszyscy profesjoniści stanęli w jednym szeregu czekając rozkazów.

Po chwili zjawił się oficer okrętowy i podzielił zebranych marynarzy na partje. Jedni zaczęli znosić węże gumowe, drudzy stanęli przy pompach i na dany sygnał pompowali wodę, zlewając nią pokład okrętu. Naprzeciwko zaś tej partji, która już pracowała, stała druga partja służby okrętowej ubrana w pasy ratunkowe, czekając na skinienie komendanta.

Był to alarm ogniowy, naturalnie fałszywy, który regularnie powtarzał się co niedziela.

Tak przechodził dzień za dniem, chorągiewek na mapie coraz więcej przybywało, a my jadąc ciągle w kierunku północno-wschodnim coraz bardziej zbliżyliśmy się do równoleżnika 180 dzielącego kulę ziemską na dwie półkule.

Opuściwszy Jokohamę jechaliśmy wzdłuż Japonji prawie przez dwa dni w odległości jakich 300 do 400 mil angielskich od wybrzeży. — Już po opuszczeniu tego ostatniego portu temperatura zmieniła się bardzo, spadając z każdym dniem o kilka stopni niżej. Im więcej zaś zbliżyliśmy się na północ, tem zimniej było na morzu, a odczuwało się to tem dotkliwiej, że wyjechaliśmy z Shang-haju w czasie wielkich upałów. Ostatecznie w czwartym, czy piątym dniu po opuszczeniu Jokohamy zrobiło się tak zimno, że cała służba okrętowa przywdziała granatowe ciepłe ubrania w miejsce dotychczas noszonych białych płóciennych. — Również i pasażerowie zmienili ubrania letnie na cieplejsze, a byli nawet i tacy, którzy przywdziali sweatery.

Dziwiło mnie bardzo, dlaczego okręt nasz zmierza-

jąc do Ameryki nie jechał w prostym kierunku przez Ocean Spokojny, Jokohama-Seattle, tylko zataczał duże półkole, którego łuk opierał się o wyspy Aleuckie i półwysep Alaskę. Jak się później dowiedziałem, na środku Oceanu Spokojnego wprost na linii Jokohama-Seattle znajdują się nieprzebite mgły morskie, przez które droga jest bardzo niebezpieczną i dlatego zakazaną.

Pewnego dnia stojąc na pokładzie posłyszałem naraź wykrzyknik: look! look! (patrz, patrz) wieloryb. Spojrzałem w kierunku wyciągniętych rąk marynarzy, lecz z początku nic nie zauważyłem. Dopiero po chwili wpatrując się w horyzont zobaczyłem małe wodotryski na cztery do pięć metrów wysokie. — Powoli zbliżamy się ku kolosom wodnym; były to rzeczywiście wieloryby. Płynęło ich może ze sześć sztuk, a długość każdego z nich dochodziła do 10 metrów.

Poruszały się wolno, cicho, spokojnie, rozsypane po jasnym morzu jak wysepki. Widok i obecność zbliżającego się okrętu zupełnie ich nie płoszył; owszem płynęły nawet w kierunku naszego parowca. — Wyglądały one na tle jasnego morza jakby bryły szklistej zieleni. Płynęły majestatycznie, obojętne pozornie na wszystko, wyrzucając tylko od czasu do czasu silne strumienie wody do góry i zamurzając się chwilami w głębinach morskich.

Na okręcie zrobił się ruch i wszystko co żyło wyszło na pokład. Zainteresowanie i zaciekawienie podróżnych wzrastało z każdą chwilą. Niektórym poprostu dech zapierało w piersiach, tak zapatrzeni zajęci byli widokiem, który pierwszy raz w życiu mieli przed sobą. Nawet oficerowie okrętu i marynarze, którzy już nieraz

podobne spotkania mieli na morzu przyglądali się ciekawie podpływającym kolosom. Żeby ich tylko nie spłoszyć, żeby tylko mózgi zobaczyć z bliska, było ogólnem życzeniem.

Tymczasem Kama-Kura-Maru wspinał się niedbale po falach, płynąc coraz dalej, a równocześnie wieloryby podpływały coraz bliżej okrętu, starając się jakby przeciąć jego kierunek. — Już widać je na jakie dwieście, potem sto, w końcu tylko pięćdziesiąt metrów odległości. — Zanurzone były do połowy w wodzie tak, że wierzchnią połowę głowy, tułowia i ogona widać było doskonale. Od czasu do czasu silny promień fontanny wytryskał z głowy każdego wieloryba wysoko w górę.

W tem, kiedy już się zdawało, że za kilka sekund okręt i kolosy zetkną się ze sobą, nagle jakby na dany znak wszystkie sześć olbrzymów zniknęły pod wodą. — A kiedy za chwilę wynurzyły się znowu i pokazały na powierzchni morza były już daleko poza okrętem.

Jak wspomniałem, temperatura z każdym dniem obniżała się coraz bardziej a ostatecznie wjechaliśmy w strefę całkiem zimną. — W tym czasie wyszedłszy pewnego dnia rano na pokład spostrzegłem ze zdziwieniem, że marynarze rozpinają płachty płócienne wzdłuż barjer między dachem a podłogą pokładu I-ej klasy, zasłaniając w ten sposób cały widok na morze. — Zdziwiony zapytuję oficera okrętowego co to ma znaczyć. — Odpowiada, że rozpięte płótno chronić nas będzie podczas przechadzki na pokładzie od zimnych wiatrów północnych panujących w tej okolicy. I rzeczywiście, widok na morze był dla nas obecnie z pokładu I-ej klasy zupełnie zasłonięty, ale zato podczas przechadzki by-

liśmy zabezpieczeni od przenikliwego zimnego wiatru północy.

Obserwowałem marynarzy japońskich podczas każdej ich pracy. Wykonywali ją zawsze spokojnie, cicho, bez żadnych nawoływań, bez żadnej komendy. Każdy z nich wiedział co ma robić i każdy wykonywał swoją robotę sumiennie. — Sprawność i zręczność tych ludzi miałem sposobność poznać już w ciągu drogi, kiedy zwinnie spinali się po masztach, linach i linowych drabinach. Obecnie zaś z uwagą i naprężeniem, a nieraz i strachem obserwowałem ich robotę i zręczność podczas rozpinania płóciennych płacht z boku pokładu.

Okręt jak zwykle płynął z szybkością 300 do 400 mil angielskich na dobę, falując i przechylając się to naprzód lub w tył, lub na boki. Równocześnie marynarze stojąc na poręczach otaczających pokład, czasem trzymając się tylko jedną ręką drążka żelaznego podpierającego dach lub też nawet samego dachu przy-mocowywali drugą ręką liną płótno do dachu.

Nieraz z zapartym oddechem patrzałem na tak stojącego formalnie w powietrzu majtką i dziwiłem się, że nie wpadł do wody. — Zręczność ich i zwinność dałyby się porównać tylko ze zwinnością małpy.

Zimno w kabinach dokuczało z dniem każdym coraz bardziej, a w końcu w piątym dniu po opuszczeniu Jokohamy zaczęto stale ogrzewać cały okręt. — I kiedy na pokładzie statku było tak zimno, że bez płaszcza trudno było się pokazać, to w kajutach było ciepło, miło i przyjemnie.

W tym czasie podróżni I-ej klasy gromadzili się po największej części w sali jadalnej, gdzie zajawszy

miejsce przy stołach, przepędzali czas jak mogli. — Jedni czytali książki, drudzy pisali listy; panie po największej części zajęte były robótkami. — Każda z nich miała ich w zapasie kilka i gdy się jej jedna sprzykrzyła, zabierała się do drugiej. — W ten sposób miała stale czas zajęty, tak, że nie czuła zupełnie nudów, jakie odczuwa tylko ten, kto jedzie bezczynnie przez piętnaście dni bez przerwy przez bezkresne morze.

Od chwili opuszczenia Jokohamy, codziennie w południe otrzymywaliśmy najświeższe wiadomości za pomocą radjotelegrafu. Depeszę przynoszącą krótkie definitywne najświeższe wiadomości z całego świata, głównie zaś z pola walki w Europie umieszczano na pokładzie. — Tak było przez pierwszych sześć dni z rzędu. Później jednak wskutek wielkiej odległości od wybrzeża japońskiego depesze te przestały nadchodzić i znajdując się na środku oceanu byliśmy przez kilka dni pozbawieni wszelkich wiadomości ze świata.

Czas się już wszystkim dłużył i dla zabicia go niektórzy podróżni grają w gry zaprowadzone na okręcie. Czasem wieczorem przychodził jeden z pasażerów II-ej klasy grający na fortepianie i grą swą zapełniał część wieczoru. — Dwie amerykanki i amerykańnin przepędzają często wieczory grając w karty i kładąc wszelkie możliwe pasjanse.

O ile dzień był ładny to w godzinach popołudniowych marynarze siadali na pokładzie tuż przed moim oknem i grali na fujarkach smętne żałosne piosenki japońskie. Melodja ich prosta i ciągle się powtarzająca, ma jednak dużo czaru, tęsknoty i uroku w sobie, tak, że słuchać jej można całymi godzinami bez znudzenia.

Jak się później dowiedziałem treść tych pieśni jest bardzo zwykłą:

Młoda japonka żegna marynarza, który wyjeżdża na morze, gdzie go czeka szereg niebezpieczeństw na każdym kroku. Czy wróci z tej drogi i czy wróci jeszcze do niej, czy jej nie porzuci? Ciągłe się niepokoji japonka, a serce jej zali się stale w tej pieśni

Stada ryb ukazują się ciągle w powietrzu nad powierzchnią wody. Mewy długo jeszcze lecą za okrętem i jakkolwiek od Japonji oddaleni jesteśmy już sześć do siedmiu dni drogi, to jednak ptaki te towarzyszą nam stale. — Gatunki ich jednak od czasu opuszczenia brzegu Japonji zmieniają się ustawicznie. — I tak przy brzegach Japonji były to małe jasne mewy wielkości kawki, później pokazywały się większe, koloru szarego, obecnie zaś towarzyszyły nam mewy wielkości gęsi, których upierzenie było koloru ciemno-brunatnego.

Lubiłem obserwować lot tych ptaków, jak również ich siadanie na wodzie. — Podczas lotu nogi mew wyprężone są jak dwie struny i tylko skrzydła pracują, unosząc je to w górę, to w dół, czasem prawie nad powierzchnią morza. — Podczas siadania na morze unoszą się w górę to opadają znowu — jakby drażniły się z dużą ruchomą, falującą taflą morską, aż w końcu błyskawicznie opadają na wodę kołysząc się na szerokiej powierzchni morza.



ROZDZIAŁ IX.

....

Nużąca podróż. Jednostajna tafla wód. Mój „Trust“ z amerykańnikiem. Alaszka.

Już siódmy dzień płyniemy po morzu. Jak daleko okiem sięgnąć, jak daleko wzrok zapuścić można widać tylko falistą taflę oceanu. Wpatrując się w przestrzeń zdaje się z początku, że widnokrąg jest niedaleko od nas, ot, o jakie dwa do trzech kilometrów w promieniu; tymczasem patrząc bystrzej przekonujemy się, że jest wprost przeciwnie, że promień widnokręgu wynosi conajmniej 12 kilometrów i przy tem natężonym spoglądaniu widać wyraźnie, jak powoli niebo coraz dalej od nas ucieka, a tymczasem przestrzeń wody coraz bardziej się powiększa.

Wychodzę na przód okrętu, staję na samym dziobie i rozglądam się wokoło. Falista tafla oceanu otacza mnie zewsząd. Cicho, spokojnie. Lekkie tylko fale chwieją się i poruszają, jakby w takt to w prawo, to

w lewo, a okręt obojętny na wszystko wspina się raz po raz do góry i przesadza fale stojące mu na drodze.

Co za cudny widok, co za uroczyste wrażenie! Dzień jasny, pogodny. W pierwszej chwili mam wrażenie, że widnokrąg jest bardzo blisko okrętu, że obręczy nieba spoczywającego na morzu formalnie ręką dosięgnąć można. Dopiero patrząc z uwagą w jednym kierunku, widać jak niebo ucieka coraz dalej, a tafla morza przybywa coraz więcej.

Pełną pierśią wdycham świeże powietrze morskie i delektując się niem jak najlepszym, najrozkoszniejszym nektarem. Żadnych trosk, żadnych obaw nie odczuwam w tej chwili. Szczęśliwy, zadowolony, wolny jak ptak, który unosi się nad nami w powietrzu, lub też jak ryba, która mknie w przestworzach morza. Czuję się prawdziwie szczęśliwym i zadowolonym. I dziś dopiero pojmuję, że można zazdrościć marynarzom ich podróży po morzu. Jak się przekonałem człowiek z morzem zżywa się tak prędko, że potem coś jakby żądza, jakby nieprzeparta siła pcha i ciągnie człowieka na tę rozległą, olbrzymią i niezbadaną przestrzeń wód, która tyle tajemnic kryje w sobie, a żadnej nigdy nie zdradzi.

Pogoda zaczyna się zmieniać. Coraz zimniej, coraz pochmurniej robi się na morzu. Wiatr pociąga coraz częściej i silniej tak, że nawet płachta rozpięta dookoła pokładu nie bardzo już chroni od dotkliwego zimna. — Czasem deszcz pada od samego rana, czasem znowu mgła gęsta zalega morze, tak, że na 20 do 30 metrów nic w koło nie widać. Wtenczas syrena okrętowa odzywa się żałośnie co kilka minut. — Były nawet dwie lub trzy noce, podczas których syrena okrętowa huczała

prawie bez przerwy, gdyż mgła była tak gęsta, że nie w koło na kilka metrów od okrętu widać nie było i obawiano się zderzenia z drugim statkiem.

Na przodzie okrętu stoi całą noc marynarz na warcie, drugi zaś pełni służbę na pokładzie. Pierwszy z nich pogrążony jest w ciemnościach, drugi zaś chodzi po oświetlonym pokładzie i od czasu do czasu alarmuje dzwonkiem pierwszego strażnika, który natychmiast powtarza usłyszane sygnały, na dowód, że czuwa.

Siódmego czy ósmego dnia po opuszczeniu Jokohamy dojechaliśmy do 180 południka dzielącego kulę ziemską na dwie połowy. — Wskutek ustawicznego stałego posuwania się na wschód, co dwadzieścia cztery godzin przybywało nam dwie godziny na dobę tak, że codziennie punktualnie o 12-iej w południe posuwano zegar na okręcie o dwie godziny naprzód. — To też kiedy dojechaliśmy do południka 180 mieliśmy o jeden dzień więcej w kalendarzu, czyli, że ci, którzy byli w tym dniu przed południkiem 180-tym od strony Azji, mieli naprzykład środę 31 sierpnia, podczas gdy ci, którzy wyjechali z Ameryki mieli tego samego dnia dopiero wtorek 30-go sierpnia.

Na naszym okręcie mieliśmy dzień 31-go sierpnia 1916 roku środa, a na drugi dzień po przejściu południka 180 był tak samo wystawiony na pokładzie okrętu, jako dzień tygodniowy środa, 31-szy sierpnia 1916 r. A gdyśmy ostatecznie wysiedli w Ameryce, zeszlśmy się z tym samym dniem kalendarzowym, jaki tam był dnia tego, to jest 8-mym września 1916 r.

Dla zabicia czasu służba okrętowa urządziła przedstawienie amatorskie. Za salę służył pokój jadalny II-iej

klasy. Tam też urządzono ładną scenę, na której przed oczyma widzów przesuwały się sylwetki i postacie japońskie. Wstęp był bardzo tani, bo pasażerowie płacili od osoby pół jena. Pieniądze te zbierała grupa, złożona z profesora i studentów japończyków, którzy całe urządzenie tego przedstawienia ujęli w swoje ręce.

Tak przeszedł jedenasty, dwunasty i trzynasty dzień podróży na morzu. — Wszystkich nas prawie bez wyjątku znużyła już i wyczerpała ta monotonna kilkunastodniowa droga, ta podróż bez szerszych wrażeń o jednostajnym widoku. — To też nic dziwnego, że o ile po opuszczeniu Jokohamy w pierwszych dniach podróży naszej wszyscy pasażerowie mieli humory jaknajlepsze, to teraz w trzynastym dniu jazdy wszystko było przygnębione, znużone i zniechęcone jednostajnością drogi.

Brak apetytu, poprostu wstręt do potraw zaczynał się objawiać u wszystkich podróżnych. Całe półmiski potraw podawanych przy śniadaniu, obiedzie i kolacji wracały prawie nietknięte do kuchni. Szklanka herbaty lub kawy, gruszka, jabłko, pomarańcza lub kawałek banana, stanowiło całe pożywienie każdego z nas.

Trzynastego dnia zaczęło się niebo powoli przecierać. Wyszedłem popołudniu na pokład na przechadzkę. Pasażerowie jedni porządkowali swoje kufry, drudzy pakowali rzeczy, chcąc być gotowymi do wysiadania na ląd.

Za dwa dni bowiem mieliśmy przybyć do Ameryki.

Stałem oparty o barjerę okrętową, gdy niespodziewanie zbliżył się do mnie amerykańnin jadący razem ze mną w I-ej klasie.

Strasznie głupio i nudno jest już na okręcie — odzy-

wa się do mnie. Rozmawialiśmy chwilę, poczem otrzymałem od niego propozycję zrobienia trustu. Jakkolwiek tego wyrażenia jeszcze wtenczas nie znałem, domyśliłem się jednak o co chodzi. Kiwnąłem więc głową na znak zgody i po chwili znaleźliśmy się w kabinie amerykańczyka, gdzie na pocieszenie i zabicie nudów poczęliśmy pić soda-whiskey, jedną szklankę po drugiej.

Ostatecznie trzynastego dnia podróży pokazują się na widnokręgu północnym wysokie góry półwyspu Alaszki. Widok ten powoduje szaloną uciechę u wszystkich podróżnych — nawet marynarzy. Stoimy całymi godzinami na pokładzie wpatrując się w zamglone góry, ciągnące się stale równolegle do naszego okrętu.

Jedziemy tak dwa dni wzdłuż wspomnianego półwyspu, a tymczasem oficer okrętowy zatknął ostatnią chorągiewkę na mapie na znak, że ląd już niedaleko.

I tak czternastego dnia rano przybyliśmy szczęśliwie do kolonji angielskiej — leżącej już na wybrzeżu Ameryki — do wyspy i portu tej samej nazwy Vancouver.



ROZDZIAŁ X.

Vancouver. Szpieg okrętowy denuncjuje mnie. W szpionach detektywów angielskich. Piekło udrczeń.

Dzień przed przyjazdem do Vancouver wszyscy byli zdenerwowani i podnieceni do najwyższego stopnia wskutek wyczekiwania i pragnienia zobaczenia jak najprędzej tak dawno pożądanego lądu. Ci, którzy mieli na drugi dzień wysiadać w porcie pakowali się i przygotowywali gorączkowo do opuszczenia okrętu.

Do tych pasażerów należał także japończyk jadący ze mną od Jokohamy w tej samej kabinie. — Przedewszystkiem uporządkował swoje plecione koszyki z rzeczami, z których główną część tworzyły książki do czytania. Masę z nich które w czasie drogi przeczytał, powyrzucał przez okno do morza. Następnie znósł gdzieś z pod pokładu czy też innych kabin II-ej i III-ej klasy, w których jechali jego znajomi japończycy całe stosy książek, jak również korespondencji szmuglowanych do Kanady.

W końcu przystąpił do przyprowadzenia do porządku siebie samego. I tak najpierw dał krawcowi okrętowemu do odprasowania wszystkie swoje ubrania. To mu jednak nie przeszkodziło, że następnie te same świeżo odprasowane ubrania spakował jedne na drugie do kufra.

Później przywołał golarza okrętowego, aby go ogolił i odświeżył. Fryzjer wziął się z zapalem do pracy, ostrzygł swego gościa, ogolił mu twarz, następnie wygolił dziurki w nosie, oraz meszek pokrywający uszy, a w końcu zrównał brwi nad oczyma. Po dokonaniu tych operacji natarł mu twarz rozmaitemi olejkami i maściami, a w końcu przetarł ją ręcznikiem i napudrował obficie. — Po tej czynności dopiero przystąpił do fryzowania głowy swego klienta, którą skropił kilkoma różnymi wodami a następnie uczesał bujną jego fryzurę. Tak odświeżony japończyk czekał spokojnie na wylądowanie w najbliższym porcie.

W międzyczasie od dwóch czy trzech dni zaczęliśmy znowu na okręcie otrzymywać wiadomości zapomocą telegrafu bez drutu. Z depesz tych dowiedzieliśmy się o wybuchu wojny między Rumunją a państwami centralnymi oraz o klęsce, jaką Rumuni w tym czasie na froncie siedmiogrodzkim ponieśli. Równocześnie prawie pojawiła się na okręcie, na tablicy ogłoszeń notatka, że najpierw tylko do Vancouver, a następnie zaś i dalej do Ameryki nawet środkowej i wschodniej można już nadawać telegramy.

Czternastego dnia podróży już około godziny 5-ej nad ranem zobaczyliśmy ląd zbliżka. Godzinę jednak jeszcze całą jechaliśmy wzdłuż wybrzeża. Już widać za-

ludnione wyspy, na których pobudowane są piękne wille, widać także pierwsze ślady życia ludzkiego, tak na samych wyspach, jak również dookoła nich. — Liczne tendry, do których z boku przymocowane są wielkie, silne promy przepływają od jednej wyspy do drugiej. Na promach tych znajdowały się wozy kolejowe, wagony towarowe, które od wybrzeża amerykańskiego przeprowiano na promach coraz dalej od wyspy do wyspy.

W końcu około 6-ej rano wjeżdżamy do portu Vancouver. Pogoda piękna.

Już podczas zbliżania się Kama-Kura-Maru do lądu, na pokładzie jego panował ruch wielki, a kiedy okręt zawinął do portu i zajechał do swojego doku, na okręcie nastąpiło prawdziwe zamieszanie. — Wszystko co jechało, spragnione widoku lądu i znalezienia się jak najprędzej na stałej ziemi, chciało wysiadać jak najspieszniej. — Ostatecznie okręt oparł się ciężko o kamienną ścianę doku i stanął na uwięzi.

Szerokie doki okrętowe znajdowały się przed nami. Pod jego ścianami dziesiątki robotników porządnie ubranych, świeżo wygolonych z cygarami w ustach i rękami w kieszeniach czekało rozpoczęcia pracy. — Tymczasem na okręt weszła policja angielska i zaczęła się rewizja paszportów.

Wyspa Vancouver jest kolonią angielską i ma być bardzo ładnie urządzona. — Ponieważ Kama-Kura-Maru miał tutaj zatrzymać się piętnaście godzin, a pasażerom I-ej klasy dozwolonem było wyjść na ląd, przeto postanowiłem skorzystać ze sposobności i zwiedzić miejscowość. Byłem zresztą pewny, (o czem mnie

w Shang-haju upewniano), że jeżeli tylko przepłyne Ocean Spokojny i dostanę się szczęśliwie do Vancouver, to tutaj będę zupełnie bezpieczny i nikt się o mnie nawet troszczyć nie będzie. — Tak mnie upewniano, tak myślałem, a jednak stało się wprost przeciwnie!

Po przyjeździe do portu stuart okrętowy rozdał pomiędzy pasażerów I-ej klasy przepustki uprawniające do wyjścia na ląd. Przepustka ta opiewała imię, nazwisko danego podróżnego, a musiał ją ponadto zaświadczyć na odwrotnej stronie, komisarz policji angielskiej, który urzędował na okręcie w jadalni I-ej klasy.

Było już około 9-ej rano; wielu podróżnych wyszło na ląd, a ja za ich przykładem postanowiłem uczynić to samo. Ubrałem się więc elegancko i czekając tylko na godzinę śniadania, jak również na jakąś drobnostkę, którą miał mi podać boy okrętowy, przechadzałem się spokojnie po pokładzie okrętu. — Tymczasem zaś w II-ej i III-ej klasie odbywała się rewizja paszportów.

Pasażerowie ustawieni w dwóch rzędach trzymając swoje papiery legitymacyjne w rękach oglądani i badani byli od stóp do głów, przez detektywa policyjnego, który szedł spokojnie od jednego do drugiego podróżnego i sprawdzał jego dokumenty.

Przyglądałem się z daleka tej kontroli, gdy naraz zauważyłem, że żyd agent okrętowy podszedł ku grupie detektywów angielskich stojących na boku na pokładzie II-ej klasy i coś im zaczął opowiadać, wskazując głową w moją stronę. Równocześnie jeden z detektywów spoglądnął w kierunku gdzie stałem, a spotkawszy się przypadkowo z moim wzrokiem szybko odwrócił głowę.

Zrobiło mi się gorąco. Udając jednak, że niczego się nie domyślam, że nic nie przeczuwam, podszedłem spokojnie, obojętnie, jakby przechadzając się w stronę stojących na dolnym pokładzie agentów, poczem odwróciwszy się niedbale, spacerowałem dalej po pokładzie.

Byłem odwrócony plecyma do detektywów, a jednak jakby oczyma duszy widziałem biegnącego po schodkach na górny pokład w moją stronę agenta angielskiego, zbliżającego się szybkim krokiem ku mnie. Naraz poczułem na swem ramieniu cudzą rękę, a kiedy się odwróciłem niby od niechcenia, mimo, że serce biło mi jak młotem, — zobaczyłem przy sobie wysokiego na dwa metry mężczyznę. Był to blondyn z przyszyżonym krótkim wąsem, lat około 35, w eleganckiem granatowem ubraniu, lekki w ruchach, elegancki w obejściu, jednym słowem „gentelman-detektyw“.

Grzecznym i uprzejmym głosem odezwał się on do mnie:

Panie Kamiński — dokąd pan jedzie?

Do Ameryki — odpowiedziałem krótko.

A skąd, — pyta dalej detektyw.

Ze Shang-haju.

No dobrze, że z Shang-haju, ale skąd pan jest, skąd pan pochodzi?

Jadę z Rosji, względnie z Królestwa Polskiego z miasta Łodzi — odpowiedziałem spokojnie.

— Aber Sie sprechen deutsch — odzywa się na to detektyw po chwili.

Udałem jednak, że zupełnie nie rozumiem co do mnie mówi i zrobiłem przeczący ruch ręką.

Ale ja wiem, że pan umie dobrze po niemiecku —

odzywa się znowu detektyw. Pan jest oficerem niemieckim, który uciekł z niewoli rosyjskiej. My wszystko już wiemy, dostaliśmy telegram.

Oficerem nie jestem — mówię dalej spokojnie, — jestem osobą cywilną, polakiem. Po niemiecku nie umiem, gdyż się nigdy tego języka nie uczyłem.

A paszport czy pan ma? — Proszę pokazać paszport, odzywa się znowu agent.

Jakkolwiek paszport miałem przy sobie, to jednak oświadczyłem, że mam go w kabinie w kufrze i poprosiłem detektywa, aby tamże udał się ze mną. Ten jednak oświadczył, abym sam poszedł po paszport, on zaś poczeka tutaj na pokładzie.

Poszedłem do kajuty i przetrząsając walizkę z rzeczami, szukałem w niej rzekomo paszportu, który miałem w swojej kieszeni. Równocześnie zaś patrzyłem na zegarek, aby jak najdłużej przetrzymać agenta na pokładzie, a przez to osłabić jego urzędową gorliwość.

Dopiero po 10-ciu minutach wyszedłem znowu na pokład i przepaszając detektywa najmocniej, że paszportu w żaden sposób znaleźć nie mogłem, podałem mu tenże.

Detektyw wziął mój dokument, obejrzał go z jednej i drugiej strony i w końcu zapytał, czy nie mam innego paszportu. Odezwałem się na to, że to jest właśnie mój paszport.

Przepraszam — mówi detektyw — to nie jest paszport, to jest tylko poświadczenie, że pan jest uchodźcą z Królestwa Polskiego i że pan jest obywatelem rosyjskim. To jest nic, oprócz tego bowiem poświadczenia musi pan mieć jeszcze i paszport.

Paszportu żadnego innego nie mam — mówię już podniecony, — gdyż w chwili kiedy Niemcy zajmowali Królestwo Polskie nie było czasu myśleć o paszporcie — tylko każdy uciekał jak najprędzej. Tych zaś którzy się nie śpieszyli kozacy przepędzali nahajami. Dopiero, kiedy się znalazłem w centralnej Rosji wystawiono mi poświadczenie, a następnie kiedy przybyłem do Tasz-kentu, dano mi ten dokument, który pan ma teraz w rękę. To jest mój paszport.

Dobrze — odzywa się znowu detektyw — ten do-kument był tak długo dobry, jak długo pan podróżował po Rosji, ale na wyjazd za granicę w szczególności do Ameryki, musi pan mieć paszport zagraniczny z foto-grafją, pieczęcią i wizą generał-gubernatora, konsula japońskiego i td.

Faktycznie dokument mój był to jedynie świstek papieru bez najmniejszego znaczenia obecnie.

To też już przy wsiadaniu na okręt japoński w Shang-haju robiono mi trudności, kiedy chciałem kupić bilet okrętowy. Zażądano mianowicie wtenczas odemnie poświadczenia na odwrotnej stronie mego dokumentu przez konsula rosyjskiego, angielskiego i japońskiego, o które się w końcu przy pomocy pieniędzy musiałem wystarać.

Przyznając w duchu rację słowom detektywa, chwyciłem się jako ostatniej deski ratunku, umieszczonego na odwrotnej stronie poświadczenia w języku angielskim i wskazując na nie odezwałem się: „wszak tu jest podpis i pieczęć generalnego konsula rosyjskiego“.

Lecz detektyw angielski nie dał się tem zbić z tropu. Machnąwszy tylko z lekceważeniem ręką, odpowiedział:

E! pieczęć nie nie znaczy, wszystko można mieć! W II-iej klasie jedzie kilkudziesięciu pasażerów do Ameryki, którzy są poddanymi rosyjskimi. Proszę zobaczyć, jak wyglądają ich paszporty zagraniczne z fotografjami, podpisane przez generał-gubernatora.

Pech bowiem chciał, że na tym samym okręcie jechało z Jokohamy do Ameryki około 30-tu żydów rosyjskich, w wieku od 20 do 30 lat, którzy, jak się zdaje uciekali przed wojskiem, więc nic dziwnego, że mieli za pieniądze paszporty w jaknajwiększym porządku.

Struchlałem, słysząc to wszystko! Detektyw zaś zupełnie spokojnie mówił dalej: „ten dokument nie nie znaczy. Może pan ma inny paszport. — Lepiej niech się pań przyzna, kim pan jest, gdyż my wiemy wszystko. Wiemy, że pan jest oficerem, że pan jedzie tym okrętem i czekaliśmy właśnie, aby pana przyłapać. Wiemy, że pan umie po niemiecku, a nie chce się pan do tego przyznać“.

— Oficerem nie jestem — odzywam się na to — jestem polakiem z Królestwa. Chodziłem do szkół polskich w Warszawie i dlatego po niemiecku zupełnie nie umiem. — Cieszyłbym się bardzo, gdybym umiał, gdyż nie jest to wstyd, lecz owszem zaszczyt mówić kilku językami.

Ponieważ zaś zdawało mi się, że detektyw nie może się jakoś zorientować, gdzie leży miasto Łódź, przeto wyjąwszy ołówek z kieszeni zacząłem na kawałku papieru kreślić mapę Polski, znacząc zabór rosyjski, pruski i austriacki, przyczem wskazując ołówkiem, odezwałem się: to jest Polska przyłączona do Prus, to do

Austrii, a to jest Królestwo Polskie należące do Rosji. Ja pochodzę właśnie stąd, z Królestwa Polskiego, a tu jest miasto Łódź — proszę pana!

Na to detektyw zmarszczył delikatnie brwi, spojrział na mnie uśmiechem lekkiej ironji, mówiąc przytem spokojnie i cedząc formalnie słowo za słowem: „chyba mnie, oficera od marynarki angielskiej nie będzie pan uczył geografji! Znam mapę całego świata na pamięć, a również wiem dobrze, gdzie leży Królestwo Polskie.— Pan jednak nie jest z Królestwa Polskiego! Proszę zostać tu na miejscu i nie ruszać się stąd krokiem! Powiedziawszy to, zabrał mój paszport i odszedł z nim do grupy detektywów angielskich, którzy przez cały czas indagacji stali o jakie piętnaście kroków od nas na pokładzie okrętu.

Było ich siedmiu. Wszyscy porządnie, elegancko ubrani, świeżo ogoleni, z cygarami w ustach, jeden w drugiego jak się u nas powiada chłop w chłopu. Już sam baczysty ich wygląd budził pewien respekt dla nich. Spokojnie, obojętnie przypatrywali się oni całemu zajściu, a nawet wtenczas, kiedy mój defektyw przybliżył się do nich, nie zdradzali najmniejszego zaciekawienia.

Urzędowali rzeczywiście z zimną krwią wtenczas, kiedy we mnie wszystko drgało i kipiało.

Kiedy detektyw odszedł z moim dokumentem, byłem pewny, że wszystko już stracone. I jakkolwiek byłem zdenerwowany do najwyższego stopnia, starałem się jednak zapanować nad sobą i udawać spokojnego, aby się z czemś najmniejszym nie zdradzić. Chcąc się więc nieco uspokoić zapaliłem papierosa.

Tymczasem konferencja siedmiu detektywów przeciągała się coraz dłużej. — Nie mogąc już dłużej wytrzymać i chcąc się ostatecznie dowiedzieć co o mnie radzą i mówią, postanowiłem zbliżyć się do nich. Lecz ledwo ruszyłem się z miejsca, gdy nagle, jakby z pod ziemi wyrosło obok mnie dwóch nowych detektywów angielskich. — Jeden z nich położywszy mi spokojnie rękę na ramieniu, odezwał się po angielsku: „pan zostanie tutaj! a równocześnie drugi, podnosząc kołnierz marynarki do góry pokazał mi orzelka policyjnego.

Zrozumiałem co to znaczy. Nietylko odebrano mi paszport, ale jeszcze obstawiono mnie detektywami. Wszystko stracone, wszystko przepadło! Cała ucieczka, cała droga na nic! I to dziś, gdy przebyłem już szczęśliwie Ocean Spokojny i jestem przy brzegach Ameryki.

Rzucać się lub złościć nie miałoby najmniejszego sensu i mogłoby tylko sprawę pogorszyć. Spokój, spokój i jeszcze raz spokój, to jedno co mnie mogło uratować, a tu we mnie równocześnie wszystkie nerwy drgały.

Przeczekałem jednak jeszcze chwilę spokojnie, lecz widząc, że cała konferencja przeciąga się i jeżeli coś odrazu szybko nie zrobię, to może mieć dla mnie fatalny skutek, zdecydowany przeto na wszystko co się stanie, postanowiłem za wszelką cenę zbliżyć się do konferujących detektywów lub też gdyby mi na to stojący obok ajenci nie chcieli pozwolić, zrobić taką awanturę na okręcie, żeby wszyscy na nią zwrócili uwagę. Pomyślałem sobie bowiem, że gdyby mnie przyaresztowano, to będą mnie traktować jako szpiega i zrobią ze mną, co się im spodoba. Mogą nawet usunąć bez roz-

głosu. Jeżeli jednak ściągną mnie z okrętu z awanturą, to wieść o tem rozniesie się pomiędzy pasażerami, a następnie dostanie się do dzienników. Z gazet zaś ambasador austriacki dowie się o wszystkim i musi się za mną ująć, a w tym razie i rząd angielski nie może ze mną tajnie postępować.

Podszedłem więc ku detektywom, jakkolwiek z energicznym protestem moich dwóch aniołów stróżów, i odezwałem się spokojnie lecz stanowczo: Proszę panów w tej chwili oddać mi mój paszport. Dlaczego panowie mnie szykanujecie, dlaczego mi robicie trudności w przejeździe do Ameryki, mnie poddanemu rosyjskiemu? Oświadczam wyraźnie, że jak tylko szczęśliwie przybędę do Ameryki, w tej chwili zgłoszę się do mojego konsula rosyjskiego, a ten założy protest w dziennikach przeciwko podobnemu traktowaniu obywateli rosyjskich przez rząd angielski. Jeżeli dokument mój wystarczył w Rosji dla policji i żandarmerji rosyjskiej, jeżeli z nim przejechałem granicę rosyjską, to musi on wystarczyć i dla was, jako policji angielskiej!

Na to detektyw, który odebrał mi dokument, kładąc mi rękę na ramieniu przemówił grzecznie: „Proszę się uspokoić. Jeżeli pańskie papiery są w porządku, to przejdzie pan spokojnie. Jeżeli nie, zostanie pan tutaj. Gniewać się nie ma potrzeby, my spełniamy tylko swój obowiązek. — W Ameryce może pan protestować, trzeba jednak najpierw tam zajechać. Tu nie jest jeszcze Ameryka, tu jest kolonja angielska i prawo angielskie!

Proszę mi powiedzieć — ciągnął detektyw spokojnym głosem, — jaki jest pański zawód i dokąd pan jedzie do Ameryki?

Jestem profesorem uniwersytetu i jadę do kolonii polskiej w Chicago, do stryja mojego, który jest rektorem uniwersytetu — odpowiedziałem krótko.

A jakie jest nazwisko stryja i adres — pytał detektyw dalej.

Wymieniłem nazwisko, ulicy zaś nie mogłem mu podać, ponieważ żadnej ulicy w Chicago nie znałem. W Shang-haju bowiem przed odjazdem powiedziano mi, że jak tylko raz przejadę szczęśliwie Ocean Spokojny, to tam u brzegów Ameryki nikt się więcej o mnie troszczyć nie będzie. Na wszelki jednak wypadek gdyby się pana pytano o adres stryja, niech pan powie, że mieszka w Chicago w Auditorjum-Annex.

Kiedy mnie więc teraz zapytano o adres nie namyślając się wiele, odpowiedziałem „Auditorjum-Annex“.

Dwumetrowy jednak detektyw spoglądając na mnie z góry z pewnego rodzaju politowaniem, zapytał z uśmiechem: a czy pan wie, co to jest Auditorjum-Annex?

Tak jest, proszę pana — odzywam się na to, — jest to hotel i to bardzo wielki hotel, w którym nie byle kto może sobie pozwolić na mieszkanie!

Pan powiada, — indagował dalej detektyw, — że jest pan profesorem, pocóż więc, jedzie pan z Rosji do Ameryki?

Jak to, — odzywam się niby ze zdziwieniem — więc pan nie wie poco profesor jedzie do Ameryki? Jadę dzieci uczyć, studentów uczyć, czy jest w tem co dziwnego? Dokąd byłem w Warszawie miałem dobrą posadę, dziś gdy Niemcy zajęli Królestwo, muszę szukać chleba za granicą, za morzem!

A pieniądze, czy pan ma jakie? — indaguje detektyw dalej nieubłagalnie.

Tak jest, mam 50 dolarów w złocie — odpowiadam na to.

Jak to, tylko 50 dolarów? wykrzykuje detektyw ze zdziwieniem — a mówi pan, że pan jedzie do Chicago. — Przecież pana sam bilet będzie więcej kosztować! Kto panu da pieniądze, do kogo pan się zwróci w Ameryce?

Tak, mam 50 dolarów jako takse, — mówię spokojnie, choć równocześnie ze zdenerwowania mówić już nie mogłem. Te pieniądze są jako taksa, którą każdy musi mieć przy wstępie do Ameryki. Oprócz tego mam w tym oto portfelu pieniądze na opłacenie biletu. — Sądzę, że kwota ta zupełnie mi wystarczy.

Po tych moich słowach, detektyw dżentelmen zwrócił się do innych siedmiu, coś z nimi porozmawiał i w końcu oddając mi paszport, odezwał się krótko: pan jest już wolny!

Odetchnąłem! Lecz nie na długo, — gdyż w jakiś czas potem zauważyłem, że detektyw, który mnie indagował, szybkim, lekkim krokiem pędził po schodkach na mostek kapitański, gdzie się znajdował telegraf bez drutu. Zdrętwiałem! Byłem bowiem pewny, że udał się tam, aby zatelegrafować do Chicago i zasięgnąć informacji co do moich odpowiedzi. Za kilka godzin może być odpowiedź z powrotem, inna zaś przyjść nie może, jak tylko ta, że osoby tego nazwiska, które podałem wogóle w Chicago nie ma, że nie mieszka w hotelu Auditorium-Annex. Całe więc trzechgodzinne badanie skończy się ostatecznie tem, co przewidywałem,

przyaresztowaniem mnie przez władze angielskie. — Wszystko więc stracone, wszystko przepadło, tyle trudu, tyle mozółu, tyle niebezpieczeństw na darmo!

Schowawszy więc paszport do kieszeni powlokłem się ciężkim krokiem do swojej kabiny i tu zrozpaczony rzuciłem się na kanapę.

Było około godziny 12-ej w południe. — Tak przeleżałem może pół godziny, gdy naraz posłyszałem dźwięki „Tam-tam“, zwołującego podróżnych na obiad.

Nie wiedziałem co zrobić? Iść na obiad, — to będę przedmiotem uwag wszystkich, którzy widzieli całą awanturę. Nie pójdę, — to jeszcze gorzej, gdyż właśnie mogę wzbudzić podejrzenie, że faktycznie w tem coś jest, jeżeli się ukrywam. Zdecydowałem się ostatecznie pójść na obiad, — pocieszając się myślą, że gdyby mnie nawet i przyaresztowano, to będę siedział przynajmniej po dobrym obiedzie i dobrej czarnej kawie, a nie głodny.

Zeszedłem więc na dół i usiadłem na swoim miejscu. Nie rozglądałem się dużo po sali, czułem jednak, że oczy wszystkich są skierowane na mnie. — Jak już wspomniałem poprzednio obok mnie przy stole siedział zawsze lekarz okrętowy japończyk. — Człowiek ten studjował medycynę w Berlinie i mówił tylko po japońsku i niemiecku. Po angielsku zaś ani słowa nie rozumiał. — Z lekarzem tym naturalnie przez cały czas podróży ani słowa nie zamieniłem, gdyż po japońsku nie umiałem, a języka niemieckiego udawałem, że nie znam zupełnie.

Było nawet i tak, że kiedy podczas podróży zachorowałem na ucho i byłem zmuszony leczyć się u niego,

użyłem pewnego anglika na okręcie, który mówił po niemiecku, jako tłumacza.

Kiedy więc obecnie zauważyłem, że miejsce lekarza okrętowego jest wolne, przypuszczałem, że wysiadł on na ład i udał się do miasta, co zwykle robił, ile razy tylko zawinęliśmy do portu. — Jednym słowem nie zwracałem uwagi na to, że miejsce jego przy stole jest wolne.

Tymczasem kiedyśmy skończyli zupę, spostrzegłem ze zdziwieniem, że po schodach schodzi do jadalni gentleman-detektyw, i wprost zmierza do naszego stołu, gdzie właśnie było wolne miejsce lekarza okrętowego. — Ukłoniwszy się wszystkim elegancko i grzecznie, nawet i mnie — jakby nigdy nie między nami nie było — usiadł swobodnie przy stole i zaczął spożywać obiad, rozmawiając uprzejmie ze wszystkimi gośćmi. — Rozmawiał zaś z każdym w tym języku, w jakim dany pasażer mówił. Wyjaśnić bowiem muszę, że detektyw ten władał biegle językiem polskim, niemieckim, rosyjskim, serbsko-kroackim, francuskim, włoskim, angielskim, japońskim i esperanto. Był to więc poliglota, w całym tego słowa znaczeniu! A że przytem zachowywał się rzeczywiście jak „gentleman“ pierwszej klasy, przeto bawił wszystkich doskonale, wesołą i zajmującą rozmową. Opowiadał różne anegdotki, które wywoływały formalne burze śmiechu. Zwracał się także w rozmowie do mnie, był nadzwyczaj grzeczny i uprzejmy, i rozmawiał obecnie ze mną tylko po polsku, unikając rozmyślnie rozmowy po angielsku.

Człowiek ten nadzwyczaj wykształcony i odcytany, znający dokładnie literaturę, geografję i politykę,

znał również dokładnie stosunki wewnątrz Rosji, całą literaturę rosyjską na wylot, jak również wszystkie dzienniki, które w Rosji w tym czasie wychodziły.

W rozmowie ze mną przeszedł całą literaturę rosyjską, zapytując mnie o zdanie to jednego lub drugiego autora lub też o treść poszczególnych jego utworów. — Tak przeszliśmy Tołstoja, Puszkina, Gogoła, Turgie-niewa i innych.

Od literatury zeszedliśmy na dzienniki rosyjskie, jak „Ruskoje słowo“, „Birżewyje Wiedomosti“ i td. Również i te dzienniki z czytania w obozie jeńców znałem dokładnie, znałem ich kierunek polityczny. W trakcie rozmowy dżentelman detektyw odezwał się, że jest w Rosji dziennik tak zwany „Jużnyj Słowianin“, który zajmuje się południowymi słowianami. O gazecie tej byłbym może nigdy w życiu nie słyszał, gdyby nie prosty przypadek, który i tutaj mi pomógł.

Będąc bowiem w grudniu 1914 w szpitalu rosyjskim w Charkowie dostawaliśmy od siostry miłosierdzia przydzielonej do nas jeńców oficerów, gazety rosyjskie, a pomiędzy innymi także i gazetę redagowaną w Charkowie, która się nazywała nie „Jużnyj Słowianin“ lecz „Jużnyj kraj“. — Kiedy więc pomyłkę w nazwie dziennika wytłumaczyłem detektywowi, ten szeroko otworzył oczy i jak się zdaje nabrał przekonania, że muszę z Rosji pochodzić.

W tej samej mniejwięcej chwili przeszedł przez pokój jadalny kapitan okrętowy. Spoglądając bystro na niego odezwał się detektyw do mnie: „posz się przypatrzeć, śliczny typ twarzy japońskiej. Oficer ten przy-

pomina mi bohatera z „Tajfuna“. — Pan zna prawdę „Tajfuna“?

Zcierpnałem na to zapytanie. Czuję bowiem tu jakąś zasadzkę, a nie wiedziałem jaką dać odpowiedź. Powiem — tak, — zacznie ze mną rozmawiać i wyjdzie na jaw, że powieści tej nigdy nie czytałem. Powiem — nie, — to może to być znowu książka tak popularna, że jako profesor znać ją powinienem, a jeżeli jej nie znam, to tem gorzej dla mnie.

Sekunda namysłu i powiedziałem, że powieści tej nie czytałem. Okiem pełnym zdziwienia spoglądał detektyw na mnie.

Jak to — więc pan jest profesorem i nie czytał pan tej powieści? Jest to cudna powieść japońska, tłumaczona na wszystkie języki europejskie. Radziłbym panu, aby pan sobie jako profesor tę książkę przeczytał! — odezwał się z docinkiem — i odwróciwszy się następnie do innych gości przy stole, rozmawiał z nimi czas dłuższy. — Po chwili znowu zwrócił się do mnie.

Nawiązawszy zęcnie rozmowę odezwał się mnie więcej w ten sposób: proszę pana, wierzę już panu, że pan jest polakiem z Rosji, a nie z pod zaboru austriackiego, wierzę, że pan jedzie pracować do Ameryki. Ale zdaje mi się, że pan mimo tego, że jest polakiem więcej nakłania się do Niemiec aniżeli ku Rosji i jest pan germanofilem, a nie moskalofilem. — Jest to rzecz zupełnie zrozumiała choćby z tego powodu, że Niemcy podczas obecnej wojny stwarzają wam Polskę, zaś Rosja prócz Sybiru i prześladowań nie wam więcej dotąd nie dała. — Przyznam się panu otwarcie, — ciągnął dalej detektyw, — że ja jestem serbem urodzonym

w Belgradzie, że dłuższy czas studjowałem akademję eksportową i orjentalną w Wiedniu i Berlinie. Tam też wykształciłem się na oficera marynarki. I wskutek studjów tych tak bardzo przejąłem się kulturą niemiecką, że obecnie jestem więcej germanofilem, aniżeli panslawistą. Przypuszczam więc, że i pan myśli tak samo.

Tego mi tylko było potrzeba. Po dwugodzinnej pogawędce przy stole wyszło nareszcie szydło z worka i wiedziałem teraz doskonale do czego ta cała rozmowa zmierzała. — Zebrałem więc resztki sił i przytomności umysłu, aby nie wybuchnąć i zapanować nad sobą.

Patrząc więc tylko prosto w oczy gentlemanowi-detektywowi odpowiedziałem spokojnie: „Pan mnie obraża. — Pan ma prawo badać moje papiery, czy są w porządku, może pan nawet przesłuchiwać mnie ale nie ma pan prawa mnie obrażać. Ja byłem i jestem moskalofilem. To co obecnie od pana usłyszałem jest dla mnie więcej, aniżeli niespodzianką. Zawsze bowiem dotychczas miałem serbów za wielkich patryjotów. To zaś, co pan powiedział jest oburzającym i dlatego jak tylko szczęśliwie przybędę do Ameryki zrobię z tego użytek w gazetach.

Usłyszawszy to detektyw zgłupiał. Podobnego obrotu rzeczy widać się nie spodziewał, owszem przypuszczał z pewnością, że ja uwiedziony jego otwartością i szczerością również zdradzę się z czemś lub powiem coś takiego, co może spowodować moje przyaresztowanie. Zawiódł się jednak i tutaj. — Wtedy pozostał mu jeszcze tylko jeden nabój, jedna bomba, którą postanowił niespodziewanie zużytkować i podłożyć podemnie.

Co to jednak miało być na razie nawet nie przy-

puszczałem, ani nie przeczuwałem. — Dość na tem, że po mojem odezwaniu się detektyw nie stracił zupełnie swego rezonu. Był to bowiem, jak się później dopiero przekonałem szczywany chytry lis policyjny.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, poczem detektyw nadzwyczaj czule i grzecznie zaczął się przedemną usprawiedliwiać, że narobił mi tyle nieprzyjemności, ale stało się to tylko z tego powodu, że właśnie ten pan (tu wskazał wzrokiem na stojącego opodal przy bufecie żyda okrętowego detektywa) zadenuncjował nam pana jako oficera niemieckiego, uciekającego z niewoli rosyjskiej. — Myśmy musieli spełnić tylko nasz obowiązek, tembardziej, że wypadki uciezki przecież się zdarzają. — Obecnie wszystko się wyjaśniło. — Ja wierzę panu, że pan jest tym, za kogo się pan podaje. O ile pan nawet chce, to może pan popołudniu wyjść na łód i obejrzeć miasto. Jest bardzo ładne, warto go zobaczyć. Na razie do widzenia panie Kamiński!

To powiedziawszy wstał, pożegnał się i odszedł od stołu.

Odetchnąłem! Była godzina 3-cia popołudniu.

A więc przeszło dwie godziny wytrzymał mnie ten człowiek przy stole indagując grzecznie i uprzejmie z uśmiechem na twarzy, zającując smacznie obiad i popijając czarną kawę, podczas kiedy ja dławilem się spożywanemi potrawami, a serce raz po raz biło mi jak młotem.



ROZDZIAŁ XI.

Zasadzka detektywów na mnie. Dwóch aniołów stróżów. Zaniechany zamiar zwiedzenia miasta. Marzenie o wolności i bezpieczeństwie.

Wstałem również i ja od stołu. Wyczerpany i zdenerwowany do najwyższego stopnia udałem się do swojej kabiny i tak jak wszedłem z progu zaraz rzuciłem się na kanapę, próbując zasnąć. Zdenerwowanie jednak nie pozwalało na to. To też w końcu zdecydowałem się wyjść z kajuty i po dłuższym namyśle postanowiłem wysiąść na ląd i udać się do miasta. Wszak już teraz jest po kontroli i nic mi więcej nie grozi!

Okolo 4-ej popołudniu zeszedłem znowu do pokoju jadalnego i zwróciłem się do urzędującego tamże komisarza policji, aby mi dał wizę na przepustkę, że mogę wylądować z okrętu. — Ten jednak oświadczył mi, abym przyszedł ze starszym boyem który miał rzekomo poświadczyć identyczność mojej osoby.

Kiedy jednak powtórnie zgłosiłem się ze starszym

boyem do komisarza policji, tenże przeglądnąwszy tylko moją przepustkę nie położył na niej pieczęci z wiza, lecz odezwał się krótko: pan może iść i tak na ląd! — przyczem skinął głową w przeciwny róg jadalni mówiąc głośno: All-right! All-right!

Na te słowa jakby na komendę powstało dwóch gości od stołu znajdującego się w rogu jadalni, którzy dotychczas pili tam spokojnie whiskey, powtórzyli jak echo słowa: „All-right“ i wzięwszy czapki do ręki podeszli do mnie mówiąc po angielsku: „pójdziemy razem“.

W jednej jednak chwili zorjentowałem się, że są to z pewnością detektywi nastawieni na mnie, że w chwili kiedy wyjdę z nimi na ląd i opuszczę okręt mogą mnie aresztować.

Odezwałem się jednak: „Dobrze i owszem! Pójdziemy razem, tylko wezmę kapelusz“. Równocześnie zaś odeszłem w kierunku wprost przeciwnym od swojej kabiny i przeszedłszy koło kuchni okrętowych wszedłem niespostrzeżenie do swej kajuty, gdzie zamknąwszy drzwi na klucz począłem wyczekiwać godzinę za godziną nadejścia wieczoru.

Prawie przed kilku dniami zegarek, popsuł mi się i stanął. Która była godzina nie miałem pojęcia, wyczekiwanie zaś takie, w najwyższym naprężeniu, gdzie człowiek czeka na to tylko, aby dzień przeszedł tak szybko jak jedna minuta, nie mając zegarka przy sobie, bez świadomości która godzina, jak długo przyjdzie jeszcze wyczekiwać, było wprost nie do zniesienia. Myślałem, że w dniu tym nie doczekam się wieczoru, tak czas dłużył się niemożliwie.

A tymczasem jak na złość cisza na okręcie i w porcie panowała niezamącona, jakby makiem zasiał wołoko. I tylko od czasu do czasu monotonna melodia fujarki japońskiej zakłócała spokój i sprawiała, że rozdrażnienie moje jeszcze więcej się potęgowało. — W końcu nie mogąc dłużej wytrzymać wykradłem się niespostrzeżenie z kajuty i tylnymi schodami przedostałem się w głąb okrętu pod maszyny okrętowe. Tutaj rzekomo interesując się budową i ustrojem maszyn przesiadzałem aż do późnego wieczora, — a kiedy znowu pokazałem się na pokładzie była już 9-ta wieczór.

Powoli goście zaczęli się schodzić na pokład wracając z wycieczki do miasta, a około wpół do 10-ej w nocy okręt ruszył w dalszą drogę tym razem już wprost do Ameryki.

Kiedy Kama-Kura-Maru odbił od mola i powoli począł się posuwać naprzód wzdłuż doków, wyszedłem na pomost i spoglądałem w stronę magazynów okrętowych. — Dwóch panów cywilnych przechadzało się jeszcze ciągle przed dokami. Byli to zapewne ci sami, którzy mieli ochotę przejść się ze mną do miasta, lub też może ich zastępcy niedoszli towarzysze mojej wycieczki do portu. Okręt płynął wolno coraz dalej, — ja zaś spoglądając ciągle w stronę doków, podniosłem rękę do góry i kiwając nią na sposób amerykański przesłałem moim aniołom stróżom serdeczne „Good-bye“!

Tymczasem okręt zanurzał się coraz bardziej w ciemnościach i wypłynął wolno na pełne morze. Na pokładzie cicho i spokojnie. Dawny gwar i ożywienie gdzieś znikło zupełnie i dziwna jakaś cisza otoczyła nas dookoła. Nawet sam Kama-Kura-Mar, który dotychczas

jechał stale całą siłą pary, obecnie nie może się jakoś rozpędzić, tylko wolno, jakby ostrożnie posuwa się naprzód. — Powodem zwolnienia biegu okrętu było po części także blizkie już wybrzeże Ameryki, a zatem i obawa natknięcia się na skały lub rafy podwodne, Toteż odległość 30 mil angielskich od stałego lądu mieliśmy przebyć w dwunastu godzinach, by zaś uniknąć niebezpieczeństwa od samego Vancouver do portu w Seattle pilot prowadził nasz okręt.

Wołam boya okrętowego i zaczynam porządkować swoje walizy. A kiedy ostatecznie zrobiłem z nimi porządek i położyłem się raz ostatni na łóżku okrętowym, zasnąłem z myślą, że jutro będę już w Ameryce, na ziemi, o której tak dawno marzyłem, może przecież już raz wolny.



ROZDZIAŁ XII.

Opinia prof. Musaya uwalnia mnie od dalszych szykan. Przybycie do portu Seattle. Pokonany szpieg okrętowy opuszcza w milczeniu statek. Egzamin z języka polskiego przed „Polską Komisją“. Opuszczenie okrętu. W końcu na ziemi amerykańskiej.

Kiedy na drugi dzień rano, a był to już ostatni dzień drogi morskiej, obudziłem się wczesnym rankiem i wyszedłem z kajuty, spostrzegłem, że płynie bardzo blisko wybrzeża. Przed nami przesuwają się cudny krajobraz wysp amerykańskich. Podjeżdżamy w końcu do jakiejś zatoki na wyspie. Sama wyspa piękna, skalista, z lasami, willami, a cudny poranek dodaje jej jeszcze więcej uroku. W przystani tej zatrzymujemy się blisko dwie godziny celem odbycia kwarantanny. I rzeczywiście niedługo potem amerykańska komisja sanitarna wchodzi na okręt. — Lekarze badają wszystkich podróżnych dokładnie zwracając główną uwagę na oczy

i gardło. Ponadto każdy z pasażerów musi wykonywać gimnastykę szwedzką rękami ponad głową.

Z kolei badają i mnie. Jeden z członków komisji, jak się zdaje detektyw amerykański, który już dnia poprzedniego wsiadł na nasz okręt, odzywa się z uśmiechem do innych: „to jest ten polak, który jedzie do Ameryki“. Widać, że już musiano o mnie mówić i mną się interesować.

Poprzedniego dnia jeszcze we Vancouver wsiadła na okręt amerykańska komisja policyjna (co zresztą dzieje się na każdym okręcie przejeżdżającym) celem zasiągnięcia informacji o pasażerach okrętowych, jadących do Ameryki. Czasem zdarza się, iż na okręcie znajduje się ktoś podejrzany, lub też ktoś za kim idą listy gończe. Takiego więc podróżnego policja amerykańska bierze zaraz w swoją opiekę. Zdarzały się również wypadki, że ktoś podczas wojny jechał okrętem bez paszportu, — tego policja po przybyciu do portu aresztowała, a następnie wysadziwszy na ląd internowała. — Razem z komisją wsiadają na okręt dziennikarze i korespondenci amerykańscy, rządni wiadomości, nowin i sensacji.

To też kiedy okręt ruszył w drogę do portu Seattle dziennikarze ci dowiedziawszy się o wczorajszym moim zajściu z policją angielską, mając widać jeszcze ciągle wątpliwości kim jestem, zaprosili profesora Musaya na konferencję, wpytując się go o mnie. W szczególności zaś prosili go o zdanie, czy rzeczywiście jestem profesorem uniwersytetu? P. Musay będąc dla mnie jak najżyczliwiej i najserdeczniej usposobionym, wyjaśnił dziennikarzom, że ma to przekonanie, iż je-

stem profesorem uniwersytetu? P. Musay będąc dla mnie jak najżyczliwiej i najserdeczniej usposobionym, wyjaśnił dziennikarzom, że ma to przekonanie, iż jestem profesorem, gdyż znam stosunki uniwersyteckie bardzo dobrze. — Człowiek ten oddał mi w tym wypadku bardzo wielką przysługę, gdyż swoim poręczeniem zwolnił mnie może od szeregu innych szykan, jakie byłyby mnie przy wstąpieniu na ląd amerykański spotkały, za co byłem mu nadzwyczaj wdzięczny.

Tymczasem odbywaliśmy kwarantannę. — Zwabieni cudnym porankiem pasażerowie wyszli wszyscy na pokład, rozkoszując się przepięknymi widokami. — Staję oparty o barjerę biegnącą wzdłuż pokładu i zachwycam się uroczą okolicą. Spoglądam od czasu do czasu na morze. Czyste, przejrzyste jak rzadko. Miljony małych jesiotrów kręci się zwinnie dookoła okrętu, wykonując przytem ruchy i zwroty tak szalenie szybkie, wiosłując z taką zwinnością cienkim ogonem, że wzrok człowieka nie jest w stanie podążyć za jednym, gdyż momentalnie ginie on w chmarze swoich towarzyszy.

Ruszamy dalej i wyjeżdżamy powoli z zatoki, a okręcając się na miejscu robimy jakby przegląd cudnej panoramy. Tu góry, tam lasy, tu skaliste wybrzeże, tam lekko opadający brzeg morski. A kiedy okręt nabrał już swego właściwego kierunku i przód jego zwrócony był zupełnie na wschód, popłynęliśmy wolno już wprost do portu Seattle.

Przechodzimy wszyscy na prawą stronę okrętu, gdyż z tej strony widok na krajobraz wybrzeża amerykańskiego był najpiękniejszy. — Przed nami wznoszą się kolosalne góry, prawie, niebotyczne, — u dołu

zupełnie ciemne, dalej w górze jaśniejsze, szczyty ich pokryte są wiecznym śniegiem i lodem. W pięknym, pogodnym poranku szczyty te lśnią się jak góry kryształowe i dodają tyle piękności, tyle uroku całej okolicy, że każdy z nas stoi wpatrzony nieruchomo na miejscu. — Naraz słyszę głos profesora Musaya:

— Panie Kamiński, pan ma cudny pierwszy dzień w Ameryce, powinien się pan cieszyć!

— I rzeczywiście cieszę się bardzo — odpowiadam mu wesoło.

Okręt bardzo powoli posuwał się naprzód, a jednak ostatecznie nadchodzi ta chwila, że brzeg portu Seattle jest od nas oddalony już tylko o parę tysięcy, potem o paręset, a w końcu o kilkadziesiąt kroków. — Widać stromy prawie prostopadły brzeg portu. — Zdaleka jakby rzucone na skały wychylają się z pomiędzy gęstych krzewów i zarośli pojedyncze domy i wille. Poprzymocowane na urwiskach, wiszą prawie w powietrzu i zdaje się, że lada chwila runą w dół, w przepaść.

Miasto widać dopiero gdzieś daleko na prawo. Masę zieleni, masę drzew czaruje nasze oczy. Podjeżdżamy wolno ku dokom, zbudowanym na grubych palach drewnianych. Okręt już tylko wlecze się powoli, jakby zmęczony, jakby wyczerpany tą długą, trzydziestodniową drogą, jakby chciał już raz stanąć i przybić do brzegu. Ociera się jeszcze raz i drugi o drewniane palisady doków, w końcu jednak uwięziony z przodu i z tyłu na linach stanął nieruchomo na miejscu.

Setki silnych, wysokich, barczystych murzynów stoi przed dokami. Wszyscy ubrani porządnie, w cywilnych ubraniach marynarkowych, a wielu z nich ma na

sobie nawet bardzo porządne ubrania granatowe. — Czekają oni wszyscy przybycia okrętu, aby coś zarobić przy wyładowaniu bagażów.

W tej samej chwili, kiedy Kama-Kura-Maru zatrzymał się w porcie, wszyscy podróżni wybiegli z pakunkami i bagażami na pokład. — Ruch, ścisk, zamieszanie wzmaga się coraz bardziej, wszyscy chcą jak najprędzej wysiąść na ląd, wszyscy pchają się naprzód chcąc wyprzedzić jedni drugich. — Równocześnie zaś przez pomost rzucony na brzeg weszła nowa komisja policyjna amerykańska, mająca zbadać jeszcze raz paszporty podróżnych. — Amerykanie są jednak od tej kontroli wolni i dlatego zaraz opuszczają okręt. Natomiast wszyscy inni musieli zejść do pokoju jadalnego, gdzie według papierów okrętowych sprawdzano tożsamość osoby i papiery legitymacyjne każdego, poczem dopiero po otrzymaniu przepustki można było wysiąść z okrętu.

Stałem na pokładzie przypatrując się temu wszystkiemu ciekawie i rozmawiając z profesorem Musayem, gdy naraz podszedł do mnie oficer okrętowy i oświadczył mi, że przed opuszczeniem okrętu, muszę jeszcze złożyć egzamin z języka polskiego, czy rzeczywiście jestem Polakiem.

Zdębiałem usłyszawszy coś podobnego! Więc jakto, jeszcze nie koniec, jeszcze ciągle zajmują się moją osobą?

Tymczasem zaś ruch na okręcie zrobił się nie na żarty. Pasażerowie już bez względu na to, którą klasą jechali, wszyscy jedni przez drugich pchają się

do pomostu, łączącego okręt z brzegiem i opuszczają statek.

I teraz stała się rzecz jedna, dziwna może, która dała mi zupełną satysfakcję za przykrości, które na okręcie podczas tej trzydziestodniowej podróży przeszedłem. Oto żyd detektyw, który przez trzydzieści dni z rządu ścigał i prześladował mnie na statku, chcąc koniecznie pod jednym lub drugim pozorem spowodować moje aresztowanie, zawsze pewny siebie butny i impertynencki, opuszczał teraz okręt. Lecz jakże dziwnie wyglądał on teraz i jak zmienioną była jego fizjonomia, jego całe zachowanie się. Z kołnierzem od zarzutki postawionym do góry, z głową i wzrokiem spuszczoneym na dół, formalnie jakby przygnieciony przybity mojem szczęśliwem przybyciem do Ameryki, przeszedł cicho, skromnie obok mnie i grupy osób z którymi wesoło rozmawiałem, nie mając nawet śmiałości popatrzeć mi w oczy. Ja zaś teraz, tak jak on przedtem, z lekceważeniem i pogardą spoglądałem na niego. —

Przez trzydzieści dni z tym człowiekiem, któremu nigdy w życiu nie złego nie zrobiłem, toczyłem walkę, na pokładzie wiozącego nas wspólnie okrętu, walkę ciężką i straszną, z jego strony o złamanie mej egzystencji, z mej zaś, by go ubezwładnić i unieszkodliwić. Była to walka tem trudniejsza, tem cięższa, że szła ona nie na pięści, nie na miecze, lecz tylko na słowa, a głównie oparta na wysiłku myśli, energii i silnej woli przez nas obu.

Człowiek ten miał wszystkie dane i środki ku temu, aby mnie ścigać, prześladować i gnębić. Był bowiem detektywem, miał przystęp do wszystkich i rze-

czywiście poza mojami plecami starał się wszystkich najniekorzystniej dla mnie usposobić. Tak pasażerom okrętowym jak również i oficerom na statku starał się wszelkimi argumentami udowodnić, że jestem albo rewolucjonistą rosyjskim, albo przestępcą politycznym, uciekającym przed karą do Ameryki, albo też Niemcem oficerem uciekającym z niewoli i t.d. Zawsze ile razy mnie nagle zobaczył, urywał natychmiast rozmowę, garbił się i patrzył z podełba jak pies, który czując że zrobił coś złego, oczekuje uderzenia kijem.

Całą moją bronią przeciwko temu człowiekowi był tylko spokój, równowaga i zimna krew, oraz wyłączenie całej energii umysłowej, aby tego człowieka złać i unieszkodliwić.

Teraz czułem się wynagrodzonym za przebytą mękę.

Czas upływał szybko, pasażerów coraz mniej było na pokładzie, ja zaś zacząłem się niecierpliwić, że nikt mnie do zapowiedzianego egzaminu nie zaprasza i że z okrętu odejść nie mogę. Zapytany przezemnie w tym względzie oficer okrętowy odpowiedział mi, że komisja jeszcze nie nadeszła, ale lada chwila należy się jej spodziewać.

Rzeczywiście po kwadransie wezwano mnie do pałarni. Przybywszy tam zgłupiałem. Komisja bowiem egzaminacyjna dla języka polskiego składała się z jednego typowego Żyda galicyjskiego o dużym nosie semickim. Człowiek ten wygolony zupełnie, chciał z pewnością za wszelką cenę uchodzić za Amerykanina. Niestety silnie rozwinięty nos na pierwsze wejrzenie rozpraszał wszelkie wątpliwości co do jego pochodzenia. Ponadto w skład komisji wchodziły dwie żydów-

weczki w wieku 16 do 18 lat i jakaś pani w żałobie, co do której również miałem silne podejrzenie, że pochodzi z rodu Abrahama.

Tableau! Przed taką to komisją wypadło mi zdać egzamin z polskiego języka. Pierwsze pytanie, jakie zadał mi prezes komisji było: „Pan potrzebuje pewnie tani, elegancki hotel. Proszę tu jest kartka“, — i wyjął anons z kieszeni.

Formalność przeszła szybko. Egzamin zdałem chyba celująco i ostatecznie otrzymałem przepustkę. Spiesznym krokiem wyszedłem na pokład, gdzie już czekał boy z mojemi rzeczami. Parę kroków i przebiegam szybko pomost łączący okręt z lądem, oddaję przepustkę stojącemu przy wyjściu urzędnikowi policji, usuwając przez to ostatnią przeszkodę stojącą mi tu na drodze i w końcu staję na ziemi amerykańskiej.

Nie posiadam się z radości. Za wszelką cenę chcę być jak najprędzej w mieście, chcę stracić z oczu i okręt i wszystkie możliwe komisje, i wreszcie cały port. Do miasta, za wszelką cenę do miasta i to jak najprędzej!

Nie oddając nawet swoich rzeczy do rewizji cłowej, deponuję je w składnicy, rzucam boyowi napiwek, poczem uradowany wybiegam z doku, podchodzę ku szeregowi automobilów, wskakuję do pierwszego z brzegu, rzucam szoferowi krótkie: „Center of the city“ i za chwilę pędzę już do góry po tarasowej serpentynie.



ROZDZIAŁ XIII.

W centrum miasta Seattle. Bar. Śniadanie. Konsula niemiecki. Kupno biletu z Seattle do Nev-Jorku. Zawrotny widok z ganku „Drapacza chmur“. Kawiarnia nocna. Wyjazd.

Dojechawszy do centrum miasta kazałem się zawieść do najbliższego baru. Byłem bowiem jeszcze bez śniadania i poczułem szalony apetyt.

Przybywszy na miejsce zapytałem szofera, ile mu się należy, a na jego odpowiedź „two-fifty“ (2'50) zdumiałem się poprostu. Była to bowiem cena tak wygórowana, że nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że szofer poznawszy obcego przybysza, chce mnie naciągnąć. Ale z uciechy, że ostatecznie przybyłem już do Ameryki, byłbym nawet zapłacił więcej.

Wchodzę do baru i odrazu przy wejściu dają mi jakiś bilet w rodzaju przepustki peronowej. Na nim widzę wydrukowane cyfry 5, 10, 15, 20 i td. aż do 100. Z biletym tym każą mi iść za barjerę pod ścianę, gdzie

na stole leżą tace, noże, widelce. Biorę te rzeczy i posuwam się dalej powoli do kuchni. Podaję bilet, na co kucharz zapytuje, co chcę jeść. Wybór jednak był bardzo trudny. Bo chociaż miałem zamiar napić się tylko kawy, to jednak zobaczywszy cały szereg smakołyków, uległem pokusie. Zamawiam rosół, rybę, kurczę i td.

Ale kiedy te wszystkie potrawy przyniosłem na stół i zasiadłem do jedzenia, okazało się, że mój szalony apetyt gdzieś wskutek uciechy zupełnie zniknął. Próbuje zupy, lecz ta mi jakoś nie smakuje. Skosztowałem ryby, ale i tej nie dojadłem — nadgryzłem kurczęcia, spróbowałem pysznej leguminy, pozatem zaś wszystko zostawiłem nietknięte. Jedna tylko biała kawa zniknęła szybko z mojej filiżanki. Za całe śniadanie zapłaciłem coś 45 centów.

Wychodzę następnie z baru na ulicę i rozglądam się ciekawie wokoło, widząc po raz pierwszy w życiu żywe tętno życia amerykańskiego. Ruch na ulicy szalony. Miasto ma zupełnie inny wygląd, aniżeli te miasta, które jeszcze przed czterema tygodniami widziałem.

Po oryginalnym, a jednak ciężkim typowym wyglądzie miast chińskich i japońskich, widok wielkiego ruchliwego miasta amerykańskiego, w którym życie wrzało, kipiało, tocząc się wartkim pędem, działał na mnie podniecająco, odżywczo. — Poszedłem do miasta bez celu chcąc się jakby zanurzyć w tem wielkiem środowisku ruchliwego życia, zgubić się w niem, przepaść bez śladu. Przechodzę z ulicy na ulicę, obserwując sklepy, domy, ruch uliczny, kolosalną ilość samochodów, zdążających we wszystkich kierunkach.

Gdzieś dopiero około południa zacząłem się dopytywać o konsulat niemiecki, w którym się miałem zgłosić. — Pod wskazanym mi adresem wchodzę do ośmiopiętrowego budynku, gdzie na ostatnim piętrze znajdował się konsulat niemiecki. W pierwszej chwili zapominam, że jestem przecież w Ameryce i po schodach zdążam na pierwsze piętro. Lecz wkrótce jeden z przechodzących obok panów objaśnia mnie, że na ósme piętro jedzie się windą, a nie chodzi piechotą. Wsiadam więc do windy i po paru sekundach pukam już do drzwi reprezentacji niemieckiej.

Z początku przyjęto mnie dosyć chłodno; po krótkich jednak pytaniach informacyjnych, gdy się okazało, że osoby dyplomatyczne, jak również stosunki w ambasadzie austriackiej w Pekinie, w Tientsinie i Shanghaju znam dokładnie i gdy nadto dodałem, że równocześnie ze mną przyszedł tutaj okrętem list z konsulatu austriackiego, nabrano zaufania co do mojej osoby, i okazano mi nawet bardzo dużo uprzejmości.

Podczas rozmowy jeden z urzędników konsulatu zaprowadził mnie do osobnego pokoju i pokazywał z dumą podarunki zebrane dla jeńców na Syberji. Były tam szczyryki, nici, igły do szycia, mydełka, szczoteczki do zębów, brzytwy i td.

Z pewnego rodzaju politowaniem patrzałem na te rzeczy i odezwałem się tylko tyle: ludzie nasi w niewoli rosyjskiej chleba nie mają, giną z głodu i nędzy, robactwo pożera ich żywcem, ponieważ w bieliźnie, w której dostali się przed rokiem do niewoli jeszcze ciągle chodzą. Byłoby raczej pożądanem posłać im cie-

płą odzież, bieliznę, chleb, cukier, herbatę lub inne artykuły spożywcze. — Szczoteczką bowiem do zębów, ani igłą do szycia nie zaspokoi jeniec głodu. Drobnostki, które mi pan tutaj pokazuje nie przedstawiają dla jeńca żadnej wartości. Gdyby je nawet otrzymał pocztą, o czem wątpię, to sprzeda je zaraz pierwszemu lepszemu rosjaninowi za parę kopiejek, aby za to kupić sobie chleba i zaspokoić choć chwilowo głód, który nęka go całymi miesiącami.

Urzędnik spojrział na mnie ze zdziwieniem, uśmiechnął się i powiedział: robimy co możemy.

W tej chwili nadszedł jeden z młodych urzędników konsulatu, z którym udałem się na zwiedzenie miasta.

Seattle leży nad morzem, nad samą zatoką i jest jakby rzucone na wysokim brzegu skalnym, tak że robi wrażenie gniazda przyczepionego do wysokiego szczytu, z którego tarasami opada powoli w dół aż do morza. — Wskutek tego ulice idące wzdłuż miasta, a równocześnie wzdłuż brzegu morskiego wyglądają z wysokości jakby szerokie płótna poukładane na ziemi jedno nad drugim coraz wyżej. — Miasto duże, czyste, kupieckie i ruchliwe.

Idziemy na obiad i następnie udajemy się do kompanji kolejowej w celu nabycia biletu do N. Jorku. Ponieważ miałem dosyć czasu, jak również i pieniędzy, przeto postanowiłem wykorzystać drogę przez Amerykę jaknajlepiej i zobaczyć jaknajwięcej. — Ponadto w kompanji dowiedziałem się, że jazda okrężna z Seattle przez San Francisco do Nowego Jorku będzie niewiele więcej kosztować, aniżeli droga wprost z Seattle

przez Chicago do Nowego Jorku. Wskutek tego zawarłem też zaraz na miejscu umowę o przejazd do Nowego Jorku.

W Ameryce jest zwyczaj, że przy nabywaniu biletu kolejowego, w którejkolwiek bądź kompanji zawiera się z nią formalny kontrakt, t. zn. dostaje się bilet, na którym jest już wydrukowana umowa, że kompanja zobowiązuje się przewieść pasażera w tym a w tym terminie do danego miejsca i że po upływie tego czasu bilet staje się nieważny. Ze strony kompanji podpisuje tę umowę na bilecie urzędnik, który go wystawia i sprzedaje, a nadto jako druga strona sam pasażer.

Bilet na dłuższą przestrzeń jest składany i przedstawia się jak długa taśma papieru, którą w miarę odbytej drogi skracają konduktorzy przez odrywanie tych części biletu, które oznaczają przestrzeń przejechaną.— Bilet taki jest po największej części kombinowany i zlepiiony z poszczególnych biletów. Jest pożądanem jednak na wszelki wypadek jeszcze raz samemu skontrolować cały bilet, czy przypadkiem nie ma tam mylnego zestawienia miast lub też tury, którą chce się przejechać, gdyż bardzo łatwo, — zwłaszcza przy większej kombinacji — urzędnik może się pomylić, a wtenczas podróżny narażony jest na wielkie nieprzyjemności, co niestety i mnie wskutek zaniedbania kontroli później się przytrafiło.

Po załatwieniu tych wszystkich formalności udajemy się do portu tramwajem.

Przy tej sposobności dowiaduję się jak wysokie

frycowe zapłaciłem przy wstępie do Ameryki. Z portu bowiem do centrum miasta jechałem automobilem i za to zapłaciłem 2 dolary 50 centów. Obecnie tę samą drogę odbywam tramwajem za 5 centów.

Zbliżamy się do portu. Przy wszystkich bramach prowadzących do doków portowych stoją cywilni milicjanci pełniący służbę bezpieczeństwa. W dokach portowych bowiem jak zresztą i w innych pracowniach Seattle panuje strajk i zanosi się na zaburzenia.

Po krótkiej rozmowie, upewniwszy się poprzednio, że nie jesteśmy robotnikami, milicjanci puszczają nas w obręb portu. Wchodzimy do budynku cłowego, gdzie zdeponowane są moje rzeczy. Po odbyciu rewizji celnej, która nawiasem mówiąc skończyła się dla mnie pomyślnie, ładujemy rzeczy moje na pierwszy z brzegu wóz transportowy.

Wyszedszy przed urząd celny na molo spoglądam na „Kama-Kurę-Maru“. Stoi cichy i spokojny, a tylko cztery silne windy wyładowują z wnętrza jego stopy towarów przywiezionych z Azji i Japonji. — Pokłady jego opróżnione. Grupa tylko oficerów okrętowych stoi przy barjerze okrętu i zabawia się rozmową.—Poznają mnie i uśmiechają się wesoło. Rzucam im zdaleka ostatnie „Good-bye“ — i na wozie transportowym odjeżdżam z pakunkami do miasta wprost do kompanji kolejowej, u której już poprzednio nabyłem bilet z Seattle przez San Francisco, Los-Angeles, Chicago do Nowego Jorku. — Bagaże bowiem moje w myśl przepisów kolejowych miały być przewiezione ze mną za darmo.

Po odstawieniu bagaży proponuję mojemu towarzysowi małe piwo. Ze zdziwieniem jednak słyszę, że

w całym Seattle a nawet i całym zachodzie Ameryki niema nietylko żadnego piwa, ale wogóle alkoholu. Jak mnie następnie mój towarzysz objaśnił, panował w tym czasie w tamtych stronach „suchy trust“ wskutek którego, żadnych alkoholów nie używano i nie sprzedawano. — Z powodu bowiem wyborów do rady miejskiej w jednym z miast, które wypadły niepomyślnie dla partji robotniczej, robotnicy postanowili zdemontrować przeciw temu w ten sposób, że zobowiązali się przez kilka lat utrzymywać w stanach zachodniej Ameryki tak zwany suchy trust. Trzeba więc było zrezygnować z zachcianki i pomimo szalonego upału jaki w tym dniu panował gasić pragnienie wodą.

Jak już wspomniałem Seattle budowane jest na tarasach wzdłuż morza tak, że co jedna ulica to biegnie wyżej aż ostatecznie do samej góry miasta dojeżdża się już potem serpentynami.

Mnóstwo budynków nowych, w szczególności piękne wille toną prawie w zieleni, jak to ma miejsce na czternastej ulicy tak zwanej Capitol Shel. — Jest to ulubione miejsce wycieczek pieszych i automobilowych.

Górna część miasta nie jest jeszcze zupełnie zabudowaną i tylko wygodne szerokie serpentyny jako przyszłe ulice przecinają równolegle wzgórze.

Budynki dochodzą aż do 15 pięter wysokości. Na szczególniejszą jednak uwagę zasługuje tutaj najwyższy na zachodzie budynek mający 42 piętra należący do kompanji Z. C. Smith Building and lut. Trainer — Seattle. Washington. — Za opłatą dwudziestu pięciu centów wyjeżdża się windą na szczyt tego drapacza, kończącego się wieżą, poczem wychodzi się na ganek

otaczający kopułę. — Ganek ten zabezpieczony jest wysokimi żelaznymi prętami, tworzącymi razem jakby klatkę otaczającą kopułę, która ma przeszkodzić wypadnięciu zwiedzających lub też rozmyślnemu samobójstwu. Były bowiem już i takie wypadki.

Widok z wieży przepiękny. Wprost przed sobą, gdzieś daleko w dole rozlewa się morze, po którym statki parowe, łódki, jachty, snują się jak stada kaczek lub drobne punkciki. Na prawo rozciąga się miasto.

Ponieważ w samym centrum miasta pomiędzy zabudowaniami niema prawie żadnych ogrodów, żadnej zieleni, przeto wysokie kamienice tworzą duży kwadrat w środku którego stykają się małe podwórza, sprawiając wrażenie szeregu wysokich obok siebie poustawianych pudełek od zapalek. — Cały ten widok z góry z 42-go piętra wskutek braku zieleni przedstawia się też nader sucho i nieinteresująco.

Natomiast na lewo rozciąga się piękna panorama okolicy ginącej formalnie w zieleni, kończącej się wysoką skalistą górą na horyzoncie, — przypominającą jakby japońską Fuzi-Yamę.

Wyszedłszy na wieżę i znalazłszy się pierwszy raz w życiu na 42-gim piętrze, poznałem dopiero co znacząca kolosalna wysokość. Dopóki byłem w pokoju w środku wieży na ostatnim piętrze, z którego na cztery strony świata wychodzą duże okna, — miałem zupełnie wrażenie, że jestem w jakiejś małomiasteczkowej panoramie i oglądam przez szkła ładne widoki. — Dopiero kiedy wyszedłem na ganek okalający kopułę, poczułem zrazu jakby jakiś lęk przed tak olbrzymią wysokością. — W pierwszej chwili patrzyłem tylko wprost

przed siebie, czując, że stoję na niepewnych nogach, bojąc się silniej dotknąć żelaznych sztachet ganku i próbując jakby przyzwyczaić się do tego widoku, który roztaczał się daleko w dole podemną.

Mimowoli spojrziałem na dół i poczułem lekki zawrót głowy. Ulice, domy, tramwaje, ludzie, wszystko to zdawało się leżeć jakby w jakiejś przepaści. Ulice jak wązkie wstążki rozbiegały się w różnych kierunkach. Tramwaje elektryczne, koleje, automobile wydawały się jak pudełeczka zapalek, ludzie jak mrówki, kręcące się bezradnie powoli po ziemi. Miałem wrażenie, że wóz tramwajowy lub auto potrafiłbym ująć z góry palcami jednej ręki i przenieść na inny tor lub nawet ulicę.

Całe miasto leży u stóp, wszystko widać dokładnie. Przedemną wznosi się jakaś czternasto piętrowa kamienica; od parteru, aż do ostatniego piętra znajdują się tam same biura handlowe. Mam dokładny przegląd nie tylko wszystkich pięter, ale i wszystkich pokoi, tak, że każdego pracownika mogę dokładnie obserwować.

Spoglądam z kolei z trzeciej strony wieży. Jest to widok na zatokę morską, widok może najładniejszy. — W przystani rozpoznaję między statkami mojego Kama-Kurę-Maru, który obecnie wypoczywa po długiej podróży z Hong-Kongu do Ameryki.

Schodzimy na dół. Błąkamy się po ulicach, robiąc drobne zakupy na dalszą drogę. W końcu wступuję do hotelu na krótki odpoczynek.

Nadchodzi wieczór. Jakkolwiek jestem znużony całodzienną wędrówką po mieście i przejęty wrażeniami dnia tego tak, że chętnie udałbym się na spoczynek, to jednak wychodzę na miasto. Po kolacji która

przeciąga się dosyć długo wychodzimy po północy na miasto i wступujemy na czarną kawę do jednej z koncertowych kawiarni, gdzie zapoznałem się z nocnym życiem w Ameryce.

Wszystko rozbawione w najlepsze, jakby to nie była późna godzina w nocy, lecz dopiero początek zabawy.

Duża sala kawiarni zapełniona była po brzegi publicznością. Wzdłuż czterech ścian biegły szeregi stolików, przy których siedziało towarzystwo mieszane. W jednym rogu przygrywała orkiestra na mandolinach, środek zaś sali w kształcie kwadratu był zupełnie wolny i tam tańczyli goście „two-step“ ile razy zagrała orkiestra. — W całej bowiem Ameryce jest przyjęty zwyczaj, że w restauracjach i kawiarniach, gdzie gra muzyka, goście tańczą bezpłatnie i bawią się z całą swobodą.

W górze dookoła sali biegną wygodne łoże, w których całe towarzystwa zabawiają się wesoło. A choć nie podawano żadnych alkoholów i tylko roznoszono wodę sodową z sokiem, jako jedyny napój, to jednak nastrój w kawiani był tak wesoły i sympatyczny, że nawet się nie spostrzegłem jak przeszła trzecia godzina nad ranem.

Trzeba było wracać do hotelu.

Kiedy znalazłem się w swoim pokoju z dziwną jakąś rozkoszą i zadowoleniem spojrzałem na szerokie wygodne łóżko amerykańskie. Po 30 nocach przespanych na okręcie w ciasnym łóżku okrętowym, które przez pierwsze dwie noce zdaje się być bardzo wygodnym, ale później zato z każdą nocą staje się coraz przy-

krzejszem i ciaśniejszem, — wypoczynek na prawdziwym łóżku był nie małą przyjemnością.

Trzeciego dnia ruszyłem w dalszą drogę. Chłodny poranek wrześniowy unosił się nad miastem. Długimi, szerokimi serpentynami zjeżdżamy autem z centrum miasta ku stacji kolejowej, położonej zupełnie w dole. Już jesteśmy na dworcu kolejowym i na peronie, a jednak pomiędzy szynami pędzimy jeszcze ciągle z dawną szybkością. W końcu o jakie dziesięć kroków od pociągu, do którego miałem wsiadać zatrzymuje się automobil. Jeszcze nigdy w życiu z taką paradą nie zjechałem na dworzec kolejowy. Lokuję się coprędzej w wagonie i po chwili pożegnania z moim towarzyszem z konsulatu i amerykańnikiem, który nas przywiózł na stację, wyjeżdżam z Seattle i zdążam kurjerem do San Francisko.





ROZDZIAŁ XIV.

Droga do San Francisko. Wnętrze wagonów na kolei amerykańskiej. Wrażenia z podróży.

Usiadłem przy oknie i z ciekawością oglądałem okolicę. Zwraca moją uwagę to, że wzdłuż toru kolejowego, którym jadę biegnie sześć do siedmiu innych torów, bądź to kolejowych bądź tramwajowych, po których toczą się wozy lub też całe pociągi różnych kompanji.

W Ameryce bowiem jest przyjętem, że jedna kompanja kolejowa buduje linję obok drugiej, nieraz w odległości niecałych tysiąca metrów, aby w ten sposób uzyskać jaknajszyszy transport swoich towarów, produktów lub też eksploatowanych surowców. — To też kiedy przejeżdża się przez Kalifornię widzi się całe masy pociągów biegnących wzdłuż równoległych torów. — Jedne z nich posuwają się gdzieś w dole, drugie wyżej, inne zaś górą poprzez rzucony wiadukt przecinają naszą linję.

Przepiękne widoki roztaczały się wokoło nas. Kraj górzysty pokryty lasami przedstawia coraz to nowe

obrazy, zmieniające się tak szybko jak w kalejdoskopie. Na prawo od pędzącego pociągu ciągnie się jeszcze od czasu do czasu brzeg morza, który miejscami tworzy większe lub mniejsze zatoki, dodające całej okolicy tem większego uroku.

Wychodzę ze swego wagonu i przez szereg innych dostaję się do ostatniego tak zwanego wozu turystycznego. — Jest to poprostu salonik, zakończony wygodnym gankiem czyli pomostem. Kilkunastu podróżnych siedzi już tutaj na małych składanych stołeczkach i obserwuje wygodnie okolicę, którą przejeżdżamy.

Kompanja „Union Pacific Company“, której pociągiem jechałem, należy do jednej z największych w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a pulmanowskie jej wagony są urządzone z komfortem. Pociąg taki składa się z dwudziestu cztero-osiowych wagonów. Każdy wagon zaś z dwóch części; w pociągu jest tylko I-sza i II-ga klasa, nadto wagon restauracyjny. — Na końcu pociągu przyczepiony jest wagon turystyczny.

Wagony I-szej klasy składają się z dwóch części. W pierwszej połowie znajdują się wygodne pluszowe kanapy, zwrócone siedzeniami do siebie. Podróżny, który ma prócz biletu jazdy także i bilet sypialny, ma prawo zająć jedną ławkę. W drugiej połowie wagonu znajduje się przedział z wygodnymi siedzeniami do palenia papierosów, toaleta i umywalnia. W umywalni poskładane są stopy małych, czystyutkich ręczników, które po użyciu rzuca się do stojącego w kącie kosza.— Ponadto w każdym wagonie jest syfon z wodą do picia i kubki z nieprzemakalnego papieru.

Z nadejściem nocy pierwsza połowa I-ej klasy za-

mienia się na wagon sypialny. — Mianowicie dwie kanapy, czyli dwa siedzenia zsuwa się z sobą szczelnie, wskutek czego powstaje wygodne łóżko. — Ponadto od powały spuszcza się ruchome wieko, które tworzy drugie łóżko, jakby rodzaj pierwszego piętra. Od sufitu zaś do ziemi spadają grube pluszowe portjery, które tworzą korytarz przez całe pół wagonu. — Każde łóżko zaściela następnie murzyn czystym prześcieradłem, miękkim kocem i dodaje do tego czystą poduszkę. W rogu u góry tego wygodnego gniazdka sypialnego znajduje się mała lampka elektryczna, która jasno oświetla tę malutką sypialnię.

Wagony II-giej klasy składają się z szeregu foteli o ruchomych oparciach, które w miarę kierunku pociągu przekłada się w jedną albo w drugą stronę. Tutaj podróżni, którzy nie mają biletu sypialnego przepełniają noc w siedzącej pozycji.

Trzeciej klasy pociągi amerykańskie nie mają.

Do każdego wagonu I-szej klasy przydzielony jest murzyn, który ma dbać o czystość i utrzymanie porządku w swoim wozie. Kiedy pociąg zajedzie na stację, murzyn otwiera drzwi wagonu, odkrywa stopnie, a nadto stawia pod nimi mały stołeczek, aby podróżni mogli wygodnie wsiadać i wysiadać. — Przed przyjazdem do stacji oczyszcza on z kurzu podróżnych, którzy mają wsiąść, przeciera im buciki, przygotowuje walizy i wynosi je następnie przed wagon. — On też dba o porządek w wagonie, ściela łóżka, czyści rano ubranie, a wszystko to robi zgrabnie, delikatnie, szybko, bez najmniejszego polecenia lub prośby ze strony podróżnych.

Murzyni ci ubrani są wzorowo czysto. Noszą granatowe spodnie bardzo często lakierki i śnieżnej białości płócienną jakę, zapinaną na złote guziki.

Również i konduktorzy kolejowi ubrani są elegancko. Wszyscy w granatowych ubraniach marynarkowych, nierzadko w lakierkach, czyściutka, świeżo wyprasowana bielizna, zgrabnie zawiązana krawatka, świeże nowe rękawiczki dodają im tyle szyku i elegancji, że robią oni wrażenie podróżnych, a nie służby kolejowej.

Przy wsiadaniu do pociągu oddaje się bilet konduktorowi, który wkłada go do odpowiedniej koperty, wypisuje na niej nazwisko podróżnego, poczem kupon od koperty wraz z numerem oddaje jako zastaw gościowi. Bilet zaś zatrzymuje konduktor u siebie. Ponadto zatyka on każdemu podróżnemu, od którego odebrał już bilet, mały kartonik koloru zielonego lub czerwonego za kapelusz, jako odznakę, a względnie legitymację przy wyjściu gościa z pociągu na jakiejś stacji, a zarazem jako znak dla konduktora, że od tego podróżnego odebrał już bilet do przechowania.

Wagony restauracyjne urządzone są tak samo jak u nas. Jest jednak wielka różnica w podawaniu potraw. Przedewszystkiem porcje potraw są tak wielkie, że jeden zamawiający nie jest w stanie sam tego wszystkiego spożyć i połowa z tego co zamówi wraca do kuchni. I tak zupę lub rosół podają każdemu gościowi z osobna w całej wazie. Porcje zaś ryby, pieczeni i leguminy są tak wielkie, że nie jeden, ale dwóch spokojnie może się nimi pożywić. Obiad z czterech dań kosztował w tym czasie 1 dolar 20 centów, czyli, że

na jedną osobę wypada 60 centów, a to jest poprostu za bezcen.

Po zajęciu przez podróżnego miejsca przy stole w wagonie restauracyjnym, natychmiast zjawia się mурzyn, podaje spis potraw, kartkę z notesu i ołówek. Gość czyta menu, wypisuje na kartce potrawy, które zamawia, oddaje ją kelnerowi, poczem dopiero otrzymuje obiad lub kolację.

Jest także inny sposób urządzenia sobie posiłku w czasie podróży. W restauracjach bowiem kolejowych, gdzie pociąg dłużej się zatrzymuje, sprzedają paczki tekturowe, w których zapakowane są kanapki z masłem, szynką, ser, owoce i td. — Podróżni zakupują gotowe te paczki w bufecie stacyjnym i zabierają je z sobą od wagonu.

Około godziny 4-tej popołudniu przyjeżdżamy do stacji Portland. Ponieważ muszę czekać na połączenie do 10-tej w nocy, przeto idę zwiedzić miasto. Jest ono ładne, małe, czyściutkie, składające się z pięknych will, a odznacza się tem, że wieczorem jest silnie oświetlone. Mianowicie wzdłuż ulicy na poprzek od jednej strony ulicy na drugą przerzucone są wielkie łuki, zaopatrzone setkami lamp elektrycznych. A kiedy lampy te zaświecą się wieczorem cała ulica płonie łukami światła i tonie formalnie w morzu lamp dając przepiękny widok. Prawdziwa iluminacja.

Przed 10-tą byłem już z powrotem na stacji, a niedługo potem wsiadłem do pociągu odchodzącego do San Francisko. — Wprowadzono mnie odrazu do wagonu sypialnego, do przygotowanej malutkiej sypialni.

Drugi dzień podróży przez Kalifornię do San Fran-

cisko był jeszcze piękniejszy aniżeli pierwszy. Widoki, krajobrazy, okolice zmieniały się z każdą minutą, a były tak piękne i oryginalne, że nawet amerykanie, a więc ludzie tamtejsi byli tem wszystkiem tak zachwyceni, że prócz słów uznania i zachwytu, ciągłych wykrzykników i pochwał nie więcej nie było słychać. Każdy z nich robił też ciągle zdjęcia „Kodakiem“.

Tymczasem pociąg wznosi się coraz wyżej i około południa byliśmy już na wysokości 2000 metrów ponad poziomem morza. Chwilami wpadamy w wysokie wąwozy, pokryte lasami lub też dzikie ustronia bezleśne, to znowu wyjeżdżamy na szerokie równiny, z których widok daleki rozciągał się na okolicę. Od czasu do czasu pociąg ginie nagle w tunelu i przepada w jego ciemnościach, a kiedy wyjedzie na światło dzienne, znajduje się w okolicy jeszcze piękniejszej. I tu znowu widać nowe pociągi sąsiednich kompanji bądź to wysoko nad sobą, bądź też nisko w dole, nierzadko też krzyżują się tunele poszczególnych kompanji kolejowych nad sobą w dwóch lub trzech piętrach.

Służba kolejowa jak budnicy, zwrotniczowie przetokowi i tđ. nie mają mundurów jak u nas, lecz każdy z nich chodzi w porządnem cywilnem ubraniu. Solidne buciki, kapelusz, rękawiczki amerykańskie z szerokimi mankietami, porządne ubranie, na które niektórzy z nich naciągają szerokie szarawary z szelkami, oto strój każdego z nich. — Nie widziałem też nigdzie w całej Ameryce tak zabrudzonych i zasmarowanych funkcjonariuszy kolejowych jak to spotykamy u nas. — Budnicy, nie używają żadnych chorągiewek, znak ręką w zupełności wystarcza. — Często przy stacjach kole-

jowych niema żadnych ramp na drogach lub ulicach. Zamiast tego jest na słupie żelaznym umieszczony dzwon, który przez cały czas przejazdu pociągu przez drogę lub ulicę dzwoni automatycznie. — Maszyny kolejowe zamiast gwizdków używają dzwonów.

Wszystko tam jest inaczej jak u nas. Nawet miasta buduje się odmiennie bo najpierw wyznacza się szerokie ulice, a następnie dopiero stawia przy nich domy, wskutek czego dalsza regulacja ulic zupełnie odpada.

Minęło już południe i czuć było, że przejechaliśmy szczyt najwyższy w tej okolicy i zaczynamy powoli zjeżdżać po pochyłości na dół. O ile przedtem podróż była piękna i przyjemna, o tyle teraz jazda sama jest jeszcze w dodatku szaloną. — Pociąg staczając się z góry pędzi bez opamiętania, to jadąc wprost, to zginając się na łukach i serpentynach. — Chwilami wpadamy w kotłinę, by odpocząć na jakiej stacji, to znowu wznosimy się lekko do góry. Przejeżdżamy przez wspinała, po mistrzowsku zbudowane wiadukty. Pędzimy po drewnianych pomostach długości kilkuset metrów, spoczywających tylko na drewnianych palisadach, to znowu wpadamy w lasy, gdzie drzewa są tej grubości, że czterech ludzi zaledwie je obejmie.

Okolo 5-tej popołudniu zsuwamy się z szaloną szybkością po szynach. Czuć formalnie, że lecimy gdzieś w przepaść. — Wielkimi łukami opadamy coraz to niżej, a równocześnie widać o jakie tysiąc metrów w dole tor kolejowy, którym niedługo będziemy przejeżdżać.

W końcu jeden łuk wielki już na samym dole, nad bystrym strumieniem przeciskającym się pomiędzy

skałami porośniętymi młodym gajem. Długi z dwudziestu czteroosiowych wagonów złożony pociąg zwalnia biegu, i ledwo porusza się naprzód, — zataczając równocześnie łuk ogromny. Jest chwila, kiedy ma się wrażenie, jakby maszyna chciała się złączyć z ostatnim wozem, — lecz w tym samym prawie momencie bucha na nowo dym z komina, maszyna oddycha silniej, powoli skręca się na prawo, cały pociąg zaczyna się na nowo prostować i już znowu po chwili jedziemy dalej w normalnem tempie. Droga idzie zupełnie w dole na dnie niebotycznego tak ciasnego wąwozu, że formalnie ręką można dotknąć ścian jego.

Stacja kolejowa! — słyhać naraz głos konduktorów.

Stajemy, opuszczamy wagony i wychodzimy na peron. Wszystko spieszy poza stację, gdzie znajdują się źródła kwaśnej wody. Tryskająca woda spada licznemi kaskadami na dół po skałach, tworząc tak zwane po naszymu siklawy. Obok stoi pawilon, w którym sprzedają pyszne suchary, andruty, keksy i td. Pijemy wodę papierowemi kubkami zajadając keksy i andruty.

Nagle odzywają się zewsząd głosy: siadać, siadać, pociąg odchodzi. Wracamy do wagonów i po chwili ruszamy dalej przepiękną okolicą. Lecz niedługo już tego ładnego widoku, ponieważ zapadający mrok zasłania wszystko przed nami. — Wchodzi murzyn do wagonu i zaczyna słać łóżka. Udaję się na spoczynek i zastanawiam się nad tem, czy rzeczywiście jest prawdą to wszystko co widzę, czy rzeczywiście, jutro rano mam być w San Francisco, w mieście, o którem

w Taszkencie marzyłem tylko jak o śnie jakimś nieziszczonym.

W wagonie robi się coraz ciszej. Podróżni udają się na spoczynek wcześniej, gdyż nazajutrz wczas trzeba będzie wstawać. O 8-ej rano będziemy już na miejscu a przed przybyciem na stację wszystko, — zwyczajem amerykańskim — musi być w porządku: wagon sypialny zamieniony na pasażerski, rzeczy wszystkie spakowane i przygotowane do wyniesienia, goście ogoleni, umyści, oczyszczeni, jak gdyby nie przyjechali z podróży, lecz dopiero w drogę się wybierali.

A tymczasem monotony ruch pociągu i stuk kół usypia mnie powoli.





ROZDZIAŁ XV.

San Francisko. Dworzec. Przyjazd do hotelu.

Około 8-ej rano przyjeżdżamy na stację San Francisko. — Ogromny dworzec, budzi podziw i zainteresowanie. Wszyscy z pośpiechem opuszczają wagony. Wysiadam za innymi i nie mając pojęcia gdzie pójść i którądy się udać, podążam z tłumem podróżnych zmierzając do ogromnego peronu, nakrytego kolosalnym oszklonym dachem. — Z początku oglądam się za pakierem, któryby poniósł moje walizy; widząc jednak, że każdy amerykańczyk niesie spokojnie swoje dwie walizki domyślam się, że i mnie to uczynić wypada.

Wchodzimy ostatecznie na peron ogromny, którego końca prawie że nie widać. Gubię się w tłumie, ale idę za nim i daję mu się unosić, gdyż mam to przekonanie, że mnie jak fala wyniesie znowu na powierzchnię i wyrzuci tam, gdzie trzeba będzie wyjść na ulicę.

Niby jestem ucieszony tem wszystkim co się ze mną dzieje, a jednak w tym ogromie, w tej fali ludzi, pomimo całej radości i zadowolenia czułem się jakiś

samotny, nieswój, opuszczony. — Gdybym miał choć jednego człowieka przy sobie, z którym mógłbym podzielić swą radość, swoje wrażenia, swoje przeżycia, powiedzieć choć jedno słowo: „cieszę się i jestem zadowolony“. Niestety, na tej drugiej półkuli świata byłem sam jeden.

Mijamy powoli peron i zbliżamy się do wyjścia. — Wszystkie bramy otwarte, przez wszystkie ludzие się tłoczą, lecz którą ja mam przekroczyć, inne mam pojęcia. Fala ludzi jednak niesie mnie wytrwale dalej i pociąga za sobą do jednej z bram. Dźwigam swoje walizy i powoli zaczynam odczuwać zmęczenie. Nie wiem dokąd zdążam, jak długo będę jeszcze dźwigał swoje pakuiki, ale idę wytrwale naprzód.

Naraz przy bramie wyjściowej podchodzi do mnie murzyn, jakiś portjer hotelowy, w czerwonej czapce na głowie i bełkocząc coś niewyraźnie chce odebrać moje walizy. Chociaż dobrze nie rozumiem o co chodzi, to jednak zmęczony zgadzam się na to w przypuszczeniu, że chce mi dopomódz. Ten jednak zabiera moje pakuiki i bagaże, kładzie na ręczny wózek, już i tak wysoko naładowany, wyjeżdża szybko z nim z peronu i znika zupełnie z moich oczu. Widząc to przestraszyłem się nie na żarty.

Tymczasem opuszczamy peron i odrazu wsiadamy na statek, który ma nas przewieźć na drugą stronę rzeki. Pomimo jasnego, pogodnego dnia brzeg przeciwny widać bardzo słabo; przysłania go bowiem gęsta mgła.

Skoro tylko statek zapełnił się podróżnymi już łuki okrętowe zaczynają pracować, wachlarze kół bić

o wodę i statek odbija od bramy. — Wszystko to odbywa się tak prędko, następuje tak szybko po sobie, tak prawdziwie po amerykańsku, że trudno mi się jest poprostu orjentować. — Ot, jakby się człowiek dostał w tryby jakiejś wielkiej maszyny.

Płyniemy przez szeroką rzekę prawie pół godziny, a obok nas przepływają statki z pasażerami zdążające w jedną i drugą stronę. — Liczne tendry holują na promach całe pociągi towarowe. — Mimowoli nasuwa się pytanie jak może taki ciężar utrzymywać się na powierzchni wody i nie zatonać.

Powoli wyłania się brzeg przeciwny. Domy, budynki, wysokie gmachy coraz widoczniejsze. Zdaleka ponad wszystkim widnieje kolosalny numer 57 (oznaczający numer dzielnicy). Myślę dobry znak jest to bowiem numer mojego pułku piechoty. — Przybijamy do doku do bramy, wysiadamy na dworcu, który jest taki sam wielki jak ten, z którego niedawno odjechaliśmy. Zabieram swoje rzeczy wsiadam do auta i jadę do hotelu, który jeszcze w pociągu w drodze z książki adresowej sobie wyszukałem. — W Ameryce bowiem w każdym pociągu obok całego stosu przewodników po Ameryce, znajduje się także dokładna książka adresowa wszystkich hoteli amerykańskich, z podaniem cen i wygód jakie w danym hotelu można otrzymać. — Zajeżdżam więc tam, melduję się, składam rzeczy i za pół godziny spaceruję już po San Francisco.



ROZDZIAŁ XVI.

Ogólne wrażenie miasta. Czystość. Komfort. Plaża.

Gdyby się mnie kto zapytał, gdzie chciałbym obecnie zamieszkać przez dłuższy czas dla odpoczynku, odpowiedziałbym spokojnie: w San Francisco. Tak pięknem, tak uroczem, a zarazem cichem i spokojnem jest to wielkie miasto. Widok jego mam jeszcze ciągle w pamięci.

Zbudowane jest na górze nad samym brzegiem morza. U stóp swych od strony zachodniej ma szeroką plażę piaszczystą, po której odbywają się tłumne spacery. Liczy około 500.000 mieszkańców i przedstawia się jakby jedno wielkie miasto pięknych willi. — W środku miasta na górze znajduje się duży park, miejsce ulubionych wycieczek i spacerów.

Wzorowa czystość uderza na każdym kroku jako charakterystyczna cecha miasta. Nigdzie brudu, nigdzie pyłu, nigdzie komina fabrycznego nie widać. innego zajęcia — dla zabicia czasu czyszczą płamy.

Stawianie fabryk w tem mieście jest ustawą zakazane. To też powietrze tutaj jest świeże, czyste i zdrowe. — Wszystkie domy, to śliczne wille, zbudowane w najrozmaitszym stylu, a przed każdą z nich znajduje się mały ogródek, tak, że się ma wrażenie, że jest się nie w wielkiem mieście, lecz w jakimś kąpielowem ustroniu.

Jedna część miasta znajduje się na górze, reszta zaś rozciąga się na równinie w ogrodach. W dzielnicy zabudowanej na górze, ulice opadają stromo na dół, a wzdłuż nich budowane są domy. To też kiedy jedzie się tramwajem w tej części miasta, ma się wrażenie, jazdy kolejką zębatą.

Tramwaje przecinają miasto we wszystkich kierunkach i dochodzą na sam szczyt góry wzorowo budowanymi serpentynami, skąd rozciąga się cudny widok na całe miasto i okolice. — Stojąc tutaj zwrócony ku morzu to jest ku zachodowi, ma się na górze piękne gaje, przed sobą morze, na prawo zaś daleko rozciągające się miasto tonące w zieleni ogrodów.

Schodzę nad brzeg morza, gdzie na szerokiej plaży odbywa się tłumna promenada. Ze względu na to, że jest to niedziela, całe rzesze mieszkańców wyszły tutaj i delektują się morzem, cudną przyrodą i to każdy na swój sposób. Jedni kąpią się w morzu i harują wśród bałwanów, które od czasu do czasu pędzą gwałtownie ku brzegowi, drudzy urządzą wyścigi po piasku, a inni przechadzają się lub też leżą swobodnie na wybrzeżu. Są także i tacy, którzy z braku innego zajęcia, czyszczą plamy swych ubrań piaskiem

morskim, który jakkolwiek mokry nie czepia się zupełnie ani obuwia ani ubrania.

Idę dalej plażą, która coraz bardziej podnosi się w górę, a w końcu przemienia się w wysoki brzeg skalisty. U podnórza tegoż znajduje się mały prater wiedeński: jak zakłady fotograficzne, karuzele z konikami, strzelnice i td. Jest nawet menażerja, w której znajdują się wszystkiego cztery zwierzęta: dwie młode i dwie stare nerpy. — Z braku innego zajęcia zwiedzam te rzeczy, jednakże nudzi mnie to wszystko i dlatego stromą drogą prowadzącą wzdłuż morza zmierzam na skaliste wybrzeże, gdzie na górze znajduje się obszerny budynek, a wkoło niego wygodny deptak służący do promenady. W budynku tym mieści się herbaciarnia japońska, w której usługują córy Japonji, — w swych oryginalnych kimonach. Niestety są one tak stare, że psują mi całkowicie piękne wspomnienia przywiezione z sobą z za oceanu.

Z powodu zapadającego wieczoru wracam do miasta. Ulice, jedna za drugą zaczynają się oświetlać. — Wychoǳę na główną, szeroką na jakie 20 metrów. Piękne, kolosalne wystawy, jakich jeszcze nigdy nie widziałem przykuwają moją uwagę. Ulica tonie w świetle lamp elektrycznych. Co kilkaset kroków kino, a każde z nich wspaniale oświetlone i reklamowane. Wstęp do każdego z nich kosztuje 10 centów bez względu na miejsce. Późnym już wieczorem wróciłem do hotelu.



ROZDZIAŁ XVII.

Przez Los-Angeles do Grand-Canyon. Na Dzikim Zachodzie. Góry ogniste. Budynek indyjski. Król puszczy i lasów tańczy. Wycieczka do rzeki Kolorado.

Z San Francisco skierowałem się jeszcze więcej na południe do Los-Angeles, a następnie podjechałem ku samej granicy meksykańskiej, poczem dopiero zwróciłem się na wschód, zmierzając do miejscowości Grand-Canyon, o której nie mało nasłuchiwałem się podczas podróży na okręcie.

Droga z Los-Angeles w kierunku Grand-Canyon ciągnie się pomiędzy samymi sadami owocowymi. Całemi godzinami w ciągu dwóch dni jedzie się raz sadem jabłoni, to znowu grusz, bądź też winnych krzewów lub innych drzew owocowych. Sady te są niskopienne, wzorowo prowadzone i utrzymywane.

Wszystkie drzewa sadzone są pod sznur w ten sposób, że z którejkolwiek strony patrzy się na nie, we wszystkich kierunkach widać tylko prostą linię drzew. W jesieni, kiedy już owoce zaczynają dojrze-

wać, pod każde drzewo ścielą grubo słomy, aby opadające owoce nie obijały się i nie niszczyły. Wszystkie pnie drzew pociągnięte są wapnem aż pod samą koronę dla ochrony przed owadami.

Po drodze po stacjach spotyka się duże fabryki owoców. Tutaj gromadzą wszystkie owoce i sortują je. Zupełnie zdrowe wysyłają starannie opakowane w świat, cokolwiek zaś nadbite, lub nadpsute przerabia się na kompoty konserwowe, resztę suszy się. — Fabryki te, te kolosalne gmachy, dochodzące nieraz czterech do pięciu pięter wysokości.

Dalsza droga ciągnie się już pomiędzy samymi piaskami. Pociąg bez przerwy toczy się po piaszczystych równinach, a monotonność okolicy jest wprost przygnębiająca. Nigdzie drzewa, nigdzie zieleni.

Ostatecznie odjechałem któregoś południa do Grand-Canyon, cudnej okolicy gór ognistych na zachodzie. — Byłem poprostu zdumiony, że tutaj znajdują się tak cudne i urocze okolice i widoki podczas gdy niedaleko stąd rozciągają się tylko szerokie piaski, na których nic innego zobaczyć nie można, jak tylko gromady małych zwierzątek, podobnych do chomików, oraz rzadko rozmieszczone wzdłuż toru kolejowego domki indyjskie.

Koleją lokalną przyjechałem do Grand-Canyon. Kiedy dojeżdżaliśmy już do tej miejscowości, cała okolica zaczęła się zmieniać z monotonnej i jednostajnej, piaszczystej równiny w teren coraz więcej pagórkowaty. Wysokim nasypem toczy się pociąg mijając małe stacje kolejowe, przy których znajduje się zawsze dwa lub trzy domki indyjskie. W końcu pociąg dojeż-

dza jakby gdzieś pod jakąś ścianę, niby w jakiś wąwóz pokryty młodym rzadkim lasem.

Jest to stacja kolejowa w miejscowości Grand-Canyon. — Wsiadamy z pociągu. Posługacze hotelowi porywają odrazu bez pytania nasze pakunki, walizy i zanoszą je po schodach na pagórek, gdzie już czeka omnibus. Zapraszają nas do wsiadania, poczem ekipaż zaprzężony w dwa meksykańskie muły rusza powoli serpentynami w górę.

Objężdżając po kolei miejscowe hotele, dylizans wysadza gości przed tym, do którego chcą zajechać. Wsiadam przed hotelem, który wybrałem jeszcze w pociągu z książki adresowej. Jakiś wygolony amerykańkanin prowadzi mnie do mojego pokoju. Ponieważ drzwi kluczem otworzyć nie może, przeto zaczyna siarczyście kłać po polsku.

— Kto pan jest i skąd pan pochodzi — pytam zdziwiony.

— Polak z pod Sanoka — odpowiada na to boy.

Wychodzę następnie przed hotel, rozglądam się po okolicy i napawam widokiem ognistych gór dzikiego zachodu. — Jak daleko okiem sięgnąć widać tylko czerwone płonące szczyty gór ognistych. Jedno wielkie morze ognia i płomieni przewalające się i rozciągające coraz dalej i dalej. Wrażenie silne, wielkie nie dające się poprostu opisać. Odczuć go tylko można, mając to wszystko przed sobą.

Było około 6-ej wieczorem i słońce już powoli chyliło się ku zachodowi. Część wierzchołków była jakby w mroku pograżona, inna zaś jeszcze jasno oświetlona, sprawiając wrażenie jakby była ogarnięta płomieniem.

Jest to naturalnie wszystko złudzenie, spowodowane promieniami słonecznymi odbijającymi się o czerwone skały.

Zbliżam się do barjery i zaglądam w przepaść, która w tem miejscu prostopadle usuwa się ku dołowi. Szeręg wąwozów mniejszych i większych, ścieżek i drózek majaczy przedemną gdzieś pomiędzy skałami. Opowiadają mi, że tam w dole jest „river“ to znaczy rzeka, że można ją zobaczyć i że naprzeciwko mnie jest drugi brzeg Canyonu.

Pytam się jakże daleko jest ta rzeka i jak długo trzeba iść, aby się do niej dostać?

Pięć godzin na mułach, — odpowiada boy, — trzeba jechać, aby dostać się do koryta rzeki.

Spoglądam przed siebie i widzę daleko na horyzoncie, jakby szeroki pas mgły, nic więcej.

Jeżeli pan chce zobaczyć lepiej, — mówi znowu boy — to proszę iść do tego tam domku stojącego nad przepaścią, gdzie znajdują się lunety służące specjalnie do oglądania całej okolicy.

I rzeczywiście udałem się tam, i zobaczyłem w jednym pokoju, z którego widok szedł wprost na „Canyon“ kilka lunet ustawionych na trójnogach długości dwóch do trzech metrów, dających się za pomocą odpowiednich korbek i śrub nastawiać, regulować i dostrajać do siły wzroku.

Spojrzałem przez jedną z nich wprost na brzeg przeciwny. Szeroki pas mgły, który przedtem widziałem gołem okiem, znikł zupełnie, a na jego miejscu zobaczyłem najwyżej w odległości dwu kilometrów wysoki stromy brzeg porośnięty lasem.

Drzewa w lesie tym były tej grubości, że conajmniej dwóch mężczyzn musiałyby je objąć ramionami.

Taka więc szalona odległość była między jednym brzegiem a drugim.

Wychodzę stamtąd, rozglądam się; naraz od strony, gdzie znajduje się obserwatorium z lunetami, dochodzi mnie głośnie i wyraźne wołanie: „Canyon pictures, very good lectures“ (Obrazy Canyonu bardzo pouczające). Oglądam się w tę stronę i widzę jakiegoś jegomościa, który przez tubę reklamuje swój „business“. Głosem monotonnym przez jaki kwadrans raz po raz ogłaszał i zapowiadał obrazy, które w swem kinie miał wyświetlać.

Dałem się wziąć na tę głośną reklamę i wszedłem do środka domu, w którym na pierwszym piętrze były mieszkania urządzone na sposób domów indyjskich, na balkonie od strony Canyonu było wspomniane obserwatorium z lunetami, zaś na parterze znajdowało się kino. — Gości w środku było już pełno, a wstęp kosztował pół dolara. — Właściciel kina, który był równocześnie fotografem stał już przy ekranie płóciennym i niedługo potem zaczął objaśniać poszczególne widoki.

Przedstawiły one urwiste, strome, prawie że niedostępne dla zwykłego śmiertelnika szczyty gór Canyonu, jego spadziste lub prostopadłe ściany dzikie wąwozy, lub też zbiegające się z sobą dwa szczyty gór, utworzone wskutek rozpadliny lub pęknięcia skały.

Filmy, tworzące jednolity obraz przedstawiały szereg wycieczek z różnych okolic Canyonu, przepiękne jego partje, trudne przeprawy z jednego wierzchołka

góry na drugi, za pomocą kolei linowej, rzuconych lin i td. Po linie rozpiętej pomiędzy dwoma szczytami posuwała się klatka, a w niej przeprawiano na drugą stronę ludzi, zwierzęta, a nawet jakiegoś osiołka. Końcowy film przedstawiający najpiękniejszą część, bo wyprawę łódką dwóch turystów z góry na dół rzeką Colorado, był udatnem zakończeniem nadzwyczaj zajmującego programu.

Wycieczka lub też wyprawa taka w dół rzeki jest bardzo niebezpieczna. Rzeka Colorado jest nadzwyczaj bystra i rwąca, szybkość jej na sekundę wynosi 5 do 10 a może nawet i więcej metrów. Płynie ona zaś pomiędzy skalistymi wysokimi, prawie prostopadłymi brzegami, a wskutek szalonego pędu wody, jak również ostrych zakrętów co kilka kroków, — zdarza się, — że woda całą siłą i pędem uderza o brzeg przeciwny lub wystającą z brzegu skałę. — To też wszystko co niesie na sobie rzuca z szaloną siłą o skałę i rozbija w drzazgi.

Na wycieczkę łódką udają się zwykle dwaj turyści. Jeden z nich siedzi w łódce i pracuje dwoma wiosłami, a raczej można powiedzieć steruje nimi, starając się nadać taki kierunek, aby łódź nie wpadła na skałę. Drugi zaś postępując brzegiem, przeskakuje ze skały na skałę, trzymając silnie łódkę na długiej linie jakby na uwięzi i starając się jej nie wypuścić, aby nie wpadła na skałę lub też brzeg przeciwny, porwana bystrym prądem rzeki.

W miejscach, gdzie koryto rzeki jest szersze, woda głębsza a nurt rzeki chwilowo spokojniejszy, odczepiają linę od łódki i wtedy zdany na swoje własne siły i zręczność, wiosłarz płynie chwilowo spokojnie i zdaje się

być zupełnie beczynnym, gdy naraz pęd wody porywa go z sobą i w szalonych podskokach unosi błyskawicznie naprzód. Wioślarz siedząc spokojnie wprawnie pracuje wiosłami, starając się trzymać jaknajdalej od skał.

Wtem gwałtowny pęd wody i wir rzeki chwyta go w swoje objęcia, łódka wykonuje jeszcze więcej szalone podskoki, chwilami kręci się na miejscu jak wrzeczono, poczem rzucona pędem wody płynie naprzód odwrócona tyłem.

Wioślarz nie stara się na razie odwrócić łódki; dla niego chwilowo to położenie łódki jest korzystnym, albowiem tył łódki będąc szerokim, pomimo szalenie bystrego pędu wody wstrzymuje jej posuwanie się naprzód, a przez to wioślarz ma większą przewagę nad łódką i może nią lepiej i pewniej kierować.

Wycieczki takie są bardzo interesujące, pełne przygód, niebezpieczeństw, wzruszeń i emocji. — Nieraz jednak zdarza się, że pomimo pomocy liny i zręczności wioślarza łódka rzucona pędem wody o brzeg lub skałę rozbija się zupełnie, lub też zostaje przedziurawioną i dalsza wycieczka jest niemożliwa. Można mówić o szczęściu, jeżeli siedzący w niej nie przyplaci tego życiem.

Po powrocie do hotelu zjawił się u mnie boy i zapytał, czy chce wziąć udział w jutrzejszej wycieczce na mułach w głąb Canyonu do rzeki Colorado, czyli jak tam mówią do „river“. Równocześnie zawiadomił mnie, że niedaleko w sąsiedztwie jest osada indyjska, a w domu tamże się znajdującym, odbywają się co-

dziennie wieczorem tańce indjan, na które wszyscy goście hotelowi po kolacji się schodzą.

Przedewszystkiem udałem się do kancelarji zakładu celem zamówienia miejsca na jutrzejszą wycieczkę. Objaśniono mnie tutaj, że są trzy rodzaje wycieczek: jedno, dwu i czterodniowe. Jednodniowa jest na mułach tylko do rzeki Colorado i z powrotem. — Udział w niej kosztuje 5 dolarów 50 ct. Dwudniowa jest również na mułach, ale idzie dalej w głąb wąwozu i kosztuje 15 dolarów, wreszcie czterodniową wycieczkę odbywa się automobilem, a obejmuje ona zwiedzenie wszystkich pięknych miejscowości Canyonu. Ta ostatnia wycieczka połączona jest z przyjemnymi noclegami w urządzonych na ten cel schroniskach i kosztuje 40 dolarów. Ze względu na to, że miałem dni przybycia do New Yorku ściśle obliczone, zaangażowałem się na wycieczkę pierwszą.

Sekretarz hotelowy zapytał mnie odrazu ile ważę, a kiedy nie mogłem mu dać na to dokładnej odpowiedzi, postawił mnie bez pytania na wadze, poczem ilość kilogramów zapisał do książki. Według wagi gościa bowiem przydziela się muła.

Załatwiwszy te formalności, udałem się następnie do domu indyjskiego, aby zwiedzić poszczególne pokoje. Dom ten składa się z kilku izb, w których znajdują się całe wystawy różnych wyrobów z gliny, drzewa, wikliny, różne tkaniny i roboty ręczne, przepiękne kilimy i tp.

Kiedy nadszedł wieczór, goście ze wszystkich hoteli zaczęli się zbierać w domu indyjskim chcąc się przypatrzeć tańcom. W tym celu gromadzili się w je-

dney izbie i utworzywszy wzdłuż ścian wielkie koło, wyczekiwali z zainteresowaniem rozpoczęcia się oryginalnego bądź co bądź widowiska.

Naraz doszedł nas jakby szczepek broni, odgłos bębnow i głuche dźwięki jakiejś muzyki, i prawie równocześnie wbiegł na salę wysoki, silny, barczysty indjanin, który śpiewając rozpoczął swój taniec. Śpiew monotony polegał na wydobywaniu z siebie jakichś głuchych dźwięków i okrzyków. Taniec zaś stanowiło chodzenie względnie przebieranie nogami na jednym miejscu przy równoczesnym podnoszeniu ramion do góry i wybijaniu jakby pokłonów.

Dzikości w tym tańcu dużo nie było, natomiast wiele krzyku i chałasu. Gdy ten pierwszy indjanin skończył, weszło do izby dwóch innych, mających na głowie wysokie pióropusze, spadające im po plecach aż do kostek. Na zakończenie zaprodukowała się swymi skokami cała rodzina. Po każdym tańcu widowie rzucali na podłogę monety 5-cio i 10-cio centowe, które król puszczy i lasów zbierał skwapliwie.

Na mnie to całe widowisko zrobiło bardzo przykre, przygnębiające wrażenie. Ten dawny król puszczy i lasów, dziś za kilka marnych monet niklowych wydaje z siebie dzikie okrzyki i wyprawia szalone podskoki, gwoli uciechy i zadowolenia, patrzących nań białych twarzy.

Gdyśmy się rozeszli, wyszedłem na deptak biegnący wzdłuż brzegu Canyonu, zabezpieczony mocną żelazną barjerą. — Cudny był wieczór. Księżyc w pełni oświecał okolicę. Nad wąwozem rozciągała się gęsta mgła. Tylko szczyty i wierzchołki poszczególnych gór

widać było zdaleka. Siadam na ławce i spoglądam dookoła z dziwnym jakimś uczuciem. Tam w dole, nakrytym obecnie gęstą mgłą leży tajemnica wrażeń i niespodzianek, które mam jutro oglądać.

A tymczasem pary przechadzają się koło mnie, snując się jakby cienie w półmroku. — Robi się coraz chłodniej, a dojmujące zimno wyłaniające się z Canyonu przejmuje coraz mocniej. — Wracam więc do swojego dobrze już ogrzanego pokoju i padam z rozkoszą w objęcia Morfeusza.

Kiedy się obudziłem, była godzina 7-ma rano. W pokoju moim kręcił się boy, który mi oznajmił, że czas się wybierać w drogę. Wstałem szybko i niedługo potem znalazłem się przed hotelem, gdzie już czekało dziesięć mułów wraz z „cowboyem“ jako przewodnikiem. — Każdy z gości otrzymuje na kartce numer muła, na którym ma jechać. Wycieczkowcy schodzą się powoli. Cowboy (przewodnik) wysoki, silny mężczyzna o spalonej jak cegła, świeżo ogolonej twarzy, oparty o muła czeka spokojnie na chwilę odjazdu. —

Tymczasem turyści udają się do garderoby, aby przywdziać niebieskie ubrania, mające ich chronić od kurzu podczas wycieczki. — Panowie dostają długie szerokie spodnie i krótkie wolne bluzy oraz wysokie słomiane kapelusze meksykańskie. Panie otrzymują rajtuzy, długie jak i płócienne kamasze zapinane z boku.

Dzień zapowiadał się piękny, słońce zaczęło od razu już przypiekać. Wszyscy z niecierpliwością czekają chwili odjazdu i kręcą się koło swoich mułów, głaszcząc je i karmiąc cukrem.

Wycieczka nasza składa się z dziesięciu uczestni-

ków; większą bowiem liczbą osób nie może się zaopiekować jeden cowboy.

Wsiadamy na muły i ruszamy w dół w wąwóz. Cowboy jedzie na przodzie. Nie ujechaliśmy jeszcze stu kroków, a już stajemy przed domem miejscowego fotografa, który każdą wycieczkę zdejmuje, stale na ten cel ustawionym aparatem. — Grupa rano odfotografowana, może wieczorem po powrocie przeglądnąć porobione już zdjęcia i kupić sobie odbitki.

Zdjęcia gotowe, wobec czego ruszamy dalej wązką ścieżyną, idącą prawie nad przepaścią. Serce mimowoli uderza żywiej. Pewien strach i lęk przed tą otchłanią przejmuje człowieka. — Muły niosące jeźdźców na swych grzbietach kroczą wolno prawie noga za nogą, posuwając się ostrożnie naprzód. — Każdy ich krok formalnie jest odmierzony, odliczony, wypróbowany, ostrożny, a jednak pewny. — Wszak codziennie chodzą tą drogą tam i z powrotem, — więc każdy kamień znają na pamięć. Cowboy jedzie ciągle na przędzie, wycieczkowicze za nim jeden za drugim gęsiego. Lejce wszystkich mułów puszczone wolno. Nikt nimi nie kieruje, idą same, jednostajnym miarowym krokiem.

Nad nami piętrzą się skały, urwiska, czerwone granity, to porośnięte drzewami lub kępami krzaków, to dzikie i urwiste, ogołocone ze wszelkiej roślinności. — Chwilami przejeżdżamy pod wiszącymi nad nami kolosami skalnymi, które grożą lada chwila runięciem w przepaść. Krajobraz za krajobrazem zmienia się co minutę jak w kalejdoskopie.

Tymczasem zaś ścieżyna jak wstążka opada wciąż na dół, i staje się tak wązką, że tylko jeden muł prze-

ślizgnąć się może po pod urwistą skałą. W niektórych miejscach, gdzie brzeg ścieżki zamienia się odrazu w prostopadłą skałę, przejazd jest tak utrudniony, że trzeba zejść z mułów i iść piechotą.

Naraz widzimy z przeciwnej strony nadchodzące dwa muły z przewodnikiem, które niosą ogromne wory na grzbiecie. Prowadzący je przewodnik spostrzegłszy nas z daleka zapędza je w jakąś rozpadlinę, przytrzymuje tam i czeka aż przesuniemy się obok niego, gdyż inaczej nie moglibyśmy się wyminąć.

Słońce wznosi się coraz wyżej i przygrzewa coraz silniej. — Czujemy żar padających prawie prostopadle na nas promieni słonecznych coraz dotkliwiej. Mój biały szeroki hełm nabyty w Shang-haju oddaje mi znakomitą usługę, chroniąc przed słońcem i spiekotą i wszyscy mi go zazdroszczą. Siedzę bowiem pod nim, jak pod parasolem.

Wolno unoszą nas muły naprzód. Jest już około 12-iej w południe. Żar straszny, jesteśmy ciągle pomiędzy skalistemi, niezalesionemi górami.

Po godzinie marszu w końcu dostajemy się na równinę. — Nieco zieleni, jakieś rozpadnięte schronisko, kilka amerykańskich płóciennych namiotów i co najważniejsza źródło zimnej wody. Stajemy na chwilę, gasimy pragnienie i jedziemy dalej. Zielona kotlina wkrótce się kończy i wjeżdżamy w koryto wyschniętej rzeki. — Góry, a względnie brzegi tej rzeki są tak wysokie i tak schodzą się z sobą, iż wydaje się, że stąd wyjechać nie będzie można. Naraz przyjeżdżamy na szczyt jakiejś skały, z wierzchołka której spoglądając w dół ma się wrażenie, że się stoi na wierzchołku

głowy cukru. — Zsiadamy z mułów i schodzimy omal, że prostopadłą serpentyną. — Jest ona tak stroma, że kopyta tylnych nóg muła są na jednej wysokości z jego głową. U stóp góry mały cień, padający od skały, który skwapliwie wykorzystujemy. Po chwilowym postoju siadamy na muły i jedziemy dalej. Upał zwiększa się jeszcze bardziej, rozpalony drobny piasek unosi się w powietrzu, wciska się do ust, do nosa, a nawet przedostaje się przez ubranie powodując ostre swędzenie ciała. — Pragnienie pali każdego z nas, pot ocieka na całym ciele; znużeni jesteśmy i wyczerpani do ostateczności.

Skręcamy znowu na lewo i wjeżdżamy w dziki skalisty parów. Zdaje się, że tu gdzieś niedaleko musi być już rzeka, koniec naszej drogi. Jeszcze z pół godziny jedziemy wyschniętem korytem rzeki, pokrytem z początku piaskiem, dalej zaś większymi lub mniejszymi kamieniami. Ponieważ droga w tem miejscu jest trudną do przebycia dla mułów, przeto schodzimy wszyscy na ziemię. Równocześnie cowboy wyjmuje z torb przywieszonych przy swoim siodle paczki z prowiantami i rozdaje je pomiędzy uczestników wycieczki. — Jeszcze krótki marsz piechotą, jeszcze kilka wysiłków i w końcu dostajemy się po pięciogodzinnej drodze do upragnionej rzeki Colorado.

Wrażenie niedające się opisać! Pomiędzy wysokimi stromymi skałami, koloru czerwonego, brunatnego lub ciemno-granatowego tworzącemi brzegi, toczy się bystra, rwąca formalnie czerwona woda. — Pęd rzeki jest tak silny, że nawet przy brzegu stojącego we wodzie człowieka porywa z sobą i w okamgnieniu unosi

na środek koryta. Po jednej i drugiej stronie brzegu znajdują się wielkie skały narzucone.

Myję się w tej czerwonej, jakby cegłą zabarwionej wodzie, chcąc się choć trochę uwolnić od kurzu, który mnie całego przykrywa. Zwiedzam z innymi brzeg rzeki, oglądając wysokie urwiste skały, poczem wszyscy wracamy do cienia pod skałę, rzucamy się na ziemię i odpoczywamy z zadowoleniem.

Rozpakowujemy swoje paczki i zjadamy obiad, popijając zimną wodę ze źródła. Obiad składa się z kamapek porobionych z cienkich kromeczek bułki, przypiekanej na maśle, a przekładanej szynką, serem i drobiem. Do tego dodane są dwa jaja na twardo, pomarańcza, jabłko, małe pudełeczko jak naparstek, z solą i pieprzem i papierowy kubek na wodę.

Niedługo po naszym przybyciu nad rzekę, zjawiała się za nami druga partja wycieczki, składająca się również z dziesięciu osób. Odpocząwszy i nabrawszy sił około 2-giej popołudniu ruszamy z powrotem. Żar słońca smaga nas formalnie po całym ciele.

Przybywszy do kotliny, odpoczywamy znówu i to czas dłuższy, albowiem muły są już pomęczone i nie mogą iść tak szybko bez odpoczynku; przystają co chwila i dopiero na krzyk i nawoływania przewodnika ruszają dalej. — Dwie partje, które zeszły się z sobą nad wodą, wracają obecnie razem.

W kotlinie wiążemy muły przy długiej barjerze. — Cowboye rzucają się odrazu na szerokie wygodne hamaki, rozpięte pomiędzy wierzbami, my zaś spieszymy do źródła i pijemy zimną chłodzącą wodę, kubek za kubkiem, śmiejąc się i dowcipkując wesoło. —

Jakaś młoda elegancka amerykanka ugasiwszy pragnienie nie krępując się zupełnie, odchodzi trochę na bok i rzuca się w cieniu na murawę. Inni idą za jej przykładem i wkrótce jak barany leżymy pokotem na ziemi.

Po pewnym czasie cowboye zrywają się z hamaku. Poprawiają popręgi na mułach i wyruszamy w dalszą drogę. — Już jest dobrze popołudniu, a ponieważ słońce obniżyło się znacznie, przeto jest jeszcze gorąco, ale już przyjemnie. — Od czasu do czasu powiewa chłodny wietrzyk. Ktoś z towarzystwa zaczyna śpiewać po angielsku, inni podchwytną i wkrótce piękna melodia rozlega się w wąwozie. — Tak posuwamy się powoli naprzód. Zmęczone muły idą coraz ociężalej, i coraz częściej odpoczywają, gdzie tylko droga jest równiejszą.

Amerykanki dla zabicia czasu grają z cowboym jadącym na przedzie w piłkę, którą tu zastępuje pomarańcza nie zjedzona podczas odpoczynku. — Mianowicie jedna z amerykanek jadąca w środku rzuca ponad głowami innych towarzyszy pomarańczę jadącemu na przedzie cowboyowi. Ten łapie ją zręcznie w powietrzu i odrzuca z powrotem pięknej miss. Zabawa ta trwa dosyć długo. Podziwiam zręczność tych ludzi. W końcu jednak pomarańcza znikła w żołądku rozbawionej miss.

Ostatecznie około 6-ej popołudniu stanęliśmy przed hotelem. Byłem tak zmęczony, że ledwo zsunąłem się z siodła, ale jestem pewny, że i inni byli również tak samo znużeni. Pod wrażeniem jednak przeżytych ostatnich chwil, rozeszliśmy się w jaknajlepszym humorze.

Na drugi dzień rannym pociągiem wyjechałem z Grand-Canyonu teraz już wprost do Chicago.



ROZDZIAŁ XVIII.



W drodze do Chicago. Franek z pod Sanoka. Spotkanie na obczyźnie. Pan Juljan Retinger z Krakowa.

Po opuszczeniu okolic Grand-Canyonuu droga aż do samego Chicago była tak monotonna, że nie wiedziałem co począć, a miałem jeszcze dwa dni podróży przed sobą. — Piaski i tylko piaski, jak daleko sięgnąć okiem. Zrzadka tylko spotyka się w tej okolicy farmy, lub też murzynów zwożących na wysokich wozach gałęzie z lasu.

Ostatecznie, trzeciego dnia rano przybyłem do Chicago. Przeszło sto torów kolejowych, ze wszystkich stron świata schodzi się w tem miejscu. Blisko godzinę jedziemy pomiędzy szeregiem szyn i stojącymi na nich lub też idącymi pociągami, a do stacji końcowej jeszcze ciągle daleko.

Na godzinę przed przyjazdem do miasta, wchodzi do pociągu jakiś jegomość w mundurze kolejowym, odrywa nam z książeczek przejechane bilety i wręcza

na ich miejsce zielone kartki. — Zajeżdżamy w końcu na peron, przed którym stoi szereg omnibusów oznaczonych różnemi liczbami. Podróżni, przybyli ze mną wsiadają do nich. Robię to samo i wsiadam do pierwszego z brzegu omnibusu, ale wnet konduktor oglądając mój bilet wyprasza mnie grzecznie z wozu, wskazując równocześnie ten, którym mogę dojechać do środka miasta.

Niedługo potem wysiadam na centralnym dworcu, gdzie zostawiwszy walizy u portjera, a bilet kolejowy, zwyczajem przyjętym w Ameryce, u kasjera, ruszyłem na zwiedzenie pięciomiljonowego miasta.

Chłodno było kiedy wyszedłem z dworca centralnego i znalazłem się na ulicy. Zimny, dotkliwy wiatr pociągał od jeziora Michigan i chwilami dał z taką gwałtownością, że trzeba było przystawać na chodniku. Idę ulicą Michigan Avenue i przechodzę koło hotelu „Auditorium Annex“, o którym tak uprzejmie rozmawiałem niedawno na okręcie japońskim z detektywem angielskim. Hotel ten to poprostu kolos, urządzone z największym przepychem i komfortem. Tu odbywają się wszystkie największe koncerty w Chicago. Chcę przejść z jednego chodnika na drugi, atoli setki samochodów jadących po jednej i drugiej stronie ulicy nie pozwalają mi na to.auta te prowadzone są przez szoferów lub szoferki, a wszystkie jadą równo jedne za drugimi, wolno, bez hałasu, bez tej nerwowości, jaką u nas spotyka się na każdym kroku.

Minąwszy kilka bloków (blok jest to kwadrat kamienic, otoczony czterema ulicami) wychodzę na State street, jedną z najgłośniejszych ulic w Chicago. —

Ruch pieszy, kołowy, automobilowy i tramwajowy kolosalny. Gubię się w tłumie ludzi i dają się spokojnie unosić fali przechodniów, która wkrótce pochłania mnie zupełnie.

Posuwam się powoli przez szeroką ulicę, przyglądając się wszystkiemu z ciekawością. Ten kolosalny ruch, mimowoli pociąga mnie nieprzerwanie naprzód, tak, że chwilowo nawet nie wiem dokąd zdążam, a jednak zupełnie nie boję się, abym się zagubił w tym wielkiem mieście.

Ogromne wystawy sklepowe dwudziesto-piętrowej kamienicy przytłaczają mnie odrazu swoim ogromem, powodując, że czuję się w tem wszystkim mały, jak mrówka na ziemi. — W przechodzie z daleka widzę wysokiego policjanta amerykańskiego, czysto, porządnie, elegancko ubranego. — Z podziwem patrzę na tego człowieka, który stoi na środku dwadzieścia metrów szerokiej ulicy i od niechcienia wymachuje swoją krótką drewnianą pałką, dając od czasu do czasu znak ręką pieszym lub przejezdnym. — Człowiek ten stojąc na środku krzyżowej ulicy z zimną krwią, podawanymi znakami ręki zatrzymuje tramwaje, automobile i pieszych, regulując ruch na ulicy. A choć nie krzyczy, nie złości się, nie beszta, to jednak wszyscy patrzą uważnie na niego i są bezwzględnie posłuszni jego rozkazom.

Przysięgam do niego i zapytuję o adres kolonji polskiej. — Odpowiada mi grzecznie, że w kamienicy, która stoi naprzeciwko znajduje się biuro adresowe. Wchodzę tam, wjeżdżam windą gdzieś na ósme piętro i wstępuję na korytarz. Ze zdziwieniem jednak nie widzę tak zwanego po amerykańsku „office“ (biura) lecz

same prywatne mieszkania. — Natomiast w końcu spostrzegam jakiegoś pomywacza, który przyspiewuje sobie pod nosem. Zbliżam się do niego, chcąc zapytać o biuro i słyszę wyraźną nutę i słowa pieśni: oj dana, oj dana.

Pytam się go: skąd jesteście?

— Ta z pod Tarnobrzega! brzmi rubaszna odpowiedź mazura.

Ten mnie objaśnia, że biuro adresowe jest na parterze, poczem dawszy mazurowi Frankowi (tak bowiem było mu na imię) papierosa, zjeżdżam windą na dół.

Otrzymawszy adres kolonji polskiej udaję się do księdza Z. osoby zajmującej wyższe stanowisko wśród kolonji polskiej. Przyjęcie jednak tutaj nie było zbyt serdeczne. Dziwiono mi się wogóle, jak mogę uciekać z niewoli i wracać do kraju, czyli, jak tam mówiono do „Austrii“. Robiono mi nawet propozycję, bym zaniechał dalszego zamiaru ucieczki, wzamian za co miałem otrzymać bardzo korzystną posesję w Ameryce. —

Niestety ludzie ci widać nie rozumieli jeszcze, co znaczy szalona tęsknota za krajem, za swoimi i że nie zawsze dolar może zastąpić to, co nazywamy Ojczyzną.

Udałem się następnie na miasto, oglądając wszystko z zaciekawieniem. W końcu wynająłem mieszkanie w jednym z największych hoteli w centrum miasta „Great Northern Hotel“. Jest to wielka dwudziesto-piętrowa kamienica, której trzy fronty wychodzą na trzy ulice. Na parterze mieszczą się najrozmaitsze sklepy galanteryjne, bar, fryzjerzy, zakład do czyszczenia obuwia i td.; na pierwszym piętrze znajduje się wielka restauracja, zaś począwszy od drugiego piętra w górę za-

czynają się mieszkania hotelowe. Cena pokoi od dolara do dwóch 50 cent. za dobę, a wszystkie urządzone z komfortem.

Czystość wzorowa panuje na każdym kroku. Cztery windy pracują dzień i noc, stale bez przerwy, przewożąc gości i towar do góry i na dół zupełnie bezpłatnie. Wsiadłszy jednak do windy trzeba zaraz zapowiedzieć maszynie piętro, na którym chce się wysiąść. Kto zaś o tem zapomni, musi jechać aż na ostatnie piętro i dopiero w przejeździe powrotnym może wysiąść tam gdzie mu potrzeba.

Jadąc windą ma się przegląd wszystkich pięter. Na każdym z nich jest rodzaj westibulu oraz salonu elegancko urządzonego. Każdy salon jak również meble w nim się znajdujące są innego koloru, to też jadąc windą wieczorem ma się przed sobą jakby panoramę pięknie umeblowanych pokoi.

Znalazłszy się przed wieczorem po powrocie z miasta w hotelu, wskutek całodziennej wycieczki, byłem tak zmęczony, że nie miałem już nawet ochoty wyjść z pokoju. Ponieważ jednak od południa nic nie jadłem, więc potrzeba posiłku, a więcej jeszcze chęć zobaczenia w porze wieczornej ślicznie iluminowanych światłem elektrycznym głównych ulic Chicago, wyciągnęły mnie z mieszkania. Wyszedłem jednak z tem silnem postanowieniem, że wkrótce wrócę i udam się wcześniej na spoczynek.

W chwilę potem znalazłem się na jasno oświetlonej State-street, po której tłumna ruchliwa promenada kipiała poprostu życiem. Oglądałem piękne wystawy sklepowe, które przy świetle przedstawiają się

jeszcze wspanialej. Są one w Ameryce w ten sposób urządzone, że każda z nich tworzy jakby jeden duży wysoki pokój, otoczony z czterech stron wielkimi lustrianami szybami, tak, że wszedłszy z ulicy do sieni którejbaż z kamienic idzie się wzdłuż tej wystawy dalej, skręca się znowu na lewo lub prawo, mając ciągle wystawę po jednej lub drugiej swojej stronie, aż w końcu wychodzi się znowu na tę samą ulicę. — Piękne kostjумы damskie, — a wszystko z jedwabiu i najdroższej materji, — kostjумы, które przed kilku godzinami opuściły pracownię, oblegane są przez tłumy pań. Cena ich nie jest nawet droga, bo od 18 dolarów w górę. Tutaj nadmienić muszę, że w Ameryce wszyscy kupują gotowe kostjумы, a na ulicy panuje stale ostatnia moda i szyk.

Oglądając to wszystko, posuwam się wolno ulicą, tonącą poprostu w morzu światła elektrycznych. Naraz przypominam sobie, że jestem głodny i że trzeba by coś przekąsić. — Wchodzę więc do pierwszej z brzegu kawiarni, siadam za stołem i zamawiam kawę, nie zwracając na nic i na nikogo uwagi.

Wtem przywidziało mi się, że naprzeciw mnie przy stoliku siedzi jakiś znajomy jegomość. Patrząc na jego twarz i mimowoli myślę, czy to jest Juljan Retinger z Krakowa czy nie. Nie chcę jednak temu wierzyć, gdyż coby on tu mógł robić, tak daleko od Krakowa i to teraz w roku 1916 podczas wojny. Mimowoli wpatruję się w niego, jak również i w elegancką kobietę, siedzącą z nim przy stole i gubię się w kombinacjach i domysłach. Trwa to dłuższą chwilę. W końcu nie mogąc zapanować nad ciekawością podchodzę i pytam:

— Przepraszam, czy pan nie jest z Krakowa?

— W tej samej chwili pan ów, który również od kilku chwil mnie obserwował i dopiero teraz kiedy doń przemówiłem mnie poznał, odpowiada ucieszony:

— Istotnie — jestem z Krakowa; moje nazwisko Retinger. Teraz pana dopiero poznaje, gdy pan przemówił do mnie. Lecz co pan tu robi?

Obopólna radość ogarnęła nas z tego przypadkowego spotkania na drugiej półkuli świata. Nic dziwnego że zapomnieliśmy nawet na chwilę o damie, która obserwowała nas ciekawie.

— Ale, ale, odzywa się p. Retinger, — zapomniałem nawet pana zaznajomić. Oto moja narzeczona pani Blanka Sz wajkart. Idziemy do teatru, dziś nie mamy wiele czasu, ale jutro prosimy pana do nas, to znaczy do mojego przyszłego teścia na obiad. Pogadamy obszernie. Niech się pan nie dziwi, — usprawiedliwił się biedny chłopak przedemną, — że idziemy sami z narzeczoną do teatru, lecz tu jest taki zwyczaj. Po teatrze zwykle ktoś z rodziny wychodzi po nas i odprowadza do domu.

Krótko opowiedzieliśmy na razie swoje wzajemne przygody. On przybył do Ameryki chcąc tu uzyskać posadę przy uniwersytecie. Z początku było mu bardzo ciężko, musiał dużo biedy przecierpieć, a nawet pracować jako robotnik, lecz obecnie jest mu już zupełnie dobrze.

Ja ze swej strony streściłem krótko swoją ucieczkę. Piękna Blanka przysłuchiwała się ciekawie, a w końcu zaryzykowała nieśmiałe pytanie: czy nie bałem się uciekać?

Pytanie to słyzałem już tylokrotnie po konsulat-
tach, że mnie zupełnie nie zdziwiło.

Niezadługo rozeszliśmy się, przyrzekając sobie spot-
kać się jutro rano w hotelu u mnie.

Wróciłem do domu nad wyraz uradowany, rozmy-
ślając nad tem jak dziwnie los rządzi ludźmi i spotyka
ich tam, gdzie i kiedy się tego najmniej spodziewają.



ROZDZIAŁ XIX.

Chicago. W gościnie u p. Sz wajkartów. Autem po mieście. Wrażenia z wielkiego miasta. Fabryka mięsa w Stock-Yards i żelaza w Gary-Indiana. Żle skombinowany bilet.

Na drugi dzień rzeczywiście około 9-ej rano zjawił się u mnie p. Juljan i zabrawszy mnie ze sobą, wprowadził do domu swoich przyszłych teściów państwa Sz wajkartów.

Podczas obiadu mimowoli napomknęliśmy w rozmowie o wczorajszem naszym przypadkowem spotkaniu. I co się pokazało? Otóż ani p. Juljan Retinger ani jego narzeczona miss Blanka nigdy przedtem nie byli w tej kawiarni.

W dniu jednak naszego spotkania, wyszedłszy nieco zawczasie do teatru, postanowili kilka chwil gdzieś przeczekać i wstąpili do pierwszej po drodze napotkanej kawiarni. Tam też spokojnie gwarzyli ze sobą, gdy po jakimś czasie ja wszedłem do tego samego lokalu,

również zupełnie przypadkowo. I gdyby nie ten dziwny zbieg okoliczności, nie byłibyśmy się z pewnością w Chicago spotkali, gdyż pan Retinger i pp. Sz wajkartowie mieszkali w zupełnie innej dzielnicy.

Państwo Sz wajkartowie mieszkali poza centrum miasta, w swojej własnej, bardzo gustownie urządzonej willi. Dom czysto polski. Rodzina, składająca się z rodziców, dwóch synów i jednej córki, tak serdeczna, tak czysto polska, tak szczerza, tak sympatyczna, że od pierwszej chwili można było do niej przyłgnąć całym sercem.

A że mówiono tam pomimo kilkudziesięcioletniego pobytu w Ameryce wyłącznie po polsku, a ja w podróży łaknąłem przecież tego języka, więc nie dziwnego, że często do nich zaglądałem, i niejedną przyjemną chwilę w towarzystwie ich spędziłem. To też kiedy przed odjazdem żegnałem się z nimi, miałem wrażenie, jakbym się żegnał z własną rodziną. Szczególnie sympatyczni byli dwaj młodzi synowie, słuchacze uniwersytetu, z których młodszy medyk poświęcał mi dużo czasu przy zwiedzaniu Chicago.

Państwo Sz wajkartowie byli tak uprzejmi, że swoim autem obwieźli mnie po całym mieście.

Piękną tę i przyjemną wycieczkę mam dotąd w pamięci. To też za doznaną u nich prawdziwie polską gościnę, składam im jeszcze raz z daleka serdeczne podziękowanie.

Na drugi dzień rano, a był to poniedziałek, wybrałem się na zwiedzenie miasta. Szerokie i wielkie ulice, kolosalne budynki, zwłaszcza w centrum miasta imponują swoim wyglądem. Domy te dochodzące wysokości

trzydziestu lub nawet więcej pięter, spotyka się na każdym kroku. Obok jednak głównych szerokich ulic są także i wązkie, gdzie wskutek wysokich budynków światło słoneczne prawie nigdy nie zagląda, a sklepy i mieszkania przy tych ulicach są pogrążone w wiecznym cieniu.

Miasto Chicago przedstawia się jakby jedna długa kiszka, ciągnąca się kilkanaście kilometrów. Poprzecznane jest ulicami które idą albo z południa na północ, albo od wschodu na zachód. — Ulice biegnące wzdłuż miasta od południa na północ nazywają się Avenues, zaś idące w poprzek od wschodu na zachód — Streets. Tak avenues jak również i streets oznaczone są numerami od jednego aż do trzystu i dalej,—a różnica między nimi polega jeszcze i na tem, że przy ulicy street dodaje się oprócz numeru słowo east (wschód) albo west (zachód) co oznacza, że np. dany budynek znajduje się albo w zachodniej albo we wschodniej części miasta.

W praktyce wygląda to tak: znajduję się na początku miasta na przecznicy numer 1 i chcę się dostać do mieszkania na 278 street west Nr. domu 75. Biorę więc wóz tramwajowy, który idzie przez którąkolwiek bądź avenue i wysiadam na street, to jest przecznicy Nr. 278, lub co się często zdarza na przystanku przecznicy 276 lub 7 następnie uważam po rozmieszczonych tablicach, gdzie jest wschód, albo zachód i udaję się pod Nr. domu 75. — Wskutek tego orjentacja w mieście jest bardzo prosta i łatwa, tak, że tamtejszy mieszkaniec przyjechawszy do obcego miasta w tej chwili się orjentuje i trafi sam bez niczyjej pomocy gdzie mu potrzeba. Nie jest więc tak jak u nas, gdzie ulice na-

zywają się Krótka, Krzywa, Jasna albo Ciemna, gdzie bez pomocy policjanta lub konduktora tramwajowego obcy nigdzie sam nie trafi.

Kolosalne budynki nieraz 40-to piętrowe i wyższe powstają w Ameryce bardzo szybko w przeciągu kilku tygodni. Jest to zaś możliwem tylko dlatego, że budynek taki składa się z żelaza i z kamieni, to znaczy z ram żelaznych (trawersów) będących szkieletem budynku i tworzących parter oraz poszczególne piętra, a pomiędzy te żelazne ramy wkłada się kamienne cokoły lub też sypie beton. Tak trawersy jak również i cokoły kamienne są stale na składzie w fabrykach i potrzeba je tylko zwieść i złożyć razem, aby powstał budynek.

Jeżeli się nadto zważy, że do każdej budowli jak wogóle do wszystkiego w Ameryce używa się maszyn, jak automobili, kolosalnych bloków elektrycznych, kranów, bagierów, że podbieranie fundamentów zwyczajnie w miękkim gruncie odbywa się przy pomocy tylko bagierów, których kosze dochodzą wielkości trzech metrów kwadratowych, zaś w gruncie skalistym przy pomocy dynamitu, to nie dziwnego, że budynek rośnie jak na drożdżach.

Opowiadano mi np. o takim wypadku w Chicagu. Przy jednej z ulic znajdował się block na którym stało kilkanaście budynków z mieszkaniami i sklepami. Były tam pierwszorzędne magazyny z towarami pierwszej klasy. Jedna z największych kompanji handlowych zakupiła cały ten block i postanowiła zburzyć wszystkie te stare kamienice, aby postawić na tem miejscu jeden wielki budynek mający front przy czterech uli-

cach. Kupcy jednak, którzy w starych kamienicach mieli swoje sklepy zgodzili się chwilowo wyprowadzić się z zajmowanych lokali pod tym warunkiem, że do sześciu tygodni będą mogli z powrotem wprowadzić się do nowego budynku i otworzyć na nowo swoje sklepy.

I trudno poprostu uwierzyć, że od chwili wyprowadzenia się kupców ze starych kamienic, zburzenie tychże, wybranie nowych głębszych fundamentów, wystawienie całego nowego gmachu, kompletne urządzenie go i przeniesienie doń dawnych sklepów zajęło co do dnia sześć tygodni czasu, tak, że dziś termin kontraktowy upływał i dziś nowe sklepy zostały już otwarte dla publiczności.

To szybkie stawianie budynków jest możliwem także i z tego powodu, że jak wspomniałem wyżej budynek kilkupiętrowy stawia się najpierw z ramy żelaznych, a kiedy te są gotowe, to poszczególne piętra buduje się równocześnie. I nieraz zdarza się, że czternaste, piętnaste, szesnaste piętro jest już zupełnie gotowe, podczas gdy trzecie, czwarte jest jeszcze nie-
tknięte.

Najpiękniejsze i największe na świecie bulwary znajdują się w Chicago. Ciągną się one w środku miasta, składając się głównie z dużych łąk, trawników, na których gdzieniegdzie rzucone są kępy drzew. Dziesiątki wygodnych szerokich asfaltowanych dróg, po których wolno tylko chodzić lub jeździć automobilami spacerowymi, przecinają bulwary te we wszystkich kierunkach.

Drzew spotyka się tu bardzo mało. Więcej nato-

miast jest roślin krzaczastych. Łąki, trawniki służą w pierwszym rzędzie tutaj do rozmaitych sportów i gier, a nadto do przechadzek pieszych. Szereg ławek wzdłuż chodników daje sposobność do odpoczynku. — Miejsca prawie stale zajęte przez siedzących, obok których kręcą się wiewiórki zwabione podawanym im chlebem, orzechami i owocami. Nierzadko pomiędzy wiewiórkami znajdzie się niepłochliwy szczur. Dziwna rzecz, zwierzęta te żyjące na wolności są tak oswojone, że podawane im pożywienie biorą wprost z ręki. To samo jest z wróblami, kosami, drozdami. Ale stworzeń tych nie wolno ani ścigać, ani płoszyć, ani tępić. To też oswajają się one całkiem i widzą w człowieku tylko swego przyjaciela.

Ruch automobilowy na bulwarach jest tak wielki, że idący pieszo muszą dobrze uważać i ostrożnie przechodzić z jednej strony chodnika na drugi, aby nie spaść pod samochód.

W środku bulwaru znajdują się olbrzymie oranżerje. Są to wielkie, prawie trzechpiętrowe pawilony zbudowane ze szkła, w których znajdują się sprowadzone z całego świata kwiaty, rośliny, krzewy i drzewa. Podobno najwięcej gatunków i odmian róż znajduje się tutaj w Chicago. Pan Retinger zapewniał mnie nawet, że w tej oranżerji znajdują się wszystkie gatunki róż, jakie tylko rosną na świecie.

Jadąc autem przez bulwary w kierunku dworca centralnego wyjeżdża się na ulicę Michigan-Ave, którą jadąc dalej dojeżdża się do jeziora Michigan, skąd chłód i zimno wieje stale nieprzyjemne. Jezioro to słynie ze swoich burzliwych wód.

Z pomiędzy budynków Chicagowskich zasługuje przede wszystkim na uwagę uniwersytet, który składa się z całego szeregu budynków. Każdy z nich jest wysoki na cztery piętra, a conajmniej tak duży, jak uniwersytet krakowski, (Collegium novum). Poszczególne wydziały mają swoje oddzielne gmachy zabudowane tak, że jeżeli się idzie zwiedzać uniwersytet chicagowski, to prosto wchodzi się jakby do jakiejś kolonji, składającej się z wielkich pięknych stylowych budynków, które oddalone są jeden od drugiego conajmniej pięćset metrów, a nadto otoczone pięknymi trawnikami, chodnikami, klombami i td. — Urządzenie zaś wewnętrzne pod względem naukowym dochodzi wprost do absurdu. Wszystko czego student do nauki, do wykształcenia potrzebuje, musi się tam znajdować i rzeczywiście się znajduje.

Majątek zakładowy uniwersytetu chicagowskiego wynosi 50,000.000 (pięćdziesiąt milionów) dolarów i tego kapitału dotychczas rektorat uniwersytetu nie naruszył. O ile zaś chodzi o stawianie nowych budynków, natenczas deputacja uniwersytetu udaje się do prezydenta Stanów Zjednoczonych, przedstawia mu potrzebę nowej budowy, wyjaśniając przytem, że uniwersytet jest biedny, że posiada do dyspozycji tylko 50,000.000 dolarów, których naruszyć nie może i dlatego prosi o subwencję. Prezydent zaś zawsze jej udziela; nic więc dziwnego, że w takich warunkach można budować gmachy uniwersyteckie jeden za drugim i to z najwyższym komfortem.

Zwiedzając uniwersytet zaszedłem dzięki uprzejmości młodego p. Szwajkarta medyka, na klinikę. Tu

zwidziłem przedewszystkiem salę wykładową chorób wewnętrznych, oraz operacyjną.

W sali wykładowej chorób wewnętrznych znajdowały się pomiędzy innymi zdjęcia roentgenowskie, oryginalnych przypadków chorób serca, płuc, wątroby i td. Płyty po największej części były koloru fioletowego, względnie oświetlano je lampkami elektrycznymi tej samej barwy. Są one stale umieszczone na odpowiednich stołach w gablotkach, tak, że każdy ze słuchaczy ma do nich przystęp każdej chwili. Nie potrzebuję zaś nadmieniać, że zdjęcia fotograficzne są precyzyjne. To też jakkolwiek sam nie jestem fachowcem, interesowałem się nimi bardzo. Sala operacyjna znajduje się na czwartem czy piątym piętrze. Cóż to jednak znaczy wobec wind, które są stale w ruchu transportując chorych na dół i do góry. W sali tej temperatura stale jest utrzymywana zapomocą ogrzewania centralnego i musi wynosić nie mniej i nie więcej, tylko 14 stopni C. Na środku sali znajdują się cztery stoły operacyjne i nieraz przy wszystkich czterech odbywają się równocześnie operacje. — Aby zaś studenci mogli lepiej widzieć przeprowadzone operacje, zbudowane są w sali dla nich ławki amfiteatralnie do wysokości jakich dziesięciu schodów. — Ławki te dosyć długie biegną półkolem wzdłuż ściany.

Teatrów jest w Chicago moc. Byłem w jednym z nich na przedstawieniu, które miało się rozpocząć o godzinie 8-ej wieczorem. Zwyczajem u nas przyjętym zjawiłem się w teatrze o wpół do ósmej. Czekam minut dziesięć, dwadzieścia, a na sali nikt się nie zjawia i byłem święcie przekonany, że z braku gości przedstawienie się nie od-

będzie. Tymczasem, na jakie pięć minut przed ósmą teatr zaczął się zapelniać, a w parę minut później był już szczelnie nabity. Punktualnie o 8-ej podniosła się kurtyna.

Wspaniałe też są w Chicago restauracje. Wiele z nich stale udekorowanych jest kwiatami, girlandami, tak, że europejczyk, który tam pierwszy raz zajdzie ma wrażenie, że wszedł na salę balową. Wieczorem w restauracjach tych odbywają się codziennie koncerty muzykalno-wokalne. Obok restauracji urządzonych na sposób europejski są także urządzone na sposób — chiński, gdzie podają tylko potrawy przyrządzone po chińsku, a przy stołach usługują tylko chińczycy. Jedną z najwspanialszych takich restauracji jest własnością bogatego amerykańczyka King-Jow-Lo. Urządzenie w niej jest wspaniałe, sufit, ściany, stoliki, krzesła wykładane są masą perłową. Podają tu sławną chińską potrawę „Chop-Suey“. Jest to mięso albo wołowe, cielęce, kurze, gęsie lub indycze przyrządzone z jarzynami najwięcej z selerami, przyprawione ciemną zaprażką. Do tego podają gotowany ryż uformowany w duże kulki, a nadto czajnik chińskiej herbaty, którą przez cały czas jedzenia popija się z maleńkich, bez uszek, chińskich filiżanek. Smaczna ta potrawa jest stosunkowo bardzo tania, gdyż normalnie kosztuje do 50 centów.

Jak już wspomniałem ruch automobilowy i tramwajowy jest kolosalny. Ponadto idą jeszcze górą koleje napowietrzne ponad ulicami pomiędzy kamienicami tak zwane „elevated“, zaś pod ziemią koleje podziemne, które przebywa się dłuższe przestrzenie.

Wiele jest także kościołów katolickich polskich,

a każdy z nich to prawdziwe cacko. Polacy nie żałują na to pieniędzy, więc nic dziwnego, że i domy pańskie przedstawiają się okazale.

Kolonja polska mieści się w osobnej zupełnie dzielnicy w tak zwanej Milwaukee (Miluoki) zamieszkaney wyłącznie przez samych polaków. Liczy ona do dwustu tysięcy mieszkańców i tworzy prawie odrębne miasto w Chicago.

Dziennikarstwo tak tutaj jak również i w całej Ameryce jest bardzo rozwinięte. Liczba prenumeratorów poszczególnych dzienników liczy się zwykle na setki tysięcy. Jest to możliwe tylko w ten sposób, że cena gazety redagowanej w języku amerykańskim wynosi 1 cent. Ta zaś nizka cena jest na odwrót możliwa tylko dlatego że nakład idzie w setki tysięcy. Wszyscy czytają tam gazety. Trzeba zaś wiedzieć, że pojedynczy numer gazety amerykańskiej ma codziennie dziesięć do dwudziestu stron pisma, formatu naszego „Czasu“ lub „Nowej Reformy“. — Wielką część, prawie dwie trzecie każdej gazety zajmują inseraty i różne ogłoszenia. Dlatego też wiele osób, głównie panny biurowe gazety kupują. Widziałem nieraz w pociągach napowietrznych całe dziesiątki panien, które na stacji kupiwszy dziennik przerzucały go szybko strona za stroną, szukając pomiędzy ogłoszeniami, czy nie znajdują jakiejś dobrej posady dla siebie, poczem rzucały z niechęcią gazetę do stojącego w rogu wagonu kosza.

Dzienniki polskie kosztują również 1 cent. są jednak mniejszej objętości.

Jednego z następnych dni udałem się koleją powietrzną do miejscowości „Stock-Yards“ celem zwiedze-

nia największej z fabryk mięsa na świecie. Już o godzinie 8-ej rano wyjechaliśmy pociągiem z Chicago, a po trzech kwadransach byliśmy na miejscu.

Mniejwięcej minut piętnaście przed przybyciem pociągu na stację „Stock-Yards“ jedzie się pomiędzy samymi stajniami, a względnie otwartymi klatkami i zagrodami, w których znajdują się setki bydła najrozmaitszego gatunku i wieku. Przybywszy na miejsce dostaje się z kancelarji funkcjonarjusza, który całą partję przybyszów oprowadza po fabryce. Samo zaś zwiedzanie fabryki odbywa się w dwóch partjach. Jedna wyrusza o 9-ej, druga o 11-ej przed południem.

Przewodnik wprowadza najpierw gości do rzeźni, gdzie biją nierogaciznę. Z poszczególnych stajni spędzają świnie do jednej wielkiej sali, skąd następnie wązką przegrodą posuwają się one gęsiego naprzód. Tu maszynerja jest tak urządzona, że odpowiednie koło stale się poruszające łapie żywą świnie za nogę, podnosi ją do góry a następnie wiesza za jedną nogę na orczyku. Tak powieszona świnia kwicząc przeraźliwie zjeżdża na kółku do następnej sali, gdzie jest rzeźnia. Można powiedzieć, że od tej chwili zwierzę jest już pochwycone w tryby maszynerji fabryki. W rzeźni stoi jeden człowiek, który przesuwając się obok niego kwiczącą i wieszającą za jedną nogę świnie przebija nożem rozpruwając jej jednym cięciem podgardle. Człowiek ten zabija w ten sposób dziennie po kilka tysięcy sztuk. — Tymczasem poderżnięte kwiczące i rzucające się w podrygach świnie jadą powoli dalej i przechodzą do drugiej sali już martwe. Tu znajdują się kolosalne kotły średnicy czterech metrów, w których nieżywe już sztuki zanurzają

i parzą. Po kilku minutach oparzona i oczyszczona z sierści świnka jedzie powieszona na nowym orczyku do następnej sali, gdzie ją do reszty oczyszczają, następnie rozpruwają, ćwiartują na części, oddzielają słoninę od mięsa, tak że po godzinie z całej świni są już tylko szynki, polędwice i słonina.

Praca w tej fabryce jak wogóle i we wszystkich innych polega na tem, że zwierzę zabite przechodzi przez setki rąk robotników, z których każdy wykonuje jeden i ten sam ruch, względnie cięcia nożem. — I tak jeden z początkowych rzeźników oczyszcza tylko lewe ucho świń, które przechodzą przez jego ręce. Jego następcą oczyszcza tylko karki, dalszy znowu tylko grzbiety, jeszcze dalszy tylko przednią nogę, dziesiąty z rzędu dajmy na to robi tylko nacięcie rozpruwające, jego następcą nacina szynki, inny polędwice i td. — Dość na tem, że każdy robotnik wykonując jedną i tę samą czynność dochodzi do takiej wprawy, że pracuje jak maszyna.

Rozebrane na części sztuki idą następnie do wędzarni, poczem uwędzone mięso dostaje się na drugie piętro, gdzie specjalne maszyny krajają je na płatki. — Skrajane kawałki pakują robotnicy odrazu w blaszane puszki i tak dziś o godzinie 8-ej rano zabita świnka na drugi dzień o 8-ej rano a więc po dwudziestu czterech godzinach rozchodzi się już w blaszanych puszkach jako konserwy na wszystkie strony świata.

Takie same koleje przechodzą woły, cielęta, barany, kozy i inne zwierzęta które tu biją. Robotnicy pracują tutaj po ośm godzin na dobę i zmieniają się partjami, fabryka jednak jest w ruchu bez przerwy.

Obserwowałem robotników tych przy pracy. Każdy z nich spokojnie; automatycznie obojętny na wszystko zajęty tylko cięciem, które stale powtarza. Nie rozmawiają oni ze sobą zupełnie. Nie ma na to czasu gdyż każda sekunda stracona powoduje opóźnienie w pracy setek następnych robotników. — Robotnicy ci rekrutują się z najrozmaitszych narodowości i pochodzą ze wszystkich stron świata. Obok francuza stoi polak, przy nim jakiś moskal, obok tego włoch, holender, hiszpan, węgier i td. — Cięższe roboty, jak na przykład przetaczanie wózków na szynach, noszenie ciężarów, pak, skrzyń i tp. wykonują murzyni, mówiący po angielsku. Robotnicy ci zarabiają bardzo dobrze, bo trzy, cztery, a nawet i pięć dolarów dziennie.

Stamtąd wróciłem z powrotem do Chicago. Trzeba przyznać, że centrum miasta prezentuje się najokazalej z pomiędzy wszystkich dzielnic. Tu są szerokie ulice, wspaniałe wystawy, tu koncentruje się handel, przemysł kupiecki. — Kilkudziesięciopiętrowe budynki mieszczą w sobie na parterze sklepy, zaś począwszy od pierwszego aż do ostatniego piętra zapelnione są biurami handlowymi, kupieckimi, przemysłowymi. W centrum bowiem miasta nikt nie mieszka, o ile naturalnie dana kamienica nie jest hotelem. Tu gromadzą się wszyscy tylko po to, aby przez cały dzień pracować i zarabiać, zaś wieczorem po 5-ej godzinie wraca wszystko pociągami, tramwajami do swych mieszkań poza miastem.

Tam poza miastem jest znowu inne życie, — domowe, rodzinne. Tutaj po skończonej całodzienniej pracy wracają amerykanie do swoich pięknych willi,

z których każda zbudowana jest w innym stylu, a wszystkie otoczone są trawnikami, ogrodami, sadami lub klombami. — Ten sam amerykańnik, który rano w centrum miasta przeprowadzał kolosalne transakcje handlowe, pracował w biurze lub fabryce, wieczorem wróciwszy do domu, wychodzi do ogrodu, i ująwszy w swe ręce gumową rurę, skrapia wodą od wodociągu trawniki i klomby otaczające jego willę.

Podobno centrum miasta Chicago, dziś tak piękne ruchliwe i kipiące życiem, powstało przed dwudziestu laty, a rozrosło się szalenie dopiero w ostatnich sześciu latach. Przedtem na tem miejscu miały być malaryczne moczary. Powszechnie przepowiadają, że za jakieś lat dwadzieścia prześcignie ono i przerosnie Nowy York i stanie się największym miastem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Odnosnie jeszcze do „Great Northern Hotel“ muszę nadmienić, że na dole w nim znajduje się duży westybul, czyli poczekalnia urządzone zupełnie jak salon. Wzdłuż ścian biegną wygodne kanapy, z oparciami na plecy i ręce. W środku zaś westybulu znajdują się takie same sofy, które raczej wyglądają jak szereg wygodnych foteli obok siebie poustawianych. Ruch w poczekalni jest bardzo wielki; ciągle przychodzą nowi goście, nawet tacy, którzy tu nie mieszkają, siadają w fotelach, czytają gazety i palą spokojnie cygara. Czekają oni albo na podróżnych, którzy mieszkają w hotelu, albo też dopiero mają przybyć, jednym słowem urządzają sobie tu spotkanie, aby załatwić prywatne, urzędowe lub też handlowe sprawy. — Zwyczaj ten jest przyjęty w całej Ameryce. Obserwowałem naprzykład jedną pa-

nią, która stale pojawiała się w naszym hotelu około 9-ej rano, konferowała w westibulu z najrozmaitszymi panami przez dwie lub trzy godziny, poczem odchodziła, a na drugi dzień znowu o tym samym czasie przychodziła z powrotem. Jest to więc rodzaj małej giełdy, gdzie nieraz dokonują się bardzo wielkie tranzakcje handlowo-kupieckie. Przy wejściu do poczekalni znajduje się biurko sekretarza hotelowego. U niego też w księdze hotelowej musi każdy świeżo przybyły gość własnoręcznie napisać swoje imię i nazwisko, mniejsza o to czy prawdziwe czy fałszywe i skąd przybywa. Prawdziwości nazwiska nikt nie dochodzi. Innego meldowania się w Ameryce niema. Obok sekretarza znajdują się biura telefoniczne wraz z księgą adresową miejscową i pozamiejscową. — Księgi te, to poprostu tomy całej wielkości naszych ksiąg hipotecznych i są przy pomocy silnych łańcuszków przytwierdzone do stołów.

Gość hotelowy chcący rozmawiać telefonicznie wchodzi do budki wrzuca do odpowiedniego przyrządu 5 centów, poczem zapowiada centrali numer z którym chce się połączyć. — Jeżeli rozmowa zamówiona nie przyjdzie do skutku, panna z centrali przyciska odpowiedni przyrząd elektryczny, a aparat, który przed chwilą połknął 5 centów zwraca je z powrotem. Dalej mieści się biuro notariusza publicznego. Notariuszem tym jest panienka, która legalizuje podpisy i stwierdza tożsamość osoby. Poza tem załatwia ona korespondencję, sprzedaje marki pocztowe, kartki widokowe i tp.

W każdym pokoju hotelowym jest telefon, którym można rozmawiać z całym miastem. Wszystkie hotele mają swoich detektywów hotelowych. Znają oni do-

kładnie każdego gościa, mieszkającego w hotelu, z wyglądu i z nazwiska, a co najważniejsza interesują się wszystkimi i wszystkim.

Miałem naprzykład taki wypadek. Chcąc pewnego dnia lepiej obejrzeć poszczególne piętra w moim hotelu nie zjechałem na dół jak zwykle windą, lecz zacząłem schodzić po schodach na dół oglądając każde piętro ciekawie i z zainteresowaniem. Na piątym lub czwartym piętrze od dołu spotkałem jakiegoś pana, którego już poprzednio widywałem stale siedzącego w westybulu. Pan ten widząc, że się kręcę i rozglądam po piętrze zmierzył mnie ostro z góry na dół i zapytał co tu robię? Odpowiedziałem, że chciałbym obejrzeć urządzenie pięter i że wracam z 8-ego piętra.

— A co pan robił na ósmym piętrze? zapytuje znowu.

— Mieszkam tam — odpowiadam na to. Ta jednak odpowiedź nie zadowoliła go lub też biorąc mnie za złodzieja hotelowego zapytał krótko: pod którym numerem pan mieszka?

— Pod 887.

— Proszę pokazać klucz — odzywa się znowu tym samym ostrym tonem ów pan.

— A pan co za jeden — pytam ja ze swej strony.

— Proszę w tej chwili pokazać klucz — mówi wysoki jegomość — przystępując jeszcze bliżej do mnie.

— Nie mam klucza z sobą, ponieważ murzynka sprząta w mojem mieszkaniu.

— Więc jakie jest pańskie nazwisko? pyta on dalej.

— Kamiński odpowiadam na to, ale już z pasją.

— A Mr. Kamiński, wykrzyknął, uśmiechając się

przyjaźnie. Daruj pan — ciągnie dalej — ale ja jestem detektywem hotelowym i muszę na wszystko uważać.

Dzień za dniem upływał mi przyjemnie. Oprócz tego zaś co sam widziałem w Chicago, dowiedziałem się tutaj wiele rzeczy o stosunkach amerykańskich; jak powstają miljonerzy lub też jak tracą majątki ludzie opanowani chęcią większego zysku, jak dostają się na giełdę i td. i td.

I tak wstęp na giełdę na ogólną salę, na galerję dozwolony jest każdemu. Jeżeli jednak ktoś chce mieć biurko na sali, a nadto i telefon na nim, to biurko takie kosztuje setki i tysiące dolarów, zależnie od tego, w którym miejscu na sali się znajduje.

Oдноśnie zaś do wzbogacania się miljonerów amerykańskich opowiadano mi następujący fakt:

W roku 1915 pewien miliardier, handlarz zboża przeczuwając, że wojna przeciągnie się jeszcze długo, począł skupywać wszystko zboże w Ameryce i płacił za nie taką cenę, jakiej sprzedający zażądał. Kiedy już wszystko zboże wykupił, zamknął je w spichlerzach i więcej się na giełdę nie pokazywał. A gdy inni giełdciarze zgłaszali się do niego z propozycją odkupienia jakiejś ilości zboża, każdemu odpowiadał stereotypowo, że zboża nikomu nie sprzeda.

Wskutek braku zboża na rynkach światowych cena jego tymczasem poszła niesłychanie w górę, a kiedy spryciarz miliardier wyśrubował cenę ziarna do niemożliwości otworzył swoje spichlerze i całą zawartość zboża sprzedał za jednym zamachem.

Ci, którzy od niego zboże odkupili uszczęśliwieni byli z początku, że się im to udało i cieszyli się nadzieją

wielkich zysków. Wkrótce jednak przekonali się, że padli ofiarą wyrafinowanego spryciarza. Wskutek bowiem rzucenia odrazu na rynku światowym, tak ogromnej ilości zboża, cena jego spadła niesłychanie nisko, a wszyscy, którzy mieli to zboże w swoich rękach po tracili kolosalne majątki.

Tego tylko czekał pierwszy giełdziarz. Powoli zaczął znowu wykupywać z powrotem to samo zboże po niskich cenach i wkrótce olbrzymie zapasy znalazły się znowu w jego rękach.

Kiedy po tej całej kombinacji pokazał się spryciarz ten na giełdzie, został sromotnie obity laskami i wyrzucony z giełdy.

Inny wypadek spekulacji. — Pewien dyrektor i spółnik wielkiego towarzystwa akcyjnego żelaznego zażądał na walnem zgromadzeniu, aby mu podwyższono dywidendę na kilkadziesiąt milionów rocznie, gdyż inaczej wystąpi ze Spółki, kapitał swój wycofa i wystawi własną fabrykę żelaza, z którą konkurencji nikt nie wytrzyma. Wszyscy obecni na walnem zgromadzeniu zaczęli patrzeć na niego jak na półgłówka, — odmówili naturalnie jego żądaniu, a na drugi dzień pojawiła się w dziennikach wiadomość, że pan X. Y. dostał pomieszania zmysłów, gdyż postawił żądania nie mające sensu.

Tymczasem były dyrektor wycofał swój kapitał ze spółki i przepadł gdzieś na dłuższy czas bez wieści.

Pewnego dnia pojawił się znowu w Chicago, wyjechał automobilem poza miasto i udał się w okolice rozległych piasków, ciągnących się nad jeziorem Michigan. Przybywszy tutaj począł rozglądać się po okolicy prze-

jechał autem w jedną i drugą stronę, poczem wrócił do Chicago.

Kiedy za kilka dni ukazała się w dziennikach wiadomość, że były dyrektor zakupił bezwartościowe rozległe piaski nad jeziorem Michigan, wszyscy upewnili się w przekonaniu, że pan dyrektor zwarzjował naprawdę.

Tymczasem po niejakiś znowu czasie dzienniki przyniosły wiadomość, że dyrektor ten na zakupionych gruntach będzie stawiał ogromną fabrykę żelaza. — Jeszcze i wtenczas nikt nie chciał temu wierzyć, atoli po niejakiś czasie zaczęto układać do miejsca wyżej wspomnianego tor kolejowy, a niedługo potem nadeszły wagony z materiałem budowlanym na fabrykę.

Wtenczas dopiero wszyscy zmienili swoje przekonanie. Zobaczyli bowiem, że to nie żarty, lecz rzeczywistość, że fabryka zaczyna się budować.

I wielu zgłosiło się do pana dyrektora z propozycją zakupu kawałków gruntu w okolicy mających się stawiać fabryk, albowiem kupcy chcieli mieć w pobliżu swoje sklepy, robotnicy swoje domy; instytucje finansowe swoje banki.

Atoli pan dyrektor uparł się i oświadczył, że ani piędzi ziemi nikomu nie sprzeda. — A kiedy w ten sposób podbił cenę gruntu-piasku do niebywalej wysokości, począł jakby z łaski sprzedawać kawałek za kawałkiem nieużytków piaszczystych, i wielu amatorów rzuciło się na to kupno. — W ten sposób rozsprzedał całe przez siebie zakupione piaski, a kiedy pieniądze miał już w swojej kieszeni, oświadczył spokojnie, że fabryki stawiać nie będzie i że uzyskane ze sprzedaży pieniądze ulokuje na procent.

Wtedy już nikt nie posądzał pana dyrektora o to, że jest warjatem, natomiast dzienniki przyniosły wiadomość, że wielu z nabywców piasku, dostało z rozpaczy pomieszania zmysłów.

Wogóle wszystko idzie tu w szybkim tempie; zбоgacenie się i bankructwo, karjera polityczna i upadek w życiu publicznem i td. i nieraz ten, kto dziś był nędzarzem, jutro staje się milionerem i na odwrót. — Były wypadki, że robotnik, który zamiatał u fabrykanta podłogi zgłosił się do niego z dobrym pomysłem, projektem lub kombinacją i o ile plan jego został przyjęty, na drugi dzień był już współnikiem, był bogaczem.

Jednego z dni następnych udałem się na zwiedzenie największej fabryki żelaza „Gary Indiana“. Jedzie się tam pociągiem dwie godziny. Dojeżdżając do tej miejscowości, pociąg toczy się pomiędzy całym szeregiem samych kominów fabrycznych tak, że zdaje się, jakby to był jakiś las wysokich słupów ceglanych. — Wskutek jednak dymów i gazów, które się z tych kominów wydobywają, powietrze tutaj jest bardzo niezdrowe, a niebo zupełnie zachmurzone, tak, że słońca zupełnie nie widać. — Nad jeziorem zaś, które się obok znajduje unosi się opar w rodzaju mgły. Jest to właśnie dym zmieszany z rozmaitemi gazami, wydobywanymi się z kominów, a mieszanina jest tak ciężka, ciemna i gęsta, że zasłania zupełnie widok.

Fabryki te należą wogóle do największych na całym świecie. Przetapiają tutaj rudę żelazną w kolosalnych piecach, a uzyskane stąd żelaza przerabia się na najrozmaitsze wyroby. — Od czasu zaś wybuchu wojny, fabryki te wyrabiały przedewszystkiem amunicję. —

Z tego więc powodu, jak również z powodu częstych wypadków, wstęp do tych fabryk jest nadzwyczaj utrudniony. — Nieraz bowiem zdarzało się, że robotnicy pracujący tam przez nieuwagę opuścili nagle na ziemię niesioną sztabę żelaza, która spadając nie jednemu z nieostrożnych widzów oderwała lub zdruzgotała obie nogi. Czasem znowu nieostrożny widz zanedto zbliżył się w kuźni do obijanej kolosalnymi młotami parowymi rozpalonej sztaby żelaza, z której iskry sypią się na wszystkie strony, przez co stracił wzrok, lub doznał oparzenia, a nawet cięższego kalectwa. Takie same wypadki zachodziły przy wylewaniu rozpalonego żelaza z pieców i wyciągania go bądź w sztaby bądź w sztangi. To wszystko spowodowało dyrekcję fabryki do wydania ostrych zarządzeń, zabraniających wstępu obcym osobom do fabryki.

Mile i przyjemnie mijały chwile mojego pobytu w Chicago, lecz w końcu nadszedł czas, że musiałem to miasto opuścić i udać się w dalszą drogę. — Tymczasem czekało mnie załatwienie jeszcze jednej formalności, o której się przypadkowo — na szczęście zawczasu — dowiedziałem.

Mianowicie ułożony bilet mój na przejazd przez całą Amerykę, a zakupiony jeszcze w Seattle był mylnie wystawiony o tyle, że począwszy od Chicago, wyznaczał mi rutę przez terytorjum kanadyjskie. — Gdybym więc z tym biletem dalej pojechał, byłbym o kilka kilometrów od Chicago przejechał granicę Kanady, tutaj uległ ostrej kontroli paszportowej anglików, a z braku odpowiednich dokumentów, zostałbym z pewnością przyaresztowany. — O tem wszystkiem dowiedziałem się

zupełnie przypadkowo, i wdzięczny byłem niewymownie temu, kto mnie o tem ostrzegł. — Obecnie trzeba było bilet ten odpowiednio poprawić, względnie nawet i wymienić.

Udałem się więc przedewszystkiem do kompanji „Union Pacific“ u której nabyłem bilet w Seattle. Tu jednak urzędnik oświadczył mi, że ta kompanja tego zrobić nie może, lecz uczyni to inna, która niedaleko stąd się znajduje, dodał zarazem, że biura tej kompanji znajdują się stąd cztery bloki na północ i trzy bloki na wschód. — Kiedy jednak przyszedłem na wskazane miejsce oświadczone mi to samo, co i w pierwszej, odsyłając mnie znowu trzy bloki na północ i dwa bloki na zachód. — Tak od kompanji do kompanji wędrowałem po mieście od 9-ej rano do 12-ej w południe w końcu jednak dostałem się przecież do właściwej kompanji.

Tutaj na czwartem piętrze oświadczył mi urzędnik, że wprawdzie dobrze trafiłem, ale muszę jeszcze udać się najpierw do głównego dyrektora, który stoi na czele wszystkich kompanji, a urzęduje w tym samym budynku na 8-em piętrze.

Kiedy tam przyszedłem zastałem jakiegoś pana bez marynarki, czytającego gazetę. Przedstawiwszy mu sprawę, poprosiłem o wystawienie nowego biletu na co chętnie się zgodził i na odebrany odemnie bilecie położył swoją parafę w kształcie litery e. Ta parafa, ten drobny znaczek, który kosztował mnie tyle czasu, zachodu i drogi, wystarczył zupełnie, aby uzyskać nowy bilet, co też ostatecznie szybko nastąpiło.



ROZDZIAŁ XX.

Z Chicago do Buffalo N. Y. Nad wodospadem Niagary.

Na drugi dzień pociągiem rannym wyjechałem z Chicago i udałem się w dalszą drogę do Buffalo NY. Przybyłem tam o północy. Wsiadłszy na stacji biore samochód i podaję adres hotelu, który sobie zawczasu wybrałem. — Niestety przybywszy na miejsce dowiedziałem się, że wszystkie pokoje zajęte, ale że w sąsiednim hotelu z pewnością mnie przyjmą. — Lecz i tu odprawiono mnie z niczem. Rozpoczęła się więc bardzo nieprzyjemna wędrówka po nocy, po nieznanem mieście, w poszukiwaniu za pokojem wolnym, którego ze względu na wielką liczbę turystów przybywających zwiedzać wodospad Niagary, absolutnie nie można było dostać.

Ostatecznie gdzieś w dziesiątym hotelu otrzymałem pokój na 6-em piętrze. — Zmęczony po podróży udałem się zaraz na spoczynek, aby rano wczas wstać i udać się do wodospadu. Sen jednak nie przychodził.

Blizka odległość tego kolosu przyrody, który znajdował się odemnie tylko o kilka kilometrów, działała na mnie tak podniecająco, że nie mogłem pomimo znużenia usnąć. Zdawało mi się ciągle, że słyszę huk spadającej wody, że widzę te ogromne masy przelewających się wód, że wystarczy tylko wstać i wyrzeć przez okno, aby to wszystko zobaczyć. — Szalona ciekawość paliła mnie tak strasznie, że gdybym był znał miasto, byłbym w nocy zbiegł na dół i pobiegł szybko ulicami, aby być jak najprędzej przy tym nowym cudzie przyrody. — Gdzieś około 3-ciej nad ranem znużony zasnąłem ostatecznie, nie zaznając jednak spokoju i podczas snu.

Rano obudziłem się dosyć późno. Była już godzina 8-ma. Wyjrzałem przez okno. Dzień był pochmurny, ciężki, nie zapowiadał się ładnie. — Po chwili schodzę na dół, a doszedłszy do najbliższej stacji tramwajowej, skąd odchodzą pociągi tramwajowe do wodospadu, skończyłem do pierwszego nadjeżdżającego i ruszam na nową wyprawę. — Zrazu jedziemy ulicami miasta Bufalo. Po kilkunastu jednak minutach zjeżdżamy na drogę poza miastem i zatrzymując się bardzo rzadko lub tylko na żądanie osób chcących wysiąść, mkniemy szybko coraz dalej. Po godzinnej jeździe przybywamy na miejsce i wysiadamy na stacji kolejowej. — Wycho-dzę wraz z innymi i udaję się do parku. — Tutaj czekają już automobile, omnibusy, oraz powozy, które za opłatą dolara obwożą gości ponad wodospadem zatrzymując się i wskazując miejsca skąd najpiękniejszy odkrywa się widok na Niagarę.

Mając dosyć czasu idę powoli piechotą przez park dobrze utrzymanymi ścieżkami. Tymczasem dzień,

który z początku był ponury i pochmurny, zaczyna się powoli wyjaśniać; słońce coraz jaśniej i silniej przygrzewać.

Zwiedzanie wodospadu odbywa się w ten sposób, że najpierw ogląda się go z góry, później z dołu, następnie można przejść tunelem podziemnym nad brzeg i przy pomocy miejscowych przewodników zwiedzać go idąc skalistym brzegiem różnymi gankami, krużgankami, dostając się do rozmaitych jaskiń w skałach, mając wodospad raz nad głową to znowu u stóp swoich. — Ci, którzy biorą udział w tej wycieczce dostają od zarządu miejscowego gumowe kostjumy koloru żółtego, składające się z kamaszy, spodni, jaki i marynarskiego kapelusza.

Można także zwiedzać wodospad statkiem po rzece lub nawet przejechać na drugi brzeg i stamtąd oglądać z wysokości całą panoramę.

Zbliżając się powoli do wodospadu słyszy się wielki głuchy huk, dochodzący gdzieś zdaleka. Na razie jednak nie jeszcze nie widać, albowiem drzewa parku, przez który się przechodzi, zasłaniają cały widok. Idąc alejami, zbliżam się coraz bardziej ku rzece, aż ostatecznie staję nad brzegiem otoczonym silną żelazną balustradą i z odległości kilkunastu kroków widzę już przelewające się masy wody.

Wodospad Niagary dzieli się na dwa ramiona, które okalając wysepkę, schodzą się następnie znowu w jednym łożysku zlewając się pod kątem prostym na dole. — Dlatego też w rzeczywistości są to dwa wodospady. Ten, który wpada do łożyska z boku, jest mniejszy i słabszy. Natomiast wodospad główny jest szeroki,

ogromny, poważny, majestatyczny i tu dopiero przelewają się całe masy wody lecąc w dół z wysokości kilkudziesięciu metrów. Pęd jednak i siła tych wodospadów są obecnie już bardzo osłabione, wskutek tego, że po drodze dużo wody zużywa się do najrozmaitszych turbin.

Staję ostatecznie nad brzegiem mniejszego wodospadu. Głębokość wody tego ramienia rzeki nie jest bardzo wielka, wynosi zaledwie jeden do dwu metrów, tak, że dno a nieraz i skały leżące na dnie widać doskonale. Bieg wody tutaj jest dosyć powolny, a wskutek tego i sam wodospad nie ma wielkiego pędu, lecz owszem woda, jakby od niechcenia obsuwa się na dół po skale.

Przez most rzucony przechodzi się na wyspę, a następnie zbliża się do drugiego wodospadu. Prąd jego również nie jest silny, atoli wskutek większej ilości wody, — jest to bowiem główne koryto, — spadek jest silniejszy.

Przy pomocy wąskiego mostku, który wbiega w koryto rzeki, można się przybliżyć do samego wodospadu i oglądać, jak te kolosalne masy wody płyną i opadają ciągle na dół coraz nowe, nigdy niewyczerpane. — Wrażenie odnosi się potężne, wstrząsające.

Oglądnąwszy całą rzekę, jak również wodospady z góry i z brzegu, zeszedłem następnie murowanym tunelem, a względnie jakby wieżą na dół, gdzie kończą się opady wód, a na nowo zaczyna się rzeka. Tu przy brzegu zbudowany jest rodzaj przystani skąd co godzinę odchodzi statek w głąb rzeki, — podjeżdżający z turystami pod jeden a następnie i drugi wodospad.

Zanim statek nadszedł, poszedłem skalistym wybrzeżem w górę rzeki, przybliżając się powoli do mniejszego wodospadu. — Tutaj woda spadająca z góry i odbijająca się następnie w dolnem korycie przepaja całe powietrze wilgocią i drobnymi kropelkami, — jakby deszczem. W dodatku pęd wody spadającej powoduje pewnego rodzaju wiatr, który unosi z sobą powietrze przepojone drobnym pyłem wodnym. Wskutek tego mniej ostrożni widzowie zbliżywszy się zanadto do wodospadu w jednej chwili przemakają do nitki. — Wypadek taki miał miejsce także wtenczas, kiedy ja posuwałem się w górę rzeki. Ponieważ wyjeżdżając z Buffalo zabrałem z sobą płaszcz gumowy, przeto czując obecnie w powietrzu wilgoć i drobne kropelki wodne, włożyłem coprędzej na siebie gumowe palto i to było całe szczęście. Nie uszedłem bowiem jeszcze ani dziesięć kroków naprzód, gdy nagle pęd powietrza przepojonego pyłem wodnym ogarnął mnie ze wszystkich stron. W jednej chwili czapka i płaszcz gumowy były tak mokre jak wśród największej ulewy, a woda lała się ciurkiem. Natomiast kilku amerykańców, którzy na zwiedzanie wodospadu wybrali się tylko w eleganckich ubraniach i lakierkach przemokli w sekundzie do nitki i musieli na razie dalszego zwiedzania zaniechać.

Spoglądam w stronę przeciwną od wodospadu i widzę kolosalny żelazny most łukowy zbudowany nad rzeką Niagarą, a łączący Stany Zj. z Kanadą. Połowa tego mostu należy do Stanów Zjednoczonych druga zaś do Kanady. Na środku mostu stoi posterunek angielski, patrolujący po moście od strony kanadyjskiej. Most kształtu wielkiego łuku, zbudowany jest z żelaza. Od

łuku tego idą prostopadle w górę trawersy jakby kozły, na których wspiera się przejście od jednego brzegu do drugiego. Tuż przy moście, przy samym łuku, opierającym się na brzegu amerykańskim znajduje się kanał murowany odprowadzający pod ziemią wodę z Niagary. Pęd wody, która wypływa z tego kanału jest tak szalony, tak bystry, że patrząc nań ze szkarpy dostaje się formalnie zawrotu głowy. — Szkarpa ta ma podwójne zadanie. Zagradza w pierwszej linji przystęp do kanału, a nadto służy miejscowym przygodnym fotografom za tło do robienia zdjęć fotograficznych. Kilku z nich stoi w pewnych odstępach od siebie z nastawionymi aparatami i co chwila robią zdjęcia a la minute, które nawiasem wspomniawszy, są wcale udatne.

Powrócił nareszcie i statek ze swojej wycieczki i przybił do przystani, gdzie już czekała nań gromada turystów. Za opłatą 50 centów dostają się na pokład. Tutaj dostajemy wszyscy czarne gumowe płaszcze, marynarskie kapelusze, mające z przodu maski, z otworami na oczy. W stroju tym wyglądamy jak gromada czarnych duchów. Za chwilę statek odbija od brzegu i rusza powoli w górę rzeki. — A tymczasem niebo wyjaśniło się zupełnie i słońce ukazało się nad nami.

Jedziemy spienioną rzeką w górę i powoli zbliżamy się do pierwszego wodospadu. Podjechawszy przed sam środek jego, statek zatrzymuje się, aby dać turystom sposobność przypatrzenia się mu zbliska. — Rzeczywiście wrażenie jest kolosalne i ocenia się je dopiero teraz, kiedy z dołu patrzy się na ten ogrom wody spadającej z góry wolno, majestatycznie. Zdaje się, że te masy wody lecące z góry urwią się nagle i spadną na

dół, aby zginać w przepaści. Tymczasem jedna masa idzie, już się przewaliła przez brzeg a druga następuje tuż za nią, trzecia ją dobiega i łączy się z nią i tak dalej i dalej płynie woda za wodą bez końca, a zawsze w jednym tempie, nie wolniej, ani prędzej, nie słabiej i nie silniej.

W skupieniu ducha, z zapartym oddechem zdumiony podróżnik patrzy się i podziwia to wszystko, bojąc się ciągle by nagle potok wody się nie przerwał i żeby to wszystko nie zniknęło z przed oczu jak cudowny miraż.

Nagle słychać na nowo ruch śruby okrętowej i statek zaczyna posuwać się naprzód. — Przejeżdżamy koło miejsca, gdzie brzeg rzeki tworzy szeroką przerwę między wodospadem mniejszym, a większym. — Brzeg ten właśnie opada z wyspy powstałej między obu ramionami rzeki. — Tutaj wybrzeże jest skaliste i aby turystom ułatwić przejście po niem, pobudowane są liczne krużganki, ułatwiające przejście z jednej skały na drugą. — Idąc jednak tamtędy musi się mieć konieczne ubranie gumowe, chcąc się uchronić od zupełnego przemoczenia. — Właśnie widać przechodzące grupami wycieczki, których pojedynczy członkowie w swoich żółtych gumowych kostjumach wyglądają z daleka jak mały wspinające się po skałach lub przechodzące jedna za drugą przez wązkie mostki.

Tymczasem statek płynie powoli coraz dalej i coraz więcej zbliża się do głównego wodospadu. Już szum i huk spadającej wody ogarnia nas coraz więcej ze wszystkich stron. Na lewo od nas wprawdzie nieco w tyle jeden wodospad, przed nami drugi, ogrom i kolos. Powietrze jest tak przepojone drobnymi kropelkami

wody, że wszystko t. j. płaszcze, kapelusze i twarze ocieka wodą. — Chwilami gdy pęd powietrza rzuci nam w twarz tumany pyłu wodnego, twarz tak silnie zalewa się wodą, że trzeba coprędzej zamknąć oczy.

Spadająca z góry na dół woda powoduje w dolnem łożysku tak silny prąd wody, że statek musi całą siłą pary pracować, aby mógł posuwać się naprzód. Ostatecznie podpływamy na jakie dwadzieścia metrów pod sam wielki wodospad. Na lewo, na prawo, z przodu, nie widać nic, tylko przelewające się masy wód. Jesteśmy jakby na dnie jakiegoś wielkiego kotła, po którego brzegach zsuwa się ciągle i ciągle wielkie, ciężkie, zielonkowate cielsko wody. Z dołu zaś unosi się stale drobny pył wody zamieniający się powoli w mgłę przenikającą całe powietrze. — Statek na chwilę przestał pracować i stoi nieruchomo. My wszyscy na pokładzie również jakby zahypnotyzowani stoimy cicho patrząc z podziwem na spadającą wielką ławicę wody. I znowu zdaje się chwilami, że ta wielka masa wody nagle się urwie i przestanie płynąć, lecz przypuszczenie to prędko ustępuje.

Jesteśmy tak zapatrzeni w ten ogrom i tak ogłuszeni hukiem że nie zdajemy sobie poprostu sprawy co się wkoło nas dzieje. Statek bowiem, który przestał pracować unoszony pędem wody oddala się powoli od wodospadu. Wtem nagle daje się słyszeć na nowo ruch śruby okrętowej. — Teraz już z całą siłą pary prze statek naprzód i wbija się formalnie w mgławicę powstałą wskutek spadającej i rozpryskującej się wody.

Podjeżdżamy prawie tuż pod samą tafłę wodospadu. Z bijącym sercem patrzymy na ten ogrom, który mamy

przed sobą, drżąc z obawy, że jeszcze chwila jedna, jedno posunięcie się naprzód, a spadająca woda porwie nas w swoje objęcia i zatopi na dnie rzeki. Z góry, prawie że nad naszymi głowami wali się na dół jedna, wielka jednolita masa wodna. W dole zaś przed nami znajduje się istne piekło. Tu woda przewala się, kołtuję, pieni, syczy i pryska na boki. Chwilami fala wzbije się w powietrze i znowu opada na dół. W miejscu jednak, gdzie kończy się wodospad wznosi się jakby tuman kurzu, jakby dym biały, drobny pył wody, przesłaniający chwilami cały wodospad.

Po niejakiem czasie spostrzegamy ze zdziwieniem, że pęd wody uniósł statek dosyć daleko od wodospadu, a kiedy tym razem śruba zaczęła pracować, statek nie popłynął już naprzód, lecz zatoczywszy półkole, skierował się z powrotem w dół rzeki.

Jakby z pewnego rodzaju uczuciem ulgi, że się od-
dalamy od tego przytłaczającego i gniotącego nas swym ogromem kolosu, a jednak z dziwnego rodzaju zadowoleniem odjeżdżamy unosząc pełnię niezapomnianych wrażeń.

Przybywszy na środek rzeki na wysokość miejsca, gdzie wsiedliśmy, statek nasz robi znowu półkole i za-
jeżdża tym razem na wybrzeże kanadyjskie. Tutaj ci wszyscy, którzy od strony Kanady chcą zobaczyć jeszcze raz ogólną panoramę wodospadu wysiadają ze statku, a następnie przeszedłszy przez przystań dostają się na wysoki brzeg rzeki. W przystani znajdują się sklepy i bazy, w których sprzedają drobne pamiątki, przypominające wodospad Niagary. Ci więc turyści, którzy powracają tym samym statkiem na brzeg ame-

rykański wysiadają szybko, zakupują drobiazgi, wracają prędko na statek, by dostać się z powrotem na brzeg amerykański.

Tymczasem ci, którzy pozostali na brzegu kanadyjskim wychodzą po wygodnych schodkach na szeroki piękny bulwar, którego strome brzegi zabezpieczone są mocną balustradą żelazną.

Z tej strony kanadyjskiej, z tego lewego brzegu rzeki mamy cały jednolity wspaniały widok na rzekę, wodospad i najbliższą okolicę Niagary. Panorama jest urocza. Widać tylko dwie rzeczy: ogromną masę wód, i zielen brzegów.

Patrząc wprost przed siebie widać hen daleko, jak długa wstęga Niagary przewleka się pomiędzy zielenią i spokojnie przepływa naprzód. — Czuć formalnie ten ruch wody, przybliżającej się coraz więcej do nas, czuć jak ta masa płynie i posuwa się coraz dalej naprzód, aż naraz załamuje się nagle i spada w dół, w przepaść z całą siłą, całym pędem, aby następnie skłębiwszy się wściekle na miejscu popłynąć dalej w szybszem wzmożonem tempie.

I jakkolwiek widzi się ciągle jedno i to samo, bo tylko przewalającą się wodę i słyszy się ten sam głos spadającego wodospadu, na dole zaś skłębioną skotłowaną wodę, oraz ten sam statek zmierzający raz w górę rzeki to znowu cofający się powoli wstecz, to jednak uwaga nasza tak jest tem wszystkiem zajęta i przykuta do miejsca, że z trudnością przychodzi nam się oddalić od brzegu i oderwać oczy od tego widowiska.

Oglądam się poza siebie. Wśród zieleni brzegu ciągną się wspaniałe bulwary, służące do spaceru i prze-

jażdżek samochodowych. Wspaniały hotel Clifton zwrócony frontem do rzeki ciągnie się wzdłuż bulwaru upiększając bardzo swoim artystycznym wyglądem to miejsce.

Wracam następnie statkiem na prawy brzeg na stronę amerykańską, — a gdym tu wysiadł, bierze mnie ochota zobaczenia jeszcze raz całej okolicy z mostu łączącego Amerykę z Kanadą. Chcąc jednak wejść na most od strony amerykańskiej musi się nabyć bilet za 25 cent. Przy moście tak od strony amerykańskiej jak również kanadyjskiej, jest straż cywilna, która od strony Stanów Zjednoczonych kontroluje tylko, czy wchodzący na most mają bilet. Tymczasem od strony kanadyjskiej straż ta kontroluje bardzo często zwłaszcza od czasu wybuchu wojny paszporty osób przechodzących.

Idę po moście wolnym krokiem i zbliżam się do połowy. Tu na środku stoi stale posterunek wojskowy angielski, który patroluje po kanadyjskiej stronie mostu. Zbliżyłem się do niego na jakie dziesięć kroków obejrzałem całą okolicę, poczem wróciłem spokojnie z powrotem.

Widok z mostu jest również imponujący, jak z innych stron. Muszę nadmienić jeszcze, że w pobliżu wodospadu Niagary znajdują się wielkie reflektory elektryczne, które wieczorem oświetlają spadające wody na żądanie zwiedzających.

Późnym już wieczorem wróciłem z powrotem do Buffalo, a około północy opuściłem to miasto, kierując się wprost do Nowego Yorku.

Drogę z Chicago do Nowego Yorku odbywa się nor-

malnie pociągami osobowymi w przeciągu 48 godzin. Na przestrzeni tej jednak kursują także specjalne pociągi luksusowe idące wprost z Chicago do Nowego Yorku tylko 18 godzin. — Pociąg ten pomiędzy Chicago a N. Yorkiem i z powrotem zaprowadzony został specjalnie dla handlowców, przemysłowców i kupców, którzy w pociągu tym zawierają tranzakcje wynoszące nieraz miliony dolarów. — Można śmiało powiedzieć, że pociąg ten jest prawdziwą giełdą. — Wiele osób jedzie nim po to tylko, aby załatwić interes handlowy. Nie zatrzymuje się on nigdzie po drodze. Można nim jechać tylko z Chicago do N. Yorku lub na odwrot, a cena biletu w roku 1916 wynosiła 100 dolarów w jedną stronę.

Ponieważ zapas wody do wytworzenia pary w maszynie wyczerpuje się już po trzech lub czterech godzinach, przeto aby pociąg nie potrzebował zatrzymywać się celem nabrania wody, urządzone są w pewnych odstępach drogi zbiorniki z wodą pod szynami ciągnące się nieraz 2 do 3 kilometrów. — Wjechawszy na taką przestrzeń palacz spuszcza rurę gumową do rowu biegnącego środkiem pomiędzy szynami i tak podczas jazdy przy pomocy pompy maszyna pije wodę do syta.



ROZDZIAŁ XXI.



New.-York. W pociągu podziemnym. W konsulacie austriackim.

Trzeciego dnia drogi rano byłem już w okolicach New. Yorku. Pociąg zdążył szybko naprzód a około godziny 8-ej mieliśmy przybyć na miejsce. Już o godzinie 6-ej rano wszyscy w pociągu zaczęli się myć, czyścić, jednym słowem przygotowywać do wysiadania. Ruch w wagonie w miarę posuwania się wskazówki zegarowej stawał się coraz więcej gorączkowy. Już wszystkie walizy spakowane, poskładane na jedno miejsce i każdy czeka niecierpliwie na chwilę, kiedy pociąg zajedzie na stację i będzie można wysiąść. Od czasu do czasu słyhać uwagi, że miasto niedaleko. Tymczasem zaś wjeżdżamy pomiędzy setki szyn i dziesiątki torów kolejowych, po których równolegle z nami pociąg za pociągiem zdąży w tym samym kierunku. — Przy wszystkich pociągach są maszyny wyłącznie elektryczne. Gdyby bowiem tutaj używano maszyn opalanych wę-

głem lub ropą, to cała okolica, a tem samem powietrze byłoby przepełnione dymem węglowym. A tak powietrze jest zupełnie czyste.

Spoglądam ciągle przez okno. Po jednej i drugiej stronie wzdłuż toru kolejowego rozmieszczone są na ogromnych tablicach najrozmaitsze reklamy. Pomiedzy niemi widać kobietę wykonującą jakby krok, jakby skok karkołomny w powietrzu a pod nią napis Anna Pawłowa. W końcu o 8-ej rano zajeżdżamy przed peron.

Wysiadam z pociągu idę do restauracji kolejowej na śniadanie, które spożywam za ostatnie prawie pieniądze. Zostawiam sobie jedynie tylko tyle, ile mi będzie potrzeba na opłacenie czyścicieli butów, ubrania i na tramwaj do konsulatu austriackiego. — Świta mi bowiem już obecnie nadzieja, że za parę godzin otrzymam nowy zasiłek pieniężny.

Około 9-ej wychodzę na ulicę największego na świecie miasta. — Nie wiem gdzie się znajduję ani dokąd idę, nie zdając sobie nawet sprawy, w którym kierunku mam się udać, aby dojść do konsulatu austriackiego. — Idę ot tak, na ślepo przed siebie, pewny, że przecież w końcu gdzieś zajdę. Zaczepiam po drodze policjanta, i pytam o konsulat austriacki. Ten robi wielkie oczy, jakby pierwszy raz w życiu usłyszał podobne słowo. Koniec końców kręci głową i odpowiada szczerze i otwarcie: „że nie wie“. Zdażam dalej i wychodzę na jakąś bardzo ruchliwą ulicę pełną niebotycznych wysokich kamienic. Ścisak na chodnikach wielki, a nie mniejszy na ulicy ruch tramwajowy, automobilowy i kołowy. Przystępuję do innego policjanta. Tym razem jednak szczęście więcej mi dopisało.

Objaśnia mnie, abym się udał do tego ot naprzeciw stojącego wielkiego hotelu, gdzie od sekretarza mogę otrzymać wszelkie adresy. Wchodzę tam i po chwili portjer hotelowy objaśnia mnie, abym przeszedł ulicą na poprzek, wszedł do tego ot naprzeciwko stojącego na rogu budynku, w którego piwnicy jest stacja kolei podziemnej. Koleją tą dojadę do konsulatu austriackiego. — Kieruję się w myśl udzielonej mi wskazówki, wchodzę do kilkupiętrowej kamienicy i po schodach dostaję się do podziemia. Wszedłszy na peron kolejowy, kupuję za dziesięć centów bilet jazdy, przyczem kasjer objaśnia mnie, którym numerem pociągu mam jechać.

Na tym podziemnym dworcu jest taki kolosalny ruch pociągów, że obcemu niełatwo się zorientować. Jedne przychodzą, drugie odchodzą. Expresy z takim pędem wpadają na stację, tak sekundowo tylko się zatrzymują, tak szalenie prędko to wszystko się odbywa, taki straszny huk panuje w tem podziemnem sklepieniu, że trudno mi się z początku połapać, którym pociągiem mam jechać, a tymczasem expres za expresem ucieka mi z przed nosa i prędej jeszcze rusza z miejsca aniżeli zajechał przed peron. W końcu złapałem swój numer i wsiadłem.

Pociąg nabity jadącymi tak, że podróżni stoją przy sobie jak śledzie w beczce. Huk i stuk tak straszny, że słowa własnego posłyszeć nie można. Pociąg pędzi z szaloną szybkością przez tunel podziemny jakby przez jaką rurę. Jest to bowiem expres, który robi około 100 kilometrów na godzinę, a zatrzymuje się tylko co dziesięć lub piętnaście minut.

Mówię konduktorowi gdzie chcę jechać i proszę by pokazał mi stację na której mam wysiąść. Ten kiwa głową na znak „że dobrze“, mnie jednak zdaje się, że nie wiele go to obchodzi, co do niego mówiłem.

Pociąg tymczasem unosi mnie podziemiem coraz dalej; jedni podróżni wysiadają, nowi wsiadają a na mnie nikt nie zwraca uwagi, gdyż z powodu wielkiego stuku trudno jest nawet rozmawiać. Doprowadza mnie to wszystko do rozpacz. Jadę rurą, huk jak w piekle, nie nie widać, co się do kogo odezwę, to odpowie krótko: „all right“ i milczy dalej. Gdzie i dokąd zmierzam nie mam pojęcia.

Ostatecznie któryś z podróżnych daje mi ręką znak, że mam wysiąść. Wyskakuję co prędzej z wagonu, formalnie jak z procy, zadowolony, że raz przecie wydostałem się z tego piekła.

Wychodzę po schodach na ulicę i na razie kontent jestem, że przynajmniej znowu znajduję się w świetle dziennem. Nowe pytanie o potrzebną mi ulicę, nowe oglądania kamienic i poszukiwania numeru, w końcu jednak znajduję odnośny budynek, jadę windą na górę i po chwili czytam napis: „Oesterreichisch-Ungarisches Consulat“.

Kiedy wszedłem do środka i przedstawiłem się, urzędnik który mnie tu przyjął rozpoczął rozmowę po niemiecku. Był to konsul austriacki w Nowym Yorku. Rozmawiamy po niemiecku, gdyż zapomniałem zupełnie o tem, że jeszcze w Shang-haju austriacki konsul tamtejszy zwrócił mi uwagę na to, że w Nowym Yorku jest konsulem austriackim polak Rozwadowski. Do-

piero w ciągu rozmowy wyszło na jaw, że jestem z Krakowa, a więc polakiem.

— To czemu pan nie mówi do mnie po polsku — odzywa się uradowany konsul.

— W tem całym zamieszaniu zapomniałem o tem, co mi powiedział Dr. Bernauer konsul w Shang-haju, a po drugie nie przypuszczałem nawet, że pan właśnie jest konsulem Rozwadowskim.

Po załatwieniu formalności urzędowych wypłacono mi większą zaliczkę, poczem wyszliśmy z konsulem Rozwadowskim, do miasta. Uprzejmy ten rodak odprowadził mnie do mieszkania, gdzie mogłem spokojnie i bezpiecznie zająć kwatery. Rozgaszczam się więc a popołudniu wychodzę na spacer na ruchliwą ulicę Park Ave. gdzie czuję się tak, jakbym tu już mieszkał oddawna.

Tak więc znalazłem się na wschodnim wybrzeżu Ameryki nad brzegiem Atlantyku, do którego tak wytrwale zdążałem. Przejazd przez Amerykę dał mi tyle niespodzianek, przyjemności i zadowolenia, że teraz kiedy ostatecznie znalazłem się w New-Yorku żałowałem, że droga z San Francisco do New-Yorku przeszła tak szybko i już się skończyła. — Podróż tę bowiem odbyłem bez najmniejszego kłopotu, troski i przeszkody, mając do dyspozycji wszystko czego tylko dusza zapagnęła. Teraz wszystko to się urwało, przyjemna wycieczka się skończyła, a w niedługim czasie zacznie się na nowo ciężka pełna niebezpieczeństw ucieczka połączona z nowymi przygotowaniem i trudnościami tem nieprzyjemniejsza i tem trudniejsza, że

miałem jechać przez Anglję, a więc leżeć poprostu lwu w samą paszczę.

Mimowoli obraz ten stanął mi przed oczyma, zasnuwając mnie niepomiernie; lecz trwało to tylko chwilę. Będzie czas martwić się, niepokoić i denerwować później, na razie zaś trzeba być zadowolonym, że tak daleko w ucieczce swojej posunąłem się naprzód.



ROZDZIAŁ XXII.

Ulica Broadway i jej wspaniałe reklamy. Hipodrom. Anna Pawłowa. Wintergarden. U Maksyma. Ulica milionerów. Wielkie amerykańskie magazyny. Najwyższy na świecie „Woolworth-Building“. Werbunek rekruta i krzewiciel nowej wiary. Przygotowania do wyborów nowego prezydenta. Brons-Park.

Wieczorem wyszedłem do miasta.

Idąc wolno ulicami zaszedłem na ulicę „Broadway“, która wieczorem tonie w świetle lamp elektrycznych. Wszystkie sklepy, wszystkie wystawy, nieraz nawet kilkanaście pięter frontu tak są oświetlone lampkami elektrycznymi, że patrzącemu mieni się poprostu w oczach, a na ulicy jest tak jasno, że szpilkę na chodniku znaleźć można.

Broadway jest jedną z najszerszych i największych ulic w Nowym Yorku. Wieczorem odbywają się tu tłumne przechadzki. I rzeczywiście między godziną 7-mą a 9-tą wieczorem, jak również między 11-tą a 1-szą

w nocy zwłaszcza po przedstawieniach ruch pieszcy na tej ulicy jest tak kolosalny, że formalnie trudno się jest pomiędzy ludźmi przecisnąć. — Co zaś wpada tutaj przedewszystkiem w oczy, to tysiące par młodych ludzi, panien i młodzieńców przechadzających się w tym czasie po ulicach.

Mimowoli nasuwa się pytanie, skąd w Nowym Yorku bierze się tyle tysięcy ładnych, szykownych, młodziutkich i elegancko ubranych pań. Natomiast starszych kobiet w tym czasie na ulicy nie widać.

Uwagę moją zajęły przedewszystkiem świetne reklamy rozmieszczone bądź na fasadach bądź to na wysokich ścianach budynków, a w niektórych miejscach także na bokach toru kolei powietrznej. I tak koloseum „Winter Garden“ reklamuje swój teatr w ten sposób, że wysoko na kamienicy znajduje się umieszczona reklama świetlna zbudowana z lampek elektrycznych, przedstawiająca strzelca wraz z psem, który czeka na zwierzynę; w tem nadlatuje w powietrzu kaczka, strzelec podnosi strzelbę, składa się, daje strzał, ze strzelby wypada nabój, trafia w kaczkę, która spada na ziemię. Wszystko to przedstawione zapomocą lampek elektrycznych, które odpowiednio się zaświecają lub gasną, wskutek tego wychodzi obraz wyżej opisany.

Kompanja „Clock et Co“ reklamuje swą firmę w ten sposób: na dziesiątym piętrze bocznej ściany budynku tej kompanji przedstawioną jest również za pomocą lampek elektrycznych następująca scena: Kot bawi się szpulką nici, obracając ją na ziemi przednimi łapkami. Naraz szpulka wyrywa się i ucieka do góry.

Kot biegnie za nią po schodach dopada ją jak myszkę, równocześnie jednak przewraca się na grzbiet i zadowolony obraca szpulkę nici w powietrzu czterema łapkami. Poczem obraz gaśnie i za chwilę powtarza się znowu.

Jeden z kinoteatrów zwraca na siebie uwagę olbrzymią fontanną wyrzucającą w górę strugi różnokolorowych świateł elektrycznych po facjacie budynku. Mianowicie na frontowej stronie kamienicy umieszczone są linje lampek elektrycznych idące w górę. Lampki są rozmaitych kolorów. Zapomocą odpowiedniego prądu elektrycznego, który przepływa przez poszczególne linje lamp i oświetla je, powstaje złudzenie, że to tryska różnokolorowa fontanna w górę.

Inna reklama: Ulica Broadway przecięta jest napowietrzną koleją elektryczną. Otóż na bocznej ścianie tej kolei umieszczony jest aparat, który wprawia w ruch duże litery mające prawie półtora metra wysokości, oświetlone również lampkami elektrycznymi. Litery te znajdują się na ruchomym pasie i tworzą słowa, ze słów powstaje zdanie. Kiedy pas puści się w ruch, wtenczas całe słowa przesuwają się wolno przed oczyma widza.

Wchodzę do hipodromu.

Hipodrom jest to koloseum znajdujące się w czteropiętrowej kolosalnej kamienicy. Wnętrze zbudowane jest amfiteatralnie. — Od dołu do góry idą rzędami fotele coraz wyżej, aż na czwarte piętro. Przed każdym fotelem, to znaczy za oparciem znajdującego się przed fotelem krzesła umieszczony jest stoliczek, na którym kładzie się przekąski, owoce, wodę sodową

i td. — Dwanaście tysięcy ludzi może się zmieścić w tym olbrzymim teatrze, a kiedy obejrzymy się dookoła siebie nie widać nic innego, jak tylko jedno morze głów. Wszelkie zaś, nawet najcudowniejsze toalety pań lub zrobione podług najnowszej mody ubrania pań, znikają i rozplywają się bez śladu w tym tłumie.

Na czwartym piętrze znajdują się szerokie korytaryze, a na nich pracują olbrzymie wentylatory ochładzające i oczyszczające powietrze.

Z tyłu na czwartym piętrze jak również po obu jego bokach znajdują się po cztery olbrzymie reflektory, które podczas przedstawienia puszczaają na scenę kolorowe światła. Na każdej stronie obsługuje reflektory po dwóch maszynistów. — Wstęp na przedstawienie kosztuje zależnie od miejsca; najdroższe 2 dolary, miejsca zaś na trzecim i czwartym piętrze po 50 cent.

Im wyżej się siedzi, tem lepiej jest widać i tem lepsze wrażenie odnosi się z przedstawienia. — Scena jest tutaj tak wielka, że szesnaście koni jeździ po niej zupełnie swobodnie, nie licząc już tego, że do 1000 ludzi występuje na scenie.

Punktualnie o godzinie 7-ej rozpoczyna się przedstawienie. Światła wszystkie gasną, robi się cicho, a na tle trzeciej kurtyny koloru ciemnego występują primadonna śpiewaczka i jankes oświetleni reflektorami.

Cudnie ubrana jest primadonna, lecz cudniejszy jeszcze jest jej głos, rozlegający się po ogromnej sali. Śpiewa ona duet z wysokim jankesem mającym ubranie koloru flagi amerykańskiej. — A więc spodnie w białe i czerwone pasy, niebieską kamizelkę z białymi

gwiazdami, frak czerwony i biały cylinder opasany wstęgą czerwono-niebieską z białymi gwiazdami. — Twarz ma całą wygoloną, a tylko długa szpiczasta broda sterczy mu fantazyjnie.

W duetach swoich wychwalają bogactwo, dobrobyt, siłę i potęgę Ameryki, a kiedy już skończyli ostatnią zwrotkę duetu, nagle rozchyła się za nimi i podnosi do góry druga kurtyna, odsłaniając jasno oświetloną salę.

Na tle tylnej ściany sceny wymalowany jest czteropiętrowy budynek wspaniały mający przedstawiać koszary wojskowe, a przed nim znajduje się plac z którego na scenę prowadzi kilka schodów. Na placu przed gmachem stoi armia amerykańska, prezentująca broń.

Za chwilę kurtyna spada, para artystów śpiewa jeszcze ostatnią zwrotkę kupletu, a równocześnie kurtyna za nimi na nowo się podnosi. Tym razem na scenie widać kolosalny okręt zwrócony przodem ku widzom wraz z masztami, rejami, żaglami, kominami, drabinami, armatami i td. Na okręcie tym siedzi co najmniej tysiąc biało ubranych marynarzy i powtarzając chórem ostatnią zwrotkę kupletu, wymachują w powietrzu czapkami. Entuzjazm na sali rośnie i potęguje się coraz bardziej.

Kurtyna zaś tymczasem zapada, aby po dwóch minutach podnieść się nanowo.

Tym razem tylna ściana sceny przedstawia budynek Hipodromu. Podłoga sceny jest jakby ulicą Broadway. Równocześnie na scenę wjeżdża oficer marynarki na ślicznym rasowym kasztanie, a za nim maszeruje czwórkami oddział marynarzy ubranych w białe czapki

z daszkami, długie gumowe płaszcze i białe półbuciki.— Maszerują przez scenę śpiewając chórem i giną następnie po drugiej stronie kulis. Oddział ten, który z pewnością liczy z jakie 1000 ludzi przesuwają się przed oczyma widzów bez końca.

Równocześnie na przodzie sceny odbywa się promenada ślicznie ubranych pań i według najnowszej mody odzianych panów. — Te przepięknie ubrane panie reklamują i prezentują na scenie kostjumy, które dnia dzisiejszego wyszły z fabryki. Sprytni amerykanie umieją połączyć piękne z pożytecznym.

Za chwilę kurtyna zapada, na sali robi się zupełnie ciemno i zaczyna się trzeci numer programu. Pomiędzy fałdami czarnej kurtyny pokazuje się nagle trupia czaszka, która przez chwilę rozgląda się na lewo i prawo. Nagle rozchylają się fałdy kurtyny i wyskakuje ludzki kościotrup. W posuwistych elastycznych podskokach porusza się on na scenie wykonując najrozmaitsze ruchy. Chodzi tak elastycznie i lekko po scenie, jakby był na sprężynach lub gumach. Produkcje gimnastyczne tego kościotrupa są wprost fenomenalne. Potrafi on wypiąć piersi zupełnie naprzód równocześnie zaś szyję przegiąć w tył razem z głową tak, że głowa zdaje się stać na szyi pod kątem prostym. W międzyczasie kurtyna podnosi się zupełnie do góry, tak, że kościotrup tańczy i gimnastykuje się na połowie sceny; następnie bierze on dwa stolki, ustawia je siedzeniami blisko siebie, staje na krawędziach siedzeń środkami stóp, rozsuwa nogami stolki od siebie tak daleko, że nogi jego przyjmują jedną poziomą linię, on zaś sam

wisi i huśta się w powietrzu zawieszony tylko na krawędziach stołków na środkach swych stóp.

Po prawej stronie sceny stoi biały fortepjan. Kościotrup skończywszy swoje produkcje gimnastyczne odstawił na bok stołki, poczem wbiega na scenę biało ubrany karzełek chińczyk, z głośnym, przejmującym, djabelskim chichotem. Kościotrup nakazuje karzelkowi przy pomocy znaków grać na fortepjanie. Ten wzbrania się jednak i ze strachem ucieka od fortepjanu. Kościotrup uderzając nogą o podłogę i dając rozkazyjący znak ręką zmusza karzelka do tego, że ten choć ze strachem zaczyna jednak grać na fortepjanie. Lecz skoro tylko palce jego dotknęły klawiszów, nagle wieko fortepjanu podniosło się do góry. Ze strachem i krzykiem karzełek ucieka na bok, lecz zaklęty powtórnie przez kościotrupa zbliża się znowu do fortepjanu i zaczyna grać. W tej samej chwili cała listwa klawiszy przyczepia mu się do palców, a przestraszony karzełek uciekając od fortepjanu unosi ze sobą przyczepiony do rąk cały pas klawiszów.

Ledwie zdołał się uwolnić od tego przykrego ciężaru, gdy już kościotrup poraz trzeci zaklina go i zmusza do grania, ale kiedy tylko karzełek zbliżył się do fortepjanu, tenże zaczyna powoli się ruszać i chodzić po sali. Równocześnie robi się jasno i na scenę wbiega w warjackich podskokach dwudziestu gimnastyków, którzy wykonują najrozmaitsze karkołomne sztuki.

Numer ten jest skończony. Kurtyna spada, a za dwie minuty podnosi się znowu.

Tym razem widać na scenie rząd parawaników jaapońskich poustawianych pod ścianą. Przed każdym pa-

rawanikiem siedzi japończyk z cymbałkami, na środku sceny siedzący na poduszce japończyk wygrywa na flecie smutną melodię, zaś dwie małe gejsze lekko balansując pływają na przodzie sceny. Podczas tego dwóch japończyków wnosi na scenę złotą lektykę zupełnie pustą i stawia ją na środku widowni. Japończyk grający na fujarce powstaje, zbliża się do lektyki i zapuszcza firanki, a kiedy za chwilę podniósł je znowu do góry, z lektyki wychodzi cudna japoneczka. Ująwszy za ręce dwie inne japonki, podchodzi z nimi naprzód sceny. W tej samej chwili słychać szelest targanego papieru. To pękają papierowe ściany parawaników, targane ręką poczem przez ramę parawanu wychodzą na scenę skryte dotąd japonki i ustawiają się półkołem. Muzyka gra nieprzerwanie i zaczyna się taniec trzech japonek, polegający na ruchach rąk i kołysaniu się, jakby balansowaniu to w prawo to w lewo. Taniec ten jest taki prosty, taki naturalny, a przytem taki subtelny i tyle uroku mający w sobie, że wszyscy z zachwytem spoglądają na scenę; — ruchy tańczących japonek przypominają zupełnie ruchy małego dziecka i może dlatego są tak sympatyczne. Kurtyna zapadła, lecz nie upłynęło nawet minuty, a już znowu podniosła się do góry.

Na scenie ukazuje się dwóch błaznów, jednakowo zgrabnie ubranych, grających na skrzypcach. Gimnastykują się oni, wyprawiają najrozmaitsze karkołomne koziółki w powietrzu, a równocześnie nie przestają grać ani na chwilę. Odłożywszy następnie skrzypce, wzięli obaj do ust odpowiednio sporządzone skórki z błonkami i ćwierkając, naśladowali ptaki. Samiec

ćwierkając i gestykulując oświadcza się samiczce, która odwierkując daje mu do zrozumienia, że go nie chce.— Samiec jednak wytrwale powtarza swoje oświadczyzny i umizgi, ćwierkając zawzięcie zupełnie jak wróbel. Samica jednak nie przestaje go ignorować odwierkując tylko od niechcenia od czasu do czasu.

Rozgniewany samiec klęka wtenczas na kolana zwrócony twarzą do gości i składając ręce zaczyna się ćwierkaniem oświadczać jakiejś pani w najbliższej łoży. Widząc to zazdrosna samica, przybiega coprędzej z szalonym wrzaskiem jakby wyrzutami i gwałtem odciąga go na środek sceny. Oświadczyn jednak jego jeszcze ciągle przyjąć nie chce. Chcąc przeprosić samiczkę, samiec ofiarowuje jej brylantowy pierścień, który ma na palcu. Zadaśana jednak samiczka nie chce nawet na niego patrzeć. — Wiedziona jednak wrodzoną ciekawością odwraca główkę i widzi jak drogi podarunek odrzuciła przez swą lekkomyślność. Wtenczas dopiero zaczyna lamentować naprawdę, drąc się w niebogłoso. Sameczyk jednak chytrze się tylko śmieje, przysuwa się powoli coraz bliżej do niej, ćwierkając bezustannie coraz czulej, coraz ciszej, coraz natrętniej, aż w końcu daje jej pierścień. Tak udobruchana samiczka przyjmuje ostatecznie jego oświadczyzny, poczem oboje ćwierkając zadowoleni wybiegają ze sceny.

Następny numer programu jest również interesujący i dosyć karkołomny. W powietrzu wjeżdża na scenę i posuwa się coraz dalej fortepjan, przy którym siedzi pianista i gra na nim. Na fortepjanie zaś stoi baletnica i tańczy na szpicu jednej nóżki. Fortepjan zaczyna się obracać w powietrzu i kręcić coraz szybciej

pianista gra równocześnie coraz prędzej. Chwilami widz truchleje, że wskutek szybkiego kręcenia się fortepjanu w powietrzu wszystko rozleci się daleko od siebie. Tymczasem i fortepjan i siedzący przy nim pianista i baletnica wyjeżdżają najspokojniej w powietrzu poza scenę.

Numer ostatni pierwszej części przedstawia się następująco: na scenie w półkole siedzą murzyni wyfraczeni w spodniach w białe i czarne pasy, za nimi na stopniach wznoszących się coraz wyżej stoją również murzyni tak samo ubrani. Z tyłu za każdym z nich znajduje się parawanik.

Murzyni siedzący na dole na scenie stają dwójkami, czwórkami lub szóstkami wychodzą na środek i śpiewają duety, kwartety, sekstety, którym od czasu do czasu wtóruje chór. Naraz kurtyna opada, a kiedy za kilka sekund podniosła się znowu do góry, na stopniach nie stoją już murzyni, lecz mężczyźni o białych twarzach, — (zdjęli oni widać czarne nałożone na twarz udatne maski) a obok każdego z nich jakby z pod ziemi wyrosła blondynka amerykanka w krótkich obeisłych białych spodenkach i białym staniczku. Obecnie tak siedzący na dole murzyni jak i stojący na stopniach za nimi chór śpiewają wszyscy razem poczem siedzący wstają ze swoich miejsc i maszerując dookoła sceny gęsiego śpiewają i tańczą kankana.

Cały ten korowód prowadzi tęgi barczysty murzyn, przyśpiewując buńczucznie.

Kiedy następnie po 10-cio minutowej pauzie kurtyna podniosła się znowu do góry, scena przedstawiała ol-

brzymi stary las. Małe karzełki leśne kręcą się po lesie, przebiegając szybko od drzewa do drzewa.

W tem na scenę wyjeżdża orszak konny, złożony z rycerzy i dam w strojach z XVI wieku. Szesnastu jeźdźców przejeżdża spokojnie czwórkami przez scenę. Za orszakiem kilka kroków w tyle jedzie wraz ze swoim służącym jakiś rycerz. Nagle z za drzew wybiegają dziadki leśne, zastępują mu drogę i nie pozwalają jechać dalej. Koń zaczyna się płoszyć, a rycerz zeskakuje co prędzej na ziemię. — Na scenie zjawia się bogini leśna, która bierze rycerza w opiekę i odpędza karłów leśnych. Równocześnie gestykulując daje mu do zrozumienia aby pozostał na miejscu i nie odjeżdżał, a ona pokaże mu cuda leśne. — I rzeczywiście za chwilę zaczynają wchodzić na scenę cudne biało ubrane rusałki i tańcząc otaczają rycerza. Coraz więcej przybywa różnych tancerek najrozmaiciej ubieranych, tak, że już połowa sceny jest przez nie zajęta. Wtenczas bogini prowadzi rycerza za rękę w głąb widowni ku tylnej ścianie, gdzie ukazuje się piękna grotta, a w niej śpiąca baletnica. Rycerz podchodzi ku niej i budzi ją ze snu. Baletnica przebudzona przeciera oczy, a zobaczywszy rycerza podaje mu rękę i schodzi z nim razem na scenę.

Jest to Anna Pawłowa, rosjanka, pierwsza baletnica na świecie. Ubrana w tiule, zaczyna tańczyć. Cała jej postawa, wszystkie ruchy są pełne powabu i artystycznego piękna. Jej taniec porównać można z bujaniem motyla skaczącego z kwiatka na kwiatek.

Po Annie Pawłowej wpada na scenę cała falanga najrozmaiciej ubranych tancerek w efektownych stro-

jach, pomiędzy którymi widać także stroje narodowe europejskie. Zaczyna się teraz prawdziwy balet. Przed oczyma widzów przesuwają się pary za parami, pływając wesoło i rozkosznie, tworząc najrozmaitsze figury. Następują tańce narodowe, pomiędzy którymi zwraca uwagę odtaneczony z werwą i życiem polski mazur, nagrodzony hucznymi oklaskami.

Na zakończenie jest jeszcze ogólny balet, podczas którego kurtyna spada.

Po chwili rozpoczyna się trzecia i ostatnia część programu. Podłoga sceny zamieniona jest obecnie na ślizgawkę, kształtu elipsy, po której przebiegają setki par, tańcząc, ślizgając się i skacząc po lodzie. W tyle sceny za ślizgawką znajdują się stoliki z japońskimi parasolami, przy których siedzą goście popijając różne napoje. W tem na lód wyjeżdża szampionistka niemka, najlepsza łyżwiarka. Zdaje się, że lód jest jej żywiołem, tak lekko i zręcznie buja po nim, tańcząc i łyżwując. Z początku ślizga się sama, później w towarzystwie szampiona, z którym razem wykonuje na lodzie najrozmaitsze karkołomne ósemki i inne produkcje.

Po skończonem przedstawieniu wychodzę na Broadway. Na rogu ulicy wstępuję na piwo do baru i ze zdziwieniem widzę, że równocześnie z piwem podają mi tacę ze świeżymi gorącymi pasztecikami z mózdzkiem. Jest bowiem taki zwyczaj, że o 11-ej godzinie, kiedy się przedstawienia kończą, w niektórych restauracjach podają jako dodatek do piwa gorące paszteciki. Jeden gość może wziąć tylko jeden pasztecik i za to nic się nie płaci.

Wychodzę na ulicę. Ruch i ścisk jest tak wielki,

że przepchać się nie można. Publiczność która wyszła z kin, teatrów, przechadza się teraz po Broadway. Dopiero około 1-szej w nocy gasną światła, a ulica ciemnieje i pustoszeje.

Wintergarden jest również rodzajem koloseum i leży przy tej samej ulicy. Rozmiarem swoim jest jednak mniejszy od Hipodromu. To też przedstawienia tam jak również i scena na której się one odbywają nie są tak świetne jak w Hipodromie. Trzeba jednak przyznać, że i tu poszczególne numera są oryginalne i zajmujące.

Przedstawienia tutejsze mają więcej cechy kabaletu, a program wypełniają śpiewy, tańce, małe komedyjki. Wiele jest jednak w samym przedstawieniu tła politycznego i uwydatnia się ono podczas przedstawienia dosyć często.

W dniu, w którym byłem na przedstawieniu, program był następujący: taniec wykonany przez szereg baletnic, z których każda mogłaby konkurować o nagrodę piękności. Występują one kilka razy, zmieniając ciągle kostjumy. Następny numer wyprowadza na scenę czterech wyfraczonych pijanych studentów, którzy po nocnej libacji wracają nad ranem do domu. Po drodze zabrali gdzieś z sobą latarnie razem ze słupami, z którymi wchodzi na scenę. Chwilami zdaje się, że to wszystko runie na ziemię i porozbija się na strzępy. Tymczasem akademicy śpiewając kuplety, jednym zręcznym przegięciem się unikają katastrofy. — Po chwili wszyscy wychodzą, zostaje tylko jeden z nich, widać prezes klubu, który zataczając się, zaczyna tańczyć na scenie.

Widziałem już różne karkołomne sztuki, lecz podobnej techniki, wyszkolenia i zręczności jak u tego

człowieka nie zdarzyło mi się nigdy spotkać. Taniec polegał właściwie na dobrej chęci tańczenia, gdyż naturalnie jako pijany nie mógłby tego uczynić. Chcąc więc w takcie muzyki się utrzymać, wykonywał on tak dziwaczne, karkołomne ruchy nogami, że z jednej strony mogło to śmieszyć, a z drugiej musiało budzić strach i obawę, że człowiek ten połamie sobie nogi. Gimnastyk ten po odtańczeniu swojej roli, zręcznie i elegancko się uklonił i zeszedł ze sceny.

Następny numer przedstawiał proceder handlarza automobilów. W składzie znajdował się jeden tylko stary połamany samochód i porozrzucane po scenie kawałki części automobilowych. Wchodzi na scenę gość, siwobrody starzec w czarnych okularach, który chce nabyć używany samochód. Kupiec poznawszy, że gość ten niedowidzi, pokazuje mu zepsuty automobil stojący na scenie, żądając za niego kilkaset dolarów. Po targu gość zgadza się na cenę zapytując się jeszcze o szybkość automobilu. Kupiec wymienia ją i dodaje, że auto zupełnie nie trzęsie, poczem proponuje gościowi przejażdżkę po mieście. — Kiedy obaj usiedli na przednich siedzeniach, kupiec zapomocą naciśnięcia guzika, wprawia w ruch wentylator umieszczony na przodzie automobilu na wprost twarzy gościa, wskutek czego powstaje szalony pęd powietrza, które bije w twarz gościa, rozwiewa mu brodę na wszystkie strony, i daje mu złudzenie jazdy automobilem. — Naturalnie na sali wybucha salwa śmiechu i nie dające się uciszyć gromkie oklaski.

Następuje potem duet dwóch murzynów, z których jeden elegancko ubrany przedstawia murzyna z ko-

lonji angielskich, drugi zaś zupełnie obdarty, w podartych butach, udający matołka ma przedstawiać murzyna z kolonji niemieckich. Prowadzą ze sobą dysputę polityczną. Pierwszy wyśmiewa drugiego, dając mu do poznania, że dlatego jest taki biedny i upośledzony, ponieważ nimi rządzi Niemiec.

Jeden z numerów tworzy trójka hultajska. Na scenę wchodzi trzech panów, jeden wysoki, chudy jak tyka, drugi niski, gruby jak beczka, trzeci normalny mężczyzna. Ze względu na zbliżające się wybory nowego prezydenta (był to wrzesień 1916) reklamują kandydaturę Wilsona na prezesa Stanów Zjednoczonych.

Ostatni numer przedstawiał kolosalny park na scenie z fontannami, wysokimi drzewami, altanami. Na scenę wchodzi cesarz rzymski ze swoim dworem; klasyczne tańce rzymskie budzą wiele zainteresowania subtelnem precezyjnym wykonaniem.

Trzeciem z rzędu koloseum w Nowym Yorku jest Maksym. Wstęp tam w ciągu tygodnia jest bezpłatny, a tylko za potrawy i napoje płaci się bardzo sówite ceny. W sobotę i w niedzielę ze względu na natłok, wstęp jest za biletami. Jest to także kabaret z całym szeregiem wcale udatnych numerów. Na uwagę zasługiwał by tu przede wszystkim taniec hawajski. — Dwunastu przystojnych o złotej cerze hawajczyków gra smętnie na mandolinach, zaś dwie złote hawajki mające za cały strój na biodrach słomiane pelerynki, tańczą i pływają wdzięcznie po scenie. — Dookoła naturalnie są stoliki przy których siedzą goście.

Miasto Nowy York rozciągające się na przestrzeni kilkunastu kilometrów przecięte jest również ulicami

Avenue i Streets. Liczba streets wynosi przeszło trzysta, to też ze streets numer 1 do 350 jedzie się koleją podziemną lub powietrzną blisko półtorej godziny. Po ulicach avenue idzie górą ponad ulicami kolej powietrzna, dołem po ulicy tramwaj, zaś pod ziemią expres.

Z ulic zasługują na uwagę, jak już wspomniałem ruchliwa Broadway, następnie zaś 5-ta Avenue, zwana popularnie ulicą milionerów. — Jest ona szeroka na jakie 25 metrów, cała asfaltowana; po jednej i drugiej jej stronie ciągną się wspaniałe wystawy sklepowe, a ruch po niej dozwolony jest tylko pieszym i samochodom spacerowym. Liczba automobili przejeżdżających tą ulicą przechodzi tysiące. Jadą one wprawdzie wolno, ale bez przerwy jeden za drugim po jednej i drugiej stronie chodnika.

Przy ulicy tej znajdują się wille samych milionerów. Każda z nich wysokości trzech do czterech pięter zbudowana jest w odmiennym stylu, a każda oryginalna i pełna gustu.

Szalony ruch jaki panuje na tej ulicy ustaje zwolna po 9-ej wieczorem, a około 10-ej cała ulica zasypia snem cichym, aby nazajutrz rano zatętnić znowu życiem i wrzawą.

Równolegle z ulicą tą biegnie ulica Parck avenue, przy której znajduje się w środku miasta mały zwierzyniec.

Sześć ogromnych dworców kolejowych tak zwanych centralnych, nie licząc wiele innych mniejszych, skupia w sobie podróżnych odjeżdżających z Nowego Yorku. Są to poprostu kolosy, przedstawiające się zupełnie jak małe miasteczko. Człowiek wszedłszy tam,

ginie zupełnie i przepada jak mrówka w wielkim mrowisku.

Chcąc ułatwić obcym zwiedzanie miasta, kilka kompanji utrzymuje stały ruch automobilowy, posługując się w tym celu długimi wozami osobowymi lub też autobusami piętrowymi. — Zwiedzenie miasta przy pomocy piętrowych autobusów jest bardzo przyjemne, raz dlatego, że siedząc na dachu jest się na świeżem powietrzu, a powtóre, że tak ulice, jak również ruch na nich widzi się o wiele lepiej. Wozy automobilowe dzielą się na dwie partje, z których jedna objeżdża południową część miasta, druga północną. Konduktorzy w czasie przejażdżki zwracają uwagę gości na ważniejsze objekty, udzielając przytem wyjaśnień. — Zwiedzanie takiej jednej części miasta trwa dwie godziny.

Przy wszystkich główniejszych ulicach znajdują się restauracje, w których, jak już wspomniałem odbywają się wieczorem bezpłatne tańce. — O wiele jednak bardziej rozpowszechnione są w Ameryce bary. Są to właściwie elegancko urządzone szynki, gdzie goście przychodzą, aby bez straty czasu pokrzepić się jedzeniem, poczem zaraz wychodzą. Prócz tego prawie na każdym rogu ulicy znajdują się mniejsze bary zwane tutaj „saloon“. Tu sprzedają piwo lub whiskey. W takich barach narożnych jest zwykle z boku osobny bufet, na którym znajdują się różne przekąski, jak kawałki śledzia, suszone sardynki, ser zwykły lub szwajcarski, sałatka z jarzyn, kawałeczki chleba lub bułki. Gość który pije piwo za pięć centów, ma prawo zjeść zakąskę z bufetu za darmo. W barach takich smażą się często na kuchni obok bufetu całe uda wołowe,

z których odkrawa się kawałkami przepyszne rostbefy. Byłem w jednym z takich barów w Nowym Yorku, gdzie szklanka piwa kosztowała wprawdzie 10 centów, lecz zato bufet, z którego bezpłatnie można było brać przekąskę, był zupełnie urządzony jak u Hawełki w Krakowie.

Przechodząc ulicami widzi się bardzo często w oknach wystawowych w wielu sklepach różny drób: jak kury, kaczki, kapłony, indyki piekące się na rożnach. W poprzek okna idą pręty żelazne, na których ponabijane są wspomniane ptaki, na dole zaś pod nimi płonie ogień, a za pomocą odpowiedniej maszynerji, poszczególne rożny kręcą się ponad ogniem dookoła i w ten sposób smaży się drób, który w każdej chwili świeżo upieczony można spożywać. — Nieraz mi się zdarzyło, że przechodząc ulicą i widząc w oknie smażące się świeże kaczki, indyki lub kapłony, z których aż kapało tłuszczem, nie mogłem powstrzymać budzącego się apetytu, lecz wstępowałem do lokalu zależnie od pory dnia na drugie śniadanie, obiad lub kolację. — Cena zaś tych smakołyków była wcale nie droga, — ćwierć kaczki lub gęsi kosztowało 30 do 40 centów.

Jest również wiele restauracji, w których gości obsługują automaty; największa zaś z nich jest przy Broadway. Wpانياły budynek, ma na parterze obszerną salę, w której ściany zamienione są na małe schowki. Każdy schowek zamykają szklane drzwiczki, nad którymi jest napis, co w środku się znajduje. Ceny potraw od 5 do 20 centów i wszystko można dostać począwszy od bułki z szynką a skończywszy na go-

jących zapach, pieczeniach, leguminach. — Nawet biała kawa, kakao płynie obficie za wrzuceniem 5 cent. Ruch zaś tutaj jest tak szalony, że niełatwo jest do schowków się docisnąć.

Sklepy w Ameryce zadziwiają swoją oryginalnością, ogromem i porządkiem, jaki w nich panuje. — Jedna duża kilkupiętrowa kamienica, której cztery fronty wychodzą na cztery różne ulice, jest to jeden wielki sklep, podzielony bądź to piętrami, bądź przegrodami na poszczególne działy, w których wszystkiego można dostać począwszy od skarpetek, a skończywszy na cylindrze. — Rzeczy w sklepach mają stale podane ceny, nadto numer wielkości. I tak chcąc kupić buciki lub bieliznę tego lub innego fasonu, wchodzę do sklepu i zapowiadam kupcowi tylko numer, poczem otrzymuję towar. Targowanie się długie, przeszukiwanie w towarach, niezdecydowanie się, parokrotne wypytywanie się kupca o jedno i to samo — jest w Ameryce nieznanne. — Tu nie ma na to czasu i dlatego obowiązuje jedna zasada: załatw sprawę i żegnaj!

Są jednak sklepy w których nie ma na wystawie cen uwidocznionych. W takim sklepie kupiec zapytuje się zaraz wchodzącego ile chce wydać na zakupno i odnośnie do wypowiedzianej ceny pokazuje mu towar np. ubrania, kufry, walizy i tp.

Są jeszcze zaprowadzone w Ameryce magazyny, gdzie można kupić różne rzeczy począwszy od szpilki, grzebienia lub koronki, a skończywszy na siekierze lub wielkiej pile ciesielskiej. — W tych magazynach każdy przedmiot kosztuje tylko 5 lub 10 centów. I tak np. 10 szpilek do włosów kosztuje 5 centów, grzebień do cze-

sania, chusteczka do nosa, para sznurówek, korkociąg, młotek, piła ciesielska wszystko to w jednej cenie.

Pewnego dnia poszliśmy z konsulem Rozwadowskim obejrzeć giełdę w Nowym Yorku. Znajduje się ona w południowej części miasta w bardzo wąskiej uliczce. Po jednej i drugiej stronie ulicy stoją kilkopiętrowe budynki, a w oknach każdego z nich stoi lub siedzi kilku mężczyzn podrażnionych, podnieconych, zdenerwowanych do najwyższego stopnia, wykrzykujących w stronę ulicy ciągle jakieś liczby. Wielu z nich ma stale przymocowaną na głowie słuchawkę telefoniczną, a równocześnie trzymają w ręce tubkę, do której bez przerwy wykrzykują jakieś niezrozumiałe słowa lub cyfry. Są oni tak zmęczeni, czy może rozgorączkowani, że pozrzucawszy z siebie kamizelki, w samych tylko koszulach stoją w oknie.

Równocześnie w ulicy na dole znajduje się szary tłum kupców, pomiędzy którymi wielu jest wyrostków. Ludzi ci trzymając w ręku papier i ołówek, zapatrzeni są jak w tęczę każdy w swoje okno, i tylko skwapliwie robią notatki, porozumiewając się przytem od czasu do czasu z tymi co siedzą w oknach bądź to głosem, bądź też na migi, przy pomocy alfabetu palcowego. — W tym celu podnoszą ręce do góry i pokazują odpowiednią ilość palców, bądź trzymając je do góry, bądź zwracając ku ziemi. Znaki te wykonują tak szybko, że trudno je nawet okiem pochwycić.

Dla mnie, który pierwszy raz widziałem to wszystko, przedstawiał ten cały tłum jakąś gromadę obszarpańców; tak niektórzy z nich wyglądali nędznie, brudno i lichy odziani. Dopiero konsul Rozwadowski wy-

jaśnił mi, że niejednen z tych obdartusów lub też młokosów, liczących nie więcej jak 14 do 15 lat załatwia interesy handlowe na tysiące, a nie rzadko na miliony dolarów.

Niedaleko od giełdy znajduje się najwyższy budynek w Ameryce, a nawet i na świecie, tak zwany „Woolworth Building“ wysoki na 58 pięter. Wszedłszy do środka gmachu tego w szczególności do sieni, ma się wrażenie, jakby się weszło do pięknej świątyni. Wspaniale mozaiką wykładane ściany i posadzka uderzają mile oko przy wejściu. Po prawej stronie sieni znajdują się po dwie windy, które stale są w ruchu. Wsiadam do jednej z nich i jadę w górę. Szybko przemijają przed moimi oczyma poszczególne piętra. — Jakieś uczucie niepewności czy lęku, czy też poprostu tylko ściskanie żołądka wskutek szalonego pędu windy ogarnia człowieka. Naraz winda się zatrzymuje, a na tabliczce widnieje napis: piętro.

Jedziemy dalej i za chwilę wysiadamy na 50 piętrze, wchodzimy do sali, w której każdy wpisuje do księgi swoje nazwisko. Jest to rodzaj salonu, z którego widok rozlega się na cztery strony świata, a gdzie również sprzedają drobne pamiątki z Nowego Yorku. My jednak wsiadamy do drugiej windy, która posuwa się jeszcze o kilka pięter w górę i jest poprostu wąską rurą. W tej windzie może się zmieścić tylko trzy osoby i motorowy. Jedziemy jeszcze 8 pięter tą rurą w górę, poczem wysiadamy i wychodzimy na ganek okalający szczyt wieży.

Pięćdziesiąte ósme piętro! Nie chce się poprostu wierzyć! Spoglądając na dół widzi się miasto Nowy

York ciągnące się kilkadziesiąt kilometrów. — Patrząc jednak z tak szalonej wysokości widzi się tylko dachy kamienic. — Duże szerokie ulice przedstawiają się jak wązkie przejścia, a z wielkich placów i skwerów robią się w oczach widzów małe niezabudowane placyki. — Ludzie przedstawiają się jak mrówki, wozy tramwajowe, kolejowe jak pudełka od zapalek. Rzekę Hudson wraz z jej dokami jak również miasto Brooklyn widać jak na dłoni. Kiedy się patrzy na to miasto z takiej szalonej wysokości, odnosi się zupełnie wrażenie, że szereg mostów, które łączą je z New-Yorkiem skuwają formalnie te dwa miasta ze sobą. Poza tem Brooklyn nie posiada nic interesującego, a budowane jest systemem amerykańskim. — Na uwagę zasługują tutaj jedynie kolosalne mosty, łączące oba te miasta. — Są to poprostu olbrzymy, których wielkość dopiero z bliska ocenić można. Widzi się bowiem wysoko nad sobą ogromny most, na który chcąc się dostać, trzeba co najmniej kilometr lub dwa przejść obok wysokiej szkarpy, aby ostatecznie dostać się na drogę, którą można wejść na most. Szerokość mostu dochodzi do kilkudziesięciu metrów, tak, że swobodnie kursują po nim obok siebie dwa tramwaje, następnie osobne miejsce jest dla automobili i wozów, zaś po jednej i drugiej stronie z boków mostu biegną wygodne szerokie przejścia dla pieszych. — Wszystkie mosty stałe, budowane są jako łuki wklęsłe, a zakończenia tych łuków mają co najmniej cztery piętra wysokości. Łuk wklęsły wraz z podstawą mostu połączony jest zapomożą silnych sztang żelaznych, z których każda jest grubości ręki. Idąc takim mostem nie można się do-

czekać jego końca; dopiero po trzydziestu minutach zaczynamy się zbliżać do przeciwległego brzegu a tem samem do końca mostu. Te stałe mosty są dlatego budowane na wysokich szkarpach zastępujących filary, aby pod mostem mogły swobodnie przepływać parowce, statki lub mniejsze okręty.

Drugą kategorię mostów na tej rzece tworzą mosty ruchome. Spoczywają one na silnym filarze wystawionym na środku rzeki. Na filarze tym na moście zbudowany jest domek, w którym znajduje się maszynerja uprawiająca most w ruch w razie potrzeby. — Kiedy bowiem nadpływa okręt lub statek o wysokim kominie, maszynista siedzący w domku zapomocą odpowiedniej maszynjerji łamie most, obraca go na filarze w ten sposób, że po chwili biegnie on równoległe wzdłuż brzegów rzeki. Wszystko co w danej chwili znajduje się na tej części mostu, obraca się z nim na lewo, a tymczasem dołem po rzece przepływają statki. — Po chwili most wraca znowu na swoje miejsce i szczepia się ze stałemi częściami tak szczelnie, że nawet nie poznać w którym miejscu przedtem był przerwany. — Cały zaś ruch pieszy i kołowy przywraca się na nowo.

Ulice w New-Yorku jak i wogóle w Ameryce przedstawiają dużo życia, dużo ruchu i nieraz spotyka się tam sceny i obrazy o których u nas nawet się nie ma pojęcia. Widziałem naprzykład w roku 1916 werbowanie żołnierzy do wojska amerykańskiego. — W Stanach Zjednoczonych nie było wówczas przymusowego poboru rekruta, lecz dobrowolna służba wojskowa. Wogóle cała armja Stanów Zjednoczonych półn. Ameryki wynosiła wtenczas zaledwie 300.000 żołnierzy,

którzy nie tyle byli przeznaczeni do obrony granic państwa ile raczej do utrzymania porządku publicznego i tłumienia różnych strajków, które tam często wybuchają.

W roku 1916 prezydent Stanów Zjednoczonych spowodował uchwałę parlamentu, która zaprowadzała przymusowy pobór rekruta oraz podniesienie kontyngentu żołnierza. — Lecz cóż się znowu okazało? Oto kiedy ustawa przeszła, spostrzeżono się dopiero, że na utrzymanie tej zwiększonej armji niema na razie funduszu, gdyż budżet nie był jeszcze uchwalony. — Trzeba więc było naprzód uchwalić budżet, a ponieważ szło to jakoś opornie, przeto cała sprawa na razie utknęła. Wskutek tego werbowano rekruta po ulicach jak dawniej. Wieczorem szedł werbownik ze sztandarem i kilku muzykantami po ulicach miasta; przystawali oni od czasu do czasu po największej części na rogu ulic i tutaj do zwabionych dźwiękami muzyki, zaczynał werbownik wygłaszać mowę mniej więcej tej treści: wstępujcie do armji, życie żołnierza jest najpiękniejszem pod słońcem. Kto chodzi zawsze elegancko ubrany — żołnierz, — kto stale spaceruje po ulicach z ładnymi pannami — żołnierz, kto pali najlepsze cygara, pije najlepsze piwo, zjada najlepszy „pay“ — żołnierz. — Wstępujcie więc do armji! Naturalnie mowa jego niewielkie zrobiła wrażenie, a nieraz pobudzała do śmiechu otaczających go słuchaczy.

Inna znowu scena z ulicy: W Ameryce istnieje wolność wiary i nauczania, wskutek czego sekciarstwo silnie jest rozwinięte. Nieraz zdarzało mi się widzieć zwłaszcza przechodząc ulicą wieczorem, jak taki przy-

godny krzewiciel i siewca nowej wiary, werbował dla niej nowych zwolenników. Zwykle stawał na stołku, postawionym na środku ulicy i zaczynał kazanie. — Widziałem np. jednego moskala, który także w ten sposób chciał zaszcześcić jakąś nową sektę. — Człowiek ten robił na mnie wrażenie raczej nałogowego pijaka, aniżeli jakiegoś kaznodziei. W przemówieniach swych powtarzał tylko stale, że tylko jemu pan Bóg dał łaskę nauczania i wyjaśniania wiary i że tylko to jest dobre co on mówi, że wszystko to co inni mówią jest złe i td. i td. Naturalnie przemówienia swoje wygłaszał w języku rosyjskim, czego nikt z nielicznych słuchaczy nie rozumiał. Takich fanatyków, a raczej można powiedzieć oszustów, mających na celu przedewszystkiem swój własny interes jest w Ameryce bez liku.

W czasie mego pobytu podczas ucieczki w Ameryce (jesień 1916) kończyło się urzędowanie starego prezydenta i miał nastąpić wybór nowego. Agitacja więc i reklama z powodu nowych wyborów była szalenie rozwinięta zwłaszcza, że było trzech kandydatów, z których każdy miał silne poparcie stronnictw. — Ponieważ zaś z ustąpieniem prezydenta ustępuje także i stronnictwo polityczne które go wybrało a partja ta podczas trwania rządów ma kolosalne dochody, przeto cała agitacja ma na celu przedewszystkiem, aby wybrać takiego prezydenta, przy którymby obecnie będąca u władzy partja mogła się i nadal utrzymać. Agitacja za wyborem kandydata odbywa się całymi miesiącami wszędzie: na zgromadzeniach, w teatrach, kinach, sklepach, na ulicy bądź to zapomocą przemówień, bądź ogłoszeń, flag, a nawet całych zadrukowanych pló-

ciem wiszących przez całą szerokość ulicy. Niekiedy całe ulice obwieszane są płóciennymi reklamami z podobizną kandydatów.

Wybór prezydenta Stanów Zjednoczonych jest to prosto business. Ludzie wiedzą, że wybrany ich kandydat musi powołać z ich partji urzędników, doradców swoich, sędziów; a to wszystko daje kolosalne dochody.

W odległości kilkunastu mil angielskich od New-Yorku znajduje się tak zwany Brons Park. Można do niego dojechać albo tramwajem, lecz droga ta jest zbyt długa, lub też koleją napowietrzną, a nawet podziemną i wtenczas droga trwa blisko godzinę. Park ten ma obszaru kilkaset morgów, a znajdują się w nim przepiękne oranżerje, wspaniałe zwierzyńce, okazałe bufety i restauracje, wille i pawilony.

Przybywszy na miejsce wchodzi się do ogromnego starego parku, liczącego kilkaset morgów obszaru. Czysto utrzymane chodniki prowadzą do oranżerji. W oszklonych kilkupiętrowych budynkach znajdują się wszystkie kwiaty, krzewy, jak również drzewa z całego świata. — Palmy daktylowe, banany, ananasy, ogromne paprocie dają zupełnie złudzenie podzwrotnikowej miejscowości.

Z oranżerji przechodzi się do pawilonu, gdzie umieszczone są żywe ptaki, wszystkich możliwych gatunków. Mniejsze z nich znajdują się w klatkach, jedna koło drugiej. Dla ptaków dużych latających, wymurowane są betonowe klatki wielkości ogromnych pokoi, przesłoniętych z frontu sztachetową kratą lub siatką drucianą. — W klatkach tych znajdują się najrozmaitsze gatunki orłów, sępów, kondorów i sów. Z przy-

krością i współczuciem patrzałem na niejednego sępa, który rozpiąwszy swoje czterometrowej długości skrzydła próbował swojej siły i zrywał się do lotu. — Lecz silne ściany klatki przypominały mu szybko niewolę i przywracały go do równowagi. Smętny ptak usiadał znowu na suchym pniu wstawionym do klatki.

Wielkie ptaki latające, pływaki, brodziaki jak np. kaczki, mewy, czaple i td. umieszczone są w jednej drucianej dwupiętrowej ogromnej klatce. Na dole klatki tej znajduje się sadzawka, w której ptaki pływają i kąpią się swobodnie. Gdyby nie zimne, stalowe druty klatki, o które niejednen już ptak rozbił swoją pierś lub głowę, mogłoby się im zdawać, że są na wolności.

Przechodzę następnie do tej części parku, w której znajdują się zwierzęta. Niektóre z nich jak np. wszelkie możliwe gatunki kóz, saren, jeleni, małych koników i td. umieszczone są w dużych, nieraz po kilka morgów mających zagrodach. W każdej takiej zagrodzie znajduje się szałas, gdzie zwierzęta chowają się na noc lub przed burzą. Przechodzę ulicami między poszczególnymi zagrodami i podziwiam piękne okazy zwierząt. — Tu stado nakrapianych antylop ciśnie się do drucianej siatki, tam kilka saren harcuje po łące. W oddali widać duży wysoki świerk rzucający rozległy cień dokoła. Pod nim kryjąc się przed żarem słońca leży spokojnie stary jeleń, którego głowa wraz z długimi rosochatymi rogami widnieje z daleka.

W innych pawilonach znajdują się dzikie drapieżne koty, lwy, tygrysy, pantery i td. — Pawilony te budowane są w ten sposób, że przechodząc przez środek jego od jednej sieni do drugiej ma się po lewej i pra-

wej stronie klatki. Jeżeli zaś pawilon okrąża się z pola, to tutaj każde zwierzę ma jeszcze drugą klatkę do słońca. W klatce tej zewnętrznej przebywają w czasie lata.

Są jeszcze zagrody, w których znajdują się żyrafy, żebry, tapiry i inne zwierzęta, — słowem widzieć tutaj można wszystkie okazy zwierząt jakie żyją na świecie, a wszystkie dobrze odżywione i utrzymane. W oddzielnych pawilonach znajdują się gady i płazy. Zaraz na wstępie jest sadzawka z całą gromadą krokodyli. Aby przypadkiem nie rozpełzły się po podłodze pawilonu, sadzawka otoczona jest sztachetami, których szpice zagięte są do środka.

Wzdłuż ścian ciągną się większe lub mniejsze klatki oszklone, z wszelkimi możliwymi gatunkami węzów; klatki te murowane z cementu wielkości pokoi z przednią ścianą szklaną, wewnątrz malowane przedstawiają wiernie okolicę w jakiej dany wąż żyje.

Ostatni pawilon mieści kilka gatunków słoń. Przed pawilonem ciągną się otoczone sztachetami dziedzińce, po których słonie te wolno przechadzają się. Przyzwyczajone jednak do częstych podarunków jakie im zwiedzający park podają w formie cukru, bułek, chleba, owoców i td. słonie te stoją prawie stale przy sztachetach wyciągając swoje trąby ku przechodniom.

Minąwszy ten pawilon dochodzi się do wielkiej sadzawki, w której znajduje się stado nerp. Jest prawdziwą satysfakcją patrzeć na te harcujące w wodzie zwierzęta, które tak niezgrabnie po lądzie się posuwają, prawie, że pełzają, zaś w wodzie dokazują cudów, kąpiąc się, nurkując i pływając pod wodą. Można stać całymi godzinami i obserwować je z zajęciem. —

W porze południowej sadzawkę tę otaczają chmary uczniów wracających ze szkoły, którzy rzucają na środek sadzawki chleb, owoce, ryby. Rozpieszczone nerpy harczą po sadzawce, wychylają się z wody wysoko, nieraz zaś odbiwszy się tylnymi płetwami, podskakują metr i wyżej ponad wodę, aby tylko złapać rzuconą im rybę lub kawałek chleba.

Chcąc zwiedzić cały ten park dokładnie, potrzeba na to nie jeden, lecz kilka dni poświęcić.





ROZDZIAŁ XXIII.



Przygotowania do dalszej drogi. W poszukiwaniu za nowym paszportem. W konsulacie rosyjskim. Kłopot z bielizną.

Czas mojego pobytu w Ameryce upływał tak szybko i przyjemnie że nawet nie oglądałem się, jak przeszedł jeden i drugi miesiąc i powoli jesień zaczęła się zbliżać. Trzeba się było gotować do dalszej ucieczki, na nowo starać o papiery i załatwiać szereg formalności.

Po długich i usilnych staraniach udało mi się ostatecznie otrzymać nowy bardzo dobry paszport rosyjski zagraniczny, za którym miałem się udać w dalszą drogę. — Obecnie zaś cała sztuka polegała na tem, aby przejść przez szereg formalności u konsula rosyjskiego w Nowym Yorku, następnie dostać się szczęśliwie do Anglii i stamtąd wyostać się do Norwegji.

Kiedy ostatecznie nadszedł już dzień odjazdu, udałem się o 9-ej rano do konsula rosyjskiego w celu otrzymania pozwolenia na wyjazd. Trzeba było złożyć paszport, z trzema fotografjami, podpisać się po rosyjsku

i odpowiedzieć na cały szereg pytań stawianych przez konsula.

Jakkolwiek wtenczas mówiłem i pisałem tak biegle po rosyjsku że niktby nie był w stanie zakwestjonować mojego poddaństwa rosyjskiego, to jednak mimowoli strach mnie przejmował w obawie aby nie popełnić jakiego błędu. — Nie było jednak innej rady, osobiste stawienie się w konsulacie było nieodzowne, więc nie tracąc czasu udaję się o oznaczonej godzinie w sam dzień odjazdu do biura konsula. — Przecignięcie zaś samej sprawy do ostatniej chwili miało ten cel, aby przypadkiem konsul rosyjski nie miał czasu zasięgnąć informacji co do mojej osoby.

Z bijącym sercem wszedłem o godzinie 10-ej rano do konsulatu. — Znalazłszy się w kancelarji zastałem tam już szereg innych osób, którzy również przyszli tutaj w sprawach paszportowych. — To mnie nieco uspokoiło. Nie byłem sam, a zawsze dwudziestu osobami nikt się tak szczegółowo nie zajmuje w podobnych wypadkach jak jedną osobą. — W dodatku dnia tego przypadało święto amerykańskie, wskutek czego biuro miało być wcześniej zamknięte. To też praca w konsulacie, przyjmowanie paszportów, odbieranie podpisów własnoręcznych, zasięganie informacji, szło w szybkim tempie.

Kiedy zbliżyłem się do okienka, urzędnik począł zaraz wypytywać jak się nazywam, dokąd jadę i t.d. następnie kazał mi podpisać jakąś deklarację i zapłacić takse. W końcu jednak wyrzekł „do swidania“ na znak załatwienia sprawy i kazał mi się zgłosić po paszport na okręcie.

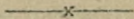
Wyszedłem z biura zadowolony, że tak wszystko poszło gładko, powtarzając w myśli stare przysłowie: początek dobry to i koniec będzie dobry. Tak sobie myślałem, lecz w rzeczywistości cóż ten drobny początek znaczył wobec wszystkiego, co mnie jeszcze czekało i miało spotkać podczas podróży na morzu.

Do odjazdu okrętu miałem jeszcze trzy godziny czasu. Chwile dłużyły się, a ja nie mając na razie innego zajęcia, szedłem wolno ulicami. Wtem przypominam sobie, że przecież prawie cała moja bielizna, którą przed kilku dniami dałem do pralni, nie została mi jeszcze zwróconą. — Miała ona wprawdzie dnia poprzedniego być gotową i do mieszkania mojego odesłaną, atoli jakby na złość tym razem solidność i punktualność amerykańska zawiodła. — Dnia dzisiejszego byłem również w pralni, ale otrzymałem tą samą odpowiedź „jeszcze nie gotowa, ale będzie o 11-ej“. Udaję się więc coprędzej tramwajem do pralni, lecz co za pech, znowu otrzymuję odpowiedź: jeszcze nie gotowa, ale napewno popołudniu już będzie.

Byłem poprostu wściekły. Tłumaczę kierownicze firmy, że bieliznę muszą mieć natychmiast, gdyż niezadługo wyjeżdżam pociągiem w stronę Chicago, na co otrzymuję uprzejmą odpowiedź: że wystarczy tylko abym zostawił swój adres, a bielizna na koszt firmy będzie za mną wysłana i doręczona. — Podziękowałem za taką uprzejmość, myśląc sobie równocześnie: możesz poczekać, aż dostaniesz mój adres, chyba, że pojedziesz za mną do Europy.

Zły do najwyższego stopnia wychodzę na ulicę, obliczając mimowoli stratę jaką ponoszę. — Bielizna

bowiem oddana do prania przedstawiała wartość conajmniej stu dolarów, czyli, że tamtą trzeba poprostu uważać za straconą i coprędzej kupić nową na drogę za nowe sto dolarów. — Odkładać wyjazd z powodu bielizny, mając już i miejsce na okręcie, bilet zapłacony i dobrą sposobność do przejazdu, byłoby poprostu niedorzecznością. Idę więc ulicą niezdecydowany. W tem ktoś dotyka mnie z tyłu ręką i równocześnie słyszę głos mojej praczki: panie Kamiński, pańska bielizna już gotowa, w tej chwili ją właśnie przyniesiono. Wracam więc coprędzej do sklepu, zabieram pakunek, wstępuję do domu, biorę swoje walizy i za chwilę jadę zadowolony autem w stronę portu Hoboken.





ROZDZIAŁ XXIV.

W porcie Hoboken. Helig Olaf. Trudności przy wejściu na okręt. Opuszczenie Ameryki. Rewizja okrętu na morzu przez krążownik angielski.

Przeprawiwszy się statkiem na drugą stronę, wchodzę do doków. Doki ogromne, można się w nich zgubić, zwłaszcza, jeżeli się jest tutaj pierwszy raz. — Idę za innymi, przechodzę szereg westibulów, bram, chodników i w końcu dostaję się na otwarte miejsce, skąd zdaleka widać duży okręt, o trzech kominach,znaczony na przodzie wielkim niebieskim krzyżem na białym polu. — Był to „Helig Olaf“, którym za niespełną godzinę miałem odjechać.

Przeszedłszy jeszcze paręset kroków, dostałem się na nowo do doków, a następnie do westibulu kompanji okrętowej „Scandinavian American Line“, gdzie przy molo stał na uwięzi kolos okręt, którym miałem ruszyć w dalszą drogę.

Ruch, krzyk, zamieszanie, panuje tu nie do opisania. Jedni wychodzą drudzy wchodzą, a wszyscy się spieszą, wszyscy pędzą, poprostu na oślep. — Szukam przedewszystkiem swoich kufrów, które dnia poprzedniego oddałem do przewiezienia do portu. — Atoli bagaży, tłumoków, kufrów jest tu całe setki. Przechodzę jedną partję, drugą, trzecią i już zaczynam się obawiać, czy rzeczy moich nie skradziono, gdy w tem na końcu pod ścianą widzę swoje bagaże.

Udaję się następnie do kancelarji konsula rosyjskiego. Tu jednak panuje ścisk i tłok tak wielki, że trudno się dostać wogóle do okienka kancelaryjnego. Około trzystu poddanych rosyjskich z rodzinami wraca do Rosji. — W tym tłumie poddanych rosyjskich miałem nadzieję zniknąć jak kropla wody w potoku. — Niestety zapomniałem w tej chwili zupełnie o tem, że byli to sami robotnicy, jadący trzecią klasą. — Ja zaś jako elegancki, utalentowany fryzjer, gdyż w tym charakterze wpisałem się na listę okrętową, miałem jechać w lepszym towarzystwie i dlatego zakupiłem bilet II-ej klasy.

Ostatecznie okienko kancelarji konsulatu się otwiera, pisarz wywołuje nazwiska poszczególnych podróżnych i wydaje paszporty. Przychodzi także i kolej na mnie, a kiedy już dokument miałem w ręku, każę posługaczowi portowemu zabrać moje bagaże na wózek, i spieszę w stronę okrętu.

Nie tak jednak łatwo było się dostać do niego, jak mi się to z początku wydawało. Przed wstępem bowiem na okręt trzeba jeszcze otrzymać wizę trzech innych konsulatów, a w szczególności rządu amerykań-

skiego. — Zdawałoby się, że u władzy amerykańskiej jako neutralnej pójdzie sprawa najłatwiej, najprędzej, tymczasem zaś z powodu małej nieformalności, a raczej jak się później okazało, bez powodu nawet zaczęto mi robić trudności i nie chciano wpuścić na okręt. Jak bowiem już poprzednio wspomniałem, otrzymałem paszport zagraniczny rosyjski wystawiony w Petersburgu na kilkanaście lat, na którym w razie powrotu właściciela do Rosji, konsul kładzie tylko swoją wizę. Natomiast wszystkim tym, którzy bądź to mają zwykły paszport jednoroczny, bądź też nie mają paszportu i starają się o niego dopiero na podstawie jakiegoś innego dokumentu np. metryki urodzenia, ślubu, świadectwa przynależności i td. konsul musi wydać paszport powrotny z Ameryki do Rosji. — Paszport taki wystawiony jest na półarkuszu i zaopatrzony dużą pieczęcią oraz podpisem konsula.

Ponieważ wszyscy z poddanych rosyjskich mieli takie nowe świeżo wystawione paszporty powrotne, przeto urzędnicy amerykańscy nie znając widać tych przepisów zażądali odemnie również prócz mojego paszportu (który w danym wypadku zupełnie wystarcza) jeszcze paszportu powrotnego i nie chcieli mnie bez niego puścić na okręt.

Ostatecznie wszystko się wyjaśniło, otrzymuję wizę amerykańską, wchodzę na pomost, a następnie wstępuję na okręt. — Chłopiec okrętowy odbiera równocześnie moje ręczne walizy, a otrzymawszy bilet okrętowy znika w tłumie.

Ruch, hałas, zamieszanie nie do opisania. Tłumy ludności w doku, ścisk na mostku, tak samo na okrę-

cie. Na pokładzie statku gra orkiestra, a w doku przed okrętem gra druga muzyka portowa.

Fala ludzi przewala się nieustannie zdążając w jedną i drugą stronę, a każdy spieszy się tak, jakby za sekundę okręt miał już odejść. — Biorę pierwszego z brzegu boya i zapytuję o swoją kajutę. Wskazuje mi numer 65 pod pokładem. — Wchodzę do niej i z zadowoleniem dowiaduję się, że nie mam żadnego współtowarzysza podróży. — Jest to dla mnie rzecz bardzo ważna. Kto bowiem wie i jak może przewidzieć, kto jest ten drugi podróżny, czy przypadkiem nie jest detektywem okrętowym. — A tu dwanaście dni jechać z nim razem, ciągle się mieć na ostrożności, ciągle na wszystko uważać, wszystko zamykać, a niektóre nawet rzeczy stale przy sobie nosić, aby się z czemkolwiek nie zdradzić.

Rozmieściwszy swoje rzeczy wychodzę znowu na pokład. Tutaj krzyk, nawoływania, bieganina trwają w dalszym ciągu. — Pożegnaniom, rozmowom przez pomost, powiewaniom chusteczkami nie było końca, co wszystko razem ze skocznymi dźwiękami dwóch orkiestr grających bez przerwy, zlewało się w jakiś dziwny chaps.

Dochodziła już godzina I-sza popołudniu. — Za 30 minut okręt miał ruszyć w drogę, wskutek czego przygotowania na okręcie do odjazdu rosły z każdą chwilą. Marynarze przebiegają spiesźnie po pokładzie w różnych kierunkach, wypełniając zlecenia oficerów, lub też wiele rzeczy robiąc już na swoją rękę, jako starzy praktycy.

Już słychać stuk i huk pracujących maszyn okrę-

towych. — Za chwilę odjęto mostek łączący molo z okrętem, a prawie równocześnie zaczęto ściągać trzymające go na uwięzi liny i kotwice. Już czuć chwianie się okrętu i ostatecznie przy dźwiękach orkiestry okrętowej, okrzykach i pożegnaniach „Helig Olaf“ powoli zaczyna wycofywać się z portu.

Dwa tendry jak olbrzymy pchając nasz okręt powodują, że tenże posuwa się równolegle wzdłuż kamiennego brzegu; inaczej z powodu wąskiego kanału, w który okręt przybywając do portu wjechał, nie mógłby teraz bez narażenia się na rozbicie lub uszkodzenie wypłynąć tyłem z portu. — Równocześnie pocztowy tender, przywiązany z boku do naszego okrętu, ładował przez cały ten czas pocztę na okręt.

Cały tłum znajdujący się w doku rusza równocześnie wzdłuż posuwającego się naprzód okrętu, krzyżąc i powiewając chustkami — przez długą halę doku i przy każdej otwartej bramie krzyczy z całych sił: „Good bye“. — W końcu wyjechaliśmy z kanału na otwarte wody portu, gdzie okręt ma więcej miejsca i swobody.

Wszystko co jedzie staje na okręcie i patrzy z podnieceniem w stronę doków. — Tam bowiem w ostatniej, teraz już nie bocznej lecz tylnej bramie, skupili się ci wszyscy, którzy odprowadzali odjeżdżających krewnych, znajomych lub przyjaciół. Tak na okręcie jak również i w doku powiewania chusteczkami, oraz krzyki „Good bye“, zwiększają się aż do zapamiętania; zwłaszcza że tam w doku oznaki pożegnania przybierają formalny wygląd jednej wielkiej manifestacji. Żegnają oni bowiem z całym zapałem z całym uniesieniem odjeżdżających.

Tymczasem „Helig Olaf“ wypłynąwszy na szersze i swobodniejsze miejsce i nabrawszy właściwego kierunku, płynie wolno, pozostawiając coraz dalej za sobą powiewających jeszcze ciągle chusteczkami amerykańców. — Płyniemy obecnie środkiem zatoki Hudsona, mijając powoli stojących na wybrzeżu pięć najwyższych na świecie drapaczów chmur. Płynąc dalej mijamy statwę wolności. Jest to kilkunasto-piętrowa figura ulana z brązu, umieszczona na skalistej wysepce, przedstawiająca kobietę z wieńcem na głowie, trzymającą wysoko podniesioną płonąca pochodnię. — Niedługo potem sam Nowy York, jak również jego wysokie budynki były już daleko za nami, my zaś coraz bardziej wjeżdżaliśmy na otwarte morze. — Po chwili okręt zatrzymuje się, poczem następuje jeszcze raz szczegółowa rewizja bagaży załadowanych na okręt. — Morska straż celna przeszukuje skrupulatnie cały okręt, co wszystko trwa dosyć długo i gra na nerwach moich bardzo nieprzyjemnie. — Ostatecznie jednak tender ze strażą celną odjeżdża z powrotem do portu. — Na okręcie robi się jakaś dziwna cisza i spokój, jakaś niedająca się opisać niepewność, żal, czy tęsknota.

Naraz śruba okrętowa zaczyna nanowo pracować. Okręt zaczyna się chwiać i kołysać, następnie porusza i posuwa naprzód, zdążając tym razem prosto już w kierunku wschodnim na pełne morze.

Płynęliśmy już może pół godziny pełną parą, gdy wtem około 4-ej popołudniu dał się słyszeć strzał armatni. Huk wystrzału wstrząsnął wszystkimi jak każda rzecz nieoczekiwana; to też zaniepokojeni zwracają się w stronę oficerów i marynarzy z zapytaniem co to jest,

co to znaczy. Tymczasem okręt, który już zwolnił w biegu stanął nieruchomo na morzu i wywiesił swoje flagi okrętowe. — Następuje chwila nieprzyjemnego oczekiwania i zdenerwowania. Wszyscy dookoła pytają co to znaczy, co to jest, co będzie. — W tem gdzieś z daleka padło słowo: okręt angielski się zbliża, będzie rewizja.

Oho — pomyślałem sobie, — już się zaczyna!

Rzeczywiście niedługo potem podpłynął ku nam okręt angielski, który spuściwszy na morze szalupę, przysłał nam na nasz pokład oficerów i marynarzy. — Rewizja trwała dosyć długo. Była szczegółowa, miała za cel kontrolę paszportów, — a jakkolwiek wszyscy mieli swoje papiery w porządku, to jednak wielu miało niepewne miny, czy przypadkiem nie zajdzie coś niespodziewanego, czy z jakiegoś błachego powodu nie zakwestjonują paszportu i nie każą wysiadać.

W końcu rewizja się skończyła, kontrola odjechała z powrotem na swój okręt, a my ruszyliśmy w dalszą drogę.

Była już godzina 6-ta wieczorem. Powoli nadchodził zachód słońca i chłodno zaczęło się robić na pokładzie. — Naciągnąwszy płaszcz gumowy przeszedłem na tył okrętu i zamysłony patrzyłem w dal przed siebie. Okręt płynął pełną parą i wspinał się wytrwale prując fale stojące mu na poprzek drogi. Szum wody i plusk fal uderzających o boki okrętu, dziwnie przyjemnie oddziaływały na mnie. Oglądam się, na zachodzie daleko za mną na widnokręgu widnieje już tylko wążki pas lądu najeżony górami, za którymi chyli się powoli słońce ku zachodowi.

Była to piękna Ameryka, ten kraj siły i rozmachu, bogactwa i przepychu, gdzie przeżyłem tyle miłych, przyjemnych chwil, gdzie widziałem tyle pięknych rzeczy, po którym wzdłuż i wszerz bujałem jak ptak wolny od wszelkich trosk, zmartwień i kłopotów. Dziś się to skończyło i zaczęła się na nowo trudna, ciężka ucieczka. Westchnąłem tylko z żalem. — Przedemną podróż nowa, zupełnie odmienna od tej, którą odbyłem przez Amerykę. Obecnie jadę wprost do Anglii w samo jej serce, centrum niebezpieczeństw. — Czy przejadę ocean szczęśliwie, czy uda mi się przekraść przez Anglję, czy dobiję szczęśliwie do domu do Krakowa, czy nie wpadnę znowu w ręce detektywów, — oto szereg myśli, które się mimowoli cisnęły do głowy.



ROZDZIAŁ XXV.



Na wodach Atlantyku. Dla odmiany w charakterze golarza. Ostrzeżenie na czasie. Pan w zielonkowatym ubraniu szukający niemca. Pogrzeb na morzu.

Na okręcie „Helig Olaf“ jechałem II-gą klasą. Przeszedłem bowiem w Ameryce do przekonania, że o ile mnie w dalszym ciągu policja angielska będzie szukać i ścigać, zwłaszcza przekonawszy się, że informacje moje podane na okręcie „Kama-Kura-Maru“ co do osób w Chicago są fałszywe to w I-ej klasie będę narażony na ściślejszą kontrolę. Dlatego też zdecydowałem się jechać II-gą klasą. III-cią bowiem ze względu na niewygody zdecydować się nie mogłem.

Podąłem się za fryzjera - golarza, który dorobiwszy się majątku wraca po ośmiu latach do Europy. Paszport miałem wystawiony na nazwisko Andrzej Rozum. Mówiłem zaś językiem angielskim na tyle dobrze, że za takiego golibrodę mogłem uchodzić zupełnie spokojnie. Golić wprawdzie nie umiałem, ale gdyby nawet

do wykonania mego zawodu na okręcie było przyszło, to miałem nadzieję, że przez dwanaście dni drogi na cudzych brodach rzemiosła swego biegle się wyuczę.

Wszedłszy wieczorem do jadalni zastałem tam cztery stoły przeznaczone dla gości II-ej klasy. Przy jednym ze środkowych było miejsce dla mnie. Odszukawszy swoje nazwisko zasiadłem do kolacji. Naprzeciw mnie siedział jakiś wygolony pan, który z zainteresowaniem obserwował moją osobę, nie kryjąc się z tem zupełnie. Udawałem jednak, że nie zwracam na niego najmniejszej uwagi, choć niepokój mój wzrastał z każdą chwilą.

Przy stole, jak również na pokładzie przyjąłem zaraz z samego początku zasadę małomówności. Krótkie rozkazy wydawane boyowi, ewentualnie krótka zdawkowa uprzejma odpowiedź, jeżeli ktoś o co zapytał i na tem koniec. — Tak zeszedł jakoś pierwszy wieczór, po którym udałem się dosyć wczesnie do swojej kabiny. Wrażeniami bowiem dnia tego byłem tak przejęty, bieganiem po mieście tak zmęczony i wyczerpany, że udałem się zaraz na spoczynek zadowolony, że ostatecznie dostałem się na okręt, który otwiera mi nadzieję ujrzenia Europy.

Kiedy na drugi dzień rano wyszedłem na pokład, byliśmy już na pełnem morzu. Okręt płynął całą siłą pary, niedbale przesadzając mniejsze lub większe fale. Zimno przenikliwe dokuczało dotkliwie, to też wszyscy mieli na sobie cieplejsze ubrania. — Nie było to już to ciepłe, przyjemne powietrze, którem oddychałem z całą rozkoszą podczas podróży z Chin do Japonji, — lecz zimne, chłodne, ostre i przenikliwe, dojmujące nieraz do żywego.

Przechodząc się po pokładzie zacząłem nieznacznie obserwować jadących ze mną podróżnych. — Towarzystwo było mieszane. Jechali anglicy, skandynawczycy, duńczycy, rosjanie, włosi, nawet niemcy. Zaraz też pierwszego dnia starałem się zbadać kto jedzie i w jakim towarzystwie, co było dla mnie rzeczą niesłychanie ważną, albowiem na ogół mogłem się zorientować kogo unikać, a z kim bez obawy mogę przestawać.

Uwagę moją zwróciły przedewszystkiem na siebie dwie niemki, jadące jak się z listy okrętowej dowiedziałem, jedna z Shang-haju, druga z Tientsinu — do Berlina, z którymi stale na pokładzie rozmawiał jakiś starszy pan, mówiący biegle po niemiecku. — Z siwych jego włosów i starszego już wyglądu przypuszczałem, że miał przeszło lat 50 i dlatego jako taki wraca zupełnie spokojnie i bezpiecznie z Ameryki do Niemiec. — Dzieciom bowiem do lat 16-tu, oraz kobietom i mężczyznom ponad lat 50-siąt — poddanym niemieckim — wolno było wracać z Azji i Ameryki do Niemiec bez przeszkody. — Zbliżyć się jednak do nich lub choćby nawet słowa z nimi zamienić nie chciałem, z obawy ściągnięcia na siebie podejrzenia lub uwagi detektywa okrętowego. — To też trzymałem się od nich zdaleka.

Tymczasem zaczęło się zwykle jednostajne życie na okręcie. — Jest to specjalny tryb życia, odrębny sposób przepędzania czasu, spowodowany tem, że człowiek znajduje się dłuższy czas na ograniczonej przestrzeni okrętu, otoczony zewsząd rozległym morzem, ciągle pomiędzy tymi samymi ludźmi, wśród tych samych warunków i okoliczności. — O ile zaś morze jest

jeszcze ciągle spokojne a niebo pochmurne, o ile niema burzy, to po kilku dniach drogi, życie to staje się wprost nudnem. — Wprawdzie celem urozmaicenia i zabicia czasu wymyślają podróźni najrozmaitsze zabawy sportowe i towarzyskie: jak gra w karty, na fortepianie, szachy, polo i td. atoli i to wszystko po kilku dniach się sprzykrzy i każdy z utęsknieniem pragnie tylko jaknajprędzej dostać się na ląd, lub co najmniej gdzieś z pobliza brzeg zobaczyć.

Wyjehawszy z Ameryki mieliśmy jeszcze jaką taką pogodę, choć zimny wiatr północny lub wschodni zrywał się dosyć często i nieraz dawał się porządnie we znaki. Dlatego też już w drugim dniu podróży marynarze zaczęli rozpinąć płócienne zasłony dokoła pokładu, aby w ten sposób zasłonić podróźnych przed dotkliwem zimnem. — Tak zabezpieczeni podróźni — o ile tylko jaka taka pogoda dopisywała, schodzili się chętnie na pokładzie bądź to spacerując, bądź to wyciągając się na leżakach i otuliwszy się kocami, czytali książki.

Już w pierwszych dniach na okręcie zauważyłem skutki wojny, jak również oszczędności, jakie z powodu niej zaprowadzono na okrętach między Ameryką a Europą. Miałem już bowiem za sobą przebytych kilkadziesiąt tysięcy kilometrów, licząc od Taszkentu na wschód, więc mogłem dobrze ocenić, gdzie był dobrobyt, dostatek a gdzie bieda i spowodowana nią oszczędność. — Kiedy porównałem pożywienie na okręcie japońskim, jadąc z Azji do Ameryki, z tem jakie otrzymywaliśmy obecnie na „Helig Olaf“, to muszę powiedzieć otwarcie, że była różnica, jak między niebem a ziemią. Na

okręcie japońskim bowiem za każdym razem stoły ugi-
nały się formalnie od podawanych potraw, podczas śnia-
dania, obiadu i kolacji, przyczem było ich takie mnó-
stwo i taki wybór, że np. obiad składał się stale przy-
najmniej z trzydziestu dań. — Tutaj zaś dania były
tak skromne, potrawy i porcje tak ograniczone, że je-
żeli np. podano na stół półmisek z mieszaniną, to na
nim znajdowało się tyle tylko płatków, aby na jedną
osobę wypadło po trzy. — Boy podający półmisek wy-
raźnie na to zawsze zwracał uwagę.

Później, im więcej zbliżaliśmy się do Europy, oraz
im więcej wyczerpywały się lub psuły zapasy, tem też
skromniejsze i jeszcze więcej ograniczone było menu
na okręcie.

Jak już poprzednio wspomniałem kajuta moja znaj-
dowała się pod pokładem, przy długim wązkim kory-
tarzu. — Obok mnie zajmowało kabiny kilku skandy-
nawczyków. Najbliższymi zaś moimi sąsiadkami były
dwie panie, z których jedna młodsza panienska weso-
łego usposobienia flirtowała cały czas ze wszystkimi
na okręcie. — Druga również młoda mężatka, udająca
dystygowaną damę, ubierająca się pięknie i gustow-
nie, chodziła stale po okręcie z książką do czytania. —
Około tych dwóch dam skupiało się kilkunastu mło-
dych i starszych mężczyzn. — Wszyscy oni trzymali
się z sobą stale razem, spacerowali po pokładzie, grali
w szachy i t.d. Na ludzi tych nie zwracałem baczniejszej
uwagi, choć, jak się dopiero później po przybyciu do
portu angielskiego pokazało, była to zorganizowana
szajka światowych przemytników, przewożąca gumę
z Ameryki do Niemiec.

Było to już mniej więcej w połowie drogi, na środku Atlantyku między Ameryką a Europą. Zadowolony byłem niewymownie, że nikt na mnie nie zwracał uwagi i że jadę sobie zupełnie spokojnie. — Pewnego jednak dnia, gdy jak zwykle wyszedłem po obiedzie na pokład i przeszedłem się raz i drugi tam i z powrotem, natknąłem się zupełnie przypadkowo na jedną z wyżej wspomnianych niemek. — Oglądam się wkoło i widzę że na pokładzie chwilowo niema nikogo, a nawet marynarza, pełniącego zwykle służbę wartowniczą na pomoście.

Zapytuję więc niemkę z miejsca (po niemiecku):
Czy pani jest z Shang-haju?

— Tak — odpowiada ta prędko, lecz widzę, że blednie i równocześnie jakby z przestachem mówi szybko: na Boga, niech pan w tej chwili odchodzi, gdyż pana poszukuje detektyw angielski.

— Jaki detektyw — pytam się wesoło, — co pani mówi, kto tam wie, kto ja jestem!

— Pan jest przecież oficerem, pan ucieka do Niemiec, pana szuka na okręcie detektyw. Niech pan w tej chwili odchodzi, bo będzie nieszczęście. — Słowa te wypowiedziała niemka cicho, szybko, jednym tchem prawie.

Nie tak jednak szybko odchodzi się od pięknej kobiety, na którą już od dłuższego czasu zwracało się uwagę, a z którą ostatecznie ma się sposobność porozmawiać kilka słów. Ponadto, to co usłyszałem zastanowiło mnie bardzo, zaskoczyło formalnie i chciałem się przynajmniej dowiedzieć, kto jest ten mój na razie utajony przeciwnik. — Pytam więc coperdziej:

— Kto jest właściwie ten detektyw i jak on wygląda, abym chociaż wiedział, kogo mam się strzedz i obawiać?

— Ten właśnie — mówi niemka, już cała zdenerwowana do najwyższego stopnia, — który codziennie stale rozmawia z nami na pokładzie. — Ten w zielonkowatym ubraniu o siwych włosach. — Wczoraj właśnie w rozmowie przez cały czas nam docinał, że na okręcie jedzie niemiec, oficer za fałszywym paszportem, ale on go znajdzie i przyaresztuje w porcie, jak tylko tam przyjedziemy. Strzeż się pan tego człowieka!

To powiedziawszy szybko się oddaliła.

Pozostałem sam na pokładzie.

Ładna historia! myślę sobie. A to byłbym wpadł w kabałę. Trzeba tylko było, żebym był wygadał się z czem przed tym panem w zielonkowatym ubraniu. I od tej chwili rozpoczęły się znowu dla mnie chwile silnego zdenerwowania, ciągłej niepewności, stałego niepokoju.

Tymczasem dni schodziły coraz monotonniej i coraz wolniej. — Pogoda nie dopisywała zupełnie, niebo ciągle zachmurzone, wiatr dął silnie, zaś morze wprawdzie nie wzburzone, ale zato ciągle było niespokojne. — Stale falując, przelewało się z miejsca na miejsce, tworząc wysokie, nieraz do dziesięciu metrów dochodzące bałwany i zagłębienia. Wskutek tego okręt kołysał się i przechylał na boki coraz silniej.

Przód okrętu wspinał się stale na jakie sześć metrów do góry, to znowu zanurzał się w otchłani tak, że stojąc na przodzie okrętu miało się uczucie silnego nieprzyjemnego huśtania. — Równocześnie okręt wsku-

tek natrafianego na przodzie oporu wody, przechylał się tak silnie na lewą stronę, że idąc po pokładzie było się nachylonym do tegoż pod kątem ostrym i trzeba było bardzo uważać, by się nie ześlizgnąć i nie przewrócić.

Chcąc rozgrzać przeziębionych na pokładzie przechadzających się podróżnych, podawano stale w wazie gorący buljon, który następnie małymi filiżankami wypijaliśmy, zagryzając go suchymi keksami. — A choć zimno było i pochmurno i nieraz człowiek przeziął do szpiku i do kości, to jednak wielu wolało pozostać na pokładzie, aniżeli dusić się w ciasnej ciemnej kabinie.

Jedyną niespodzianką, jedynym rozpróśnieniem beznadziejnej monotoności było w tym czasie dla nas przyglądanie się stadom delfinów, które dosyć często płynęły równo z okrętem wychylając się od czasu do czasu ponad powierzchnię morza i zataczając nad niem duże łuki.

Ostatecznie siódmego dnia drogi zaczęły się ukazywać nad okrętem mewy. Jest to zawsze znak, że gdzieś w pobliżu niedaleko znajduje się ląd stały. Słowo: niedaleko, może się odnosić tylko do szybkiej mewy, dla której przebycie 1000 mil angielskich jest poprostu niczem, dla okrętu zaś ląd ten jest jeszcze bądź co bądź daleko, jakie 600 do 800 mil angielskich, a na przebycie tej przestrzeni potrzeba normalnie około trzech dni.

Dwa dni drogi mieliśmy jeszcze do portu. Wieczorem po kolacji wyszedłem na pokład i przechadzałem się po nim, zajęty swojemi myślami. Przypadkowo jednak rzuciwszy okiem w stronę trzeciej klasy zauważyłem tam niezwykle ruch, jakby zamieszanie. Wielu

podróżnych zaglądało też przez okrągłe, małe okienko wgląd jednej z kajut znajdującej się na niższym pokładzie. — Pytam marynarza pełniącego wartę na pokładzie co się tam dzieje. Odpowiada mi krótko: śmierć tam jest; dzisiaj będzie pogrzeb.

Zainteresowany tą lakoniczną odpowiedzią schodzę na dół i dowiaduję się, że jednej z rodzin jadącej w III-ciej klasie zachorowało na morzu podczas podróży dziecko, które dziś przed południem umarło. O 10-tej godzinie w nocy dzisiaj będzie pogrzeb.

Na pokładzie trzeciej klasy zastałem już wielu podróżnych. Byli goście z I-szej, II-giej i III-ciej klasy przywiezieni prostą ciekawością. Noc ciemna, zachmurzona, wiatr dmie z całą siłą, gwiazdy ani jednej na niebie. — Zdała z kajuty, gdzie znajdował się nieboszczyk dochodzą głośne i rozpaczliwe lamenty matki.

W międzyczasie złożono na pokładzie dwie silne długie liny, dwa duże węgle kamienne, kubeł z piaskiem, łopatę i szeroką płachtę płócienną.

Po chwili jeden z marynarzy wyniósł z kajuty małą trumienkę i złożył ją na pokładzie na brzegu okrętu. Równocześnie otworzono boki balustrady otaczającej pokład III-ej klasy.

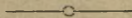
Do pogrzebu było już wszystko przygotowane, czekano tylko jeszcze na kapitana okrętu. — Tymczasem okręt mknął ze zwykłą szybkością, obojętny na to wszystko, co się na jego pokładzie rozgrywało. — Fale tylko muskały coraz silniej i wyżej boki jego, podchodząc nierzadko pod sam pokład. Wszystko czekało w jakimś dziwnem skupieniu, może nawet przygnę-

bieniu i niejednemu z pewnością w tej chwili nasuwały się mimowolnie smutne refleksje.

W tem zjawił się na pokładzie kapitan okrętu. Wysoki, silny mężczyzna, o czerstwej, wygolonej twarzy, przeszedł pewnym krokiem mimo zebranych i zbliżył się do trumienki. Równocześnie prawie wyszli z kajuty złamani na duchu i zrozpaczeni rodzice dziecka. Ojciec niepewnym chwiejnym krokiem, trzymając się ścian kajut posuwał się wolno, jakby z obawą naprzód. Matka podtrzymywana przez jedną z pielęgniarek wlokła się ociężale. — Obojgu widać nie mogło się w głowie pomieścić, że ich ukochane dziecię nie spocznie na świętej ziemi, lecz przypadnie gdzieś bez śladu w głębinach niezmiernego oceanu.

Zrobiła się dziwna jakaś cisza. Kapitan okrętu ujął już w rękę łopatę drewnianą, nabrał trochę piasku i posypał nim trumnę. Przemówił coś pewnym twardym głosem, jakby rodzaj modlitwy. Czekający widać na ten moment marynarze, zawinęli szybko trumienkę do nieprzemakalnego płótna, obciążyli ją u nóg i przy głowie kawałkami węgla, przymocowali przy końcach trumny po linie, a następnie powoli spuścili ten bezkształtny balast do morza.

Kiedy po chwili spoglądaliśmy przez barjerę na morze z trumienki nie było już ani śladu.





ROZDZIAŁ XXVI.

U brzegów Europy. W porcie Kirchwald. Kontrola policyjna i cłowa. Pożądany kieliszek „whiskey“. Niemiec za fałszywym paszportem.

Dwa pełne dni jechaliśmy jeszcze do Europy. Morze, jakkolwiek nie było wzburzone, to jednak bardzo niespokojne i falowało tak silnie i wysoko, że bałwany dochodziły do wysokości pokładu, a nierzadko przetrzucały wodę przez pokład. Zimno i chłodno było całymi dniami. Słońca ani śladu. Rzadko tylko rozjaśniało się chwilami ołowiane niebo. Okręt kołysał się coraz silniej i ja, który całą drogę z Azji do Ameryki, a potem z Ameryki prawie do Europy odbyłem bez choroby morskiej, — teraz coraz częściej zaczynałem odczuwać nudności i silny zawrót głowy. Ile razy zwłaszcza po obiedzie wyszedłem na pokład, zawsze co prędzej musiałem wracać do kabiny i położyć się na łóżku, aby uniknąć dalszych nieprzyjemnych następstw.

Wskutek tego coraz częściej przesiadywałem w kajucie, leżąc na swym wężkiem pościaniu. Słaba lampka elektryczna dawała tak mało światła, że nie mogłem

nawet czytać, to też czas dłużył mi się strasznie. Ta samotność, brak zajęcia doprowadzały mnie do rozpacz; to też jak wszyscy, a może nawet i więcej jak inni, wyczekiwałem przybicia do lądu, jak czegoś równającego się wyzwoleniu.

I jakkolwiek wiedziałem, co mnie czeka z chwilą przyjazdu do Anglii to jednak wolałem już to, aniżeli takie marne życie, jak zwłaszcza w dniach ostatnich równające się więzieniu.

Ósmego dnia od chwili wyjazdu z Ameryki, przeciało jak echo po okręcie słowo: ląd! Rzeczywiście zaczęliśmy się zbliżać do wybrzeży Szkocji, a w kilka godzin później wjeżdżaliśmy już do zatoki portu Kirchwald.

Prowadził nas mały tender służbowy wskazując miejsce gdzie mamy zapuścić kotwicę. Pomiędzy dwoma tamami, jakby twierdzami broniącymi wstępu do zatoki, przy której kręciły się stale dzień i noc podwodne łodzie angielskie — wjechaliśmy do portu. Przepływamy obok całego szeregu najrozmaitszych okrętów i ostatecznie zarzucamy kotwicę. Obok nas stoją okręty amerykańskie, szwedzkie, francuskie, rosyjskie, chińskie, słowem z całego świata.

Ranek tego dnia był nadzwyczaj zimny, pochmurny, wietrzny. — Stada krzykliwych mew, kwilących zupełnie jak małe dzieci, unosiły się nad okrętem. — Czeptały one na odpadki wyrzucane z okrętu, na które z wrzaskiem i krzykiem rzucały się. Jakiś nurek kaczka kręci się pomiędzy mewami sam jeden jak palec, a że jest koloru czarnego, przeto odbija od mew, jak szara gęś od stada. Nie robi ona sobie jednak nic z tego

i nurkując wytrwale raz za razem znika na kilka minut w głębinach morskich, aby następnie znowu wypłynąć i ukazać się w stronie, w której najmniej można się było spodziewać.

Wszystko co tylko było na okręcie wyszło na pokład i przygląda się ciekawie otoczeniu.

Kirchwald zalicza się do wielkich portów. Samego miasta jednak z portu nie widać i trzeba łodzią okrętową jechać conajmniej pół godziny jeszcze do wybrzeża. Na razie czekamy na rewizję i kontrolę paszportów, która ma się odbyć za dwie godziny. — Rzeczywiście około 10-ej rano podjeżdżają ku nam dwa tendry. — Z jednego z nich wysiada komisja sanitarna, z drugiego komisja policyjna morska i celna.

Niedługo potem podróżni musieli się zebrać w swoich pokojach jadalnych I-ej, II-ej i III-ej klasy. Wszedłszy do pokoju jadalnego II-ej klasy zastałem tam już masę podróżnych, przy stole zaś urzędował ubrany po cywilnemu komisarz policji angielskiej. Trzymał on w ręce listę okrętową jadących podróżnych i sprawdzał w niej ilość pasażerów z liczbą gości notowanych w papierach okrętowych.

W kilka minut potem rozpoczęła się kontrola paszportowa. — Poszczególni podróżni podchodzili z paszportami do komisarza policji, siedzącego za stołem, a on kontrolował ich papiery legitymacyjne zadawał różne pytania i robił sobie notatki na liście okrętowej pasażerów. — Kontrola osób, które należały do państw neutralnych odbywała się bardzo prędko, ot jak prosta formalność. Ostrą natomiast była kontrola osób poszczególnych państw wojujących, a najostrzejszą może kon-

trola poddanych niemieckich, którzy wracali do Niemiec.

Przysła w końcu kolej i na mnie. Zbliżyłem się do komisarza i podałem swój paszport. — Jakkolwiek starałem się zapanować nad sobą, zachować zimną krew i przytomność umysłu, to jednak byłem tak zdenerwowany, że chwilami nie mogłem skupić swoich myśli. Miał to być bowiem ostatni mój egzamin podczas ucieczki, ostatnie przewyciężenie trudności, po przejściu których albo dostanę się szczęśliwie do kraju, albo też mogę się znowu znaleźć w niewoli angielskiej.

Usiadłem przy stole naprzeciwko komisarza policji. Zapytał mnie o nazwisko. Wskutek zdenerwowania w pierwszej chwili nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć jak się nazywam. Powodem tego było może także i to, że podczas swojej ucieczki miałem już tyle nazwisk i paszportów cudzych, że obecnie wszystko mi się to pomieszało w głowie i wszystkie nazwiska oraz paszporty przychodziły mi na myśl, tylko nie to nazwisko, pod którym obecnie jechałem. — Czuję, że ziemia usuwa mi się z pod nóg, że stać się może coś strasznego nieoczekiwanego.

Tymczasem urzędnik policji powtórzył drugi raz pytanie: jakie jest pańskie nazwisko.

Wysilał wszystkie myśli, skupiam całą siłę woli i w końcu jak strzał karabinowy wypada mi z ust słowo:
— Andrzej Rozum!

Co za ironja była w tej chwili w tem jednym słowie, lecz nie zastanawiałem się nad tem. Na razie bowiem byłem uratowany. Następnie komisarz zapytał: czem jestem, skąd dokąd jadę, gdzie w którym roku

urodzony? Odpowiadałem już swobodnie: golarz z zawodu, 8 lat pracowałem w Ameryce, obecnie wracam z powrotem do Petersburga.

Tu muszę wyjaśnić, że wyjeżdżając z Ameryki zakupiłem bilet w kompanji okrętowej wprost z Nowego Yorku do Petersburga dlatego, że inaczej nie mógłbym być przejechać przez Anglję. — Mając bowiem bilet do Petersburga mogłem się przed komisarzem policji tłómaczyć, że wracam do kraju, aby wstąpić do armji rosyjskiej. — Gdybym zaś był miał bilet tylko do Chrystyanji lub Kopenhagi, w takim razie groziło mi przytrzymanie w Anglji i przydzielenie do wojska rosyjskiego, o ileby nie było się wydało, że jestem oficerem austriackim.

W końcu zapytał się mnie komisarz o numer mojej kabiny, zanotował go sobie i kazał zejść na dół do kajuty, gdzie za chwilę miała się odbyć rewizja moich bagaży i podręcznych pakunków.

Kiedy zeszedłem pod pokład zastałem tam już kilku marynarzy z podoficerami na czele, którzy chodząc od kabiny do kabiny przeprowadzali szczegółową rewizję bagaży podróżnych jak również i kajut. Kontrola odbywała się w ten sposób, że okręt cały podzielony był na rejony; do każdego z nich wchodziło czterech marynarzy z podoficerem i zaczęli urzędowanie.

Trwało to dosyć długo, przeglądali nietylko rzeczy podręczne podróżnego, ale także i całą kajutę, łóżko, materace. — Nawet pod łózkami, za szafą szukano przy pomocy światła lamp elektrycznych, czy nie ma przypadkiem czego ukrytego.

W końcu weszli i do mojej kajuty. Sierżant i mary-

narz. Pierwszy stanął przy drzwiach, drugi zaś zaczął przeszukiwać walizy z bielizną i ubraniami. Jakkolwiek nie miałem nic podejrzanego przy sobie, to jednak pewne drobnostki z Chin, Japonji i td. mogły mnie zdradzić lub wzbudzić podejrzenie kontroli.

Tymczasem marynarz brał kawałek za kawałkiem, przeglądał skrupulatnie, powoli i obojętnie, podczas gdy na mnie cierpnęła skóra. Udawałem jednak spokojnego i obojętnego, żując tylko na sposób amerykański gumę w zębach (w Ameryce bowiem sprzedają gumę zaprawianą cukrem i miętą, którą żuje się w ustach całemi godzinami, a smak tej gumy jest bardzo przyjemny). — Wtem wpadło w rękę kontrolującego pudełko z gumą amerykańską do żucia.

Co to jest — zapytał angielski marynarz. Wyjaśniam krótko i równocześnie pytam sierżanta, czy spróbuje? Ten jednak odpowiada grzecznie: „nie“!

Marynarz szuka dalej i natrafia na flaszkę z płynem. Pyta znowu: co to jest? Whiskey — odpowiadam krótko i znów zapytuję sierżanta, czy skosztuje?

— O! wykrzyknął, — to biorę zawsze. Dzisiaj nawet jest zimno, mówi z uśmiechem sierżant i pociąga potężny haust wódki, a równocześnie pokazując w stronę marynarza daje mi do zrozumienia, że nie zawadziłoby dać i tamtemu trochę.

— Ależ i owszem — mówię ucieszony i już podaję flaszkę marynarzowi. — Wolę przecież dać whiskey i mieć spokój jak najprędzej, aniżeli stać jak na szpilkach, denerwować się i w końcu jeszcze wejść w jaką kabałę. — Wszak na to miałem przygotowane whiskey papierosy i cygara.

Ze dalsza rewizja nie była już tak ostra, to rzecz jasna. Skończyło się na tem że z anglikiem rozstałem się w jaknajlepszej zgodzie, życząc sobie wzajemnie: „Good bye“.

Tak szła powoli kontrola od kabiny do kabiny, a ci których miała dopiero odwiedzić, mieli miny nie bardzo wesołe. — W jakiś czas potem wybiła godzina 12-ta w południe, poczem poszliśmy na obiad, a kontrola wróciła na ląd.

Atoli już podczas obiadu zapowiedział starszy boy, że o 3-ej popołudniu będzie w dalszym ciągu odbywać się rewizja kufrów i bagaży załadowanych pod pokładem.

I rzeczywiście zaraz po obiedzie zaczęły dwa krany okrętowe spiesźnie, wytrwale pracować, wyrzucając z wnętrza okrętu wszystkie kufry i tłumoki podróżnych. Zrobił się jeden wielki stos kufrów i pakunków, do których trudno się było dostać.

Okolo 3-ej popołudniu zajęchały tendry i wysadziły na pokład naszego okrętu kilku urzędników cłowych i czterdziestu marynarzy celnych, pomiędzy którymi było wielu takich, którzy już rano odbywali rewizję. Z innego tendru weszła na nasz okręt komisja policyjna.

Zaczęła się rewizja drobnostkowa, szczegółowa. Każdy podróżny musiał otworzyć wszystkie swoje kufry, pakunki, bagaże. Przewracano w nich rzeczy do góry nogami, starając się jakby rozmyślnie zrobić jaknajwięcej nieporządku, zamieszania, nie troszcząc się zupełnie o to, kto będzie to wszystko później składał i porządkował.

Przypatrywałem się temu z bijącym sercem z po-

kładu II-ej klasy, truchlejąc na samą myśl, co teraz będzie ze mną? Wszak w kufrze miałem swoje pamiątki z Chin, Japonji i Ameryki, które jakby znaczyły ślad mojej ucieczki. Te rzeczy zdradzą mnie teraz napewne. Zakłopotany i zdenerwowany stałem na pokładzie obserwując z góry gorączkową pracę kontroli.

Konfiskowano masę rzeczy, zwłaszcza skóry, gumę i korespondencje. Z boku na pokładzie III-ej klasy stali urzędnicy cłowi, do których marynarze zwracali się co chwilę, prosząc o rozstrzygnięcie w wypadkach niepewnych i wątpliwych, czy daną rzecz skonfiskować, czy też pozostawić podróżnemu.

Początkowo chciałem, by kufer mój przeglądnęli ci sami marynarze, którzy rano pili whiskey w mojej kajucie, lecz znajdowali się oni daleko od mojego kufra, a trudno ich było znowu ciągnąć wprost w stronę moich rzeczy. Obserwując jednak z góry marynarzy zauważyłem wkrótce, że nie wszyscy są tak sumienni i gorliwi w urzędowaniu, jak się to w pierwszej chwili wydawało. Niektórzy bardzo skrupulatnie przepatrywali zawartość kufrow, podczas gdy inni bardzo prędko załatwiali się z rewizją. — Wziąwszy więc jednego z takich „pobieżników“ na oko, zeszedłem co prędzej po schodach na dół i rozpakowałem szybko swoje bagaże. Tymczasem jednak jak na złość zaczęli się koło mnie kręcić sami celnicy służbiści. Już byłem w strachu, by nie wpaść w ręce którego z nich, kiedy nagle spostrzegłem niedaleko młodego marynarza celnika, nie grzeszącego zbyt gwałtownością w służbie. — Poprosiłem go więc co prędzej, by skontrolował moje rzeczy.

Podszedł zaraz i zaczął przeglądać moje pakunki.

Pomiędzy bielizną miałem zapakowane różne pamiątki z ucieczki. Celnik z początku przepatrywał to wszystko dokładnie i skrupulatnie, ale widać wnet sprzykrzyła mu się ta czynność, bo naraz biorąc tylko poszczególne rzeczy do ręki zapytywał krótko: co to jest?

I jeżeli mu zaraz odpowiedziałem: obraz, buty, tytoń, fajka, kołnierzyki i td. to więcej na tę rzecz nie zwracał uwagę, tylko brał następny przedmiot. — Jeżeli zaś tylko chwilę się zawahałem, wtenczas badał sam szczegółowo wszystko.

W ten sposób przeglądaliśmy cały kufer i kosz, poczem celnik na znak odbytej rewizji, nalepił znaczki kontrolne i opatrzył je stemplem. — Odetchnąłem! Spakowałem poprzewracane bagaże i zadowolony wróciłem na górny pokład.

Było już dobrze popołudniu. Niebo wypogodziło się zupełnie, słońce świeciło jasno, choć nie dawało prawie żadnego ciepła. — Nawet wiatr, który dał rano zażwcięcie, sfolgował teraz nieco i chwilami ustawał zupełnie. — Orkiestra okrętowa jak zawsze popołudniu tak i dzisiaj przygrywała wesoło i skocznie, ignorując zupełnie odbywającą się obok rewizję. — Ucieszony, że wszystko poszło pomyślnie stałem na górnym pokładzie i oparty o barjerę żując gumę przyglądałem się dalszej kontroli.

Naraz spostrzegłem na dole w rogu pokładu, jak komisarz policji, który rano przeprowadzał u nas kontrolę paszportów w towarzystwie jeszcze drugiego cywilnego pana rozmawia żywo z jednym z podróżnych III-ej klasy. Robiło to wrażenie, jakby go badał, wypytywał, indagował. Następnie zażądał okazania pa-

szportu, zaczął go przeglądać na nowo, wypytywać się, zaglądać do kieszeni ubrania wspomnianego podróżnego, skąd zabrał całą korespondencję, zapytał o kufer, począł badać, czy tenże nie ma dna podwójnego, a w końcu kazał gościowi się zbierać, wsiadać na tender i jechać z sobą do portu. — Podróżny bronił się i sprzeciwiał temu, gestykując żywo, zrobił nawet awanturę, ale wszystko było napróżno. — Kazano mu wsiadać, jechać i kwita.

Zajście to zwróciło ogólną uwagę na okręcie. Zaczęto się dopytywać, co się stało? I niedługo potem rozeszła się tajemnicza wieść po pokładzie, że policja angielska przyaresztowała jakiegoś Niemca, jadącego za fałszywym paszportem z Ameryki do Europy.

Serce biło mi jak młotem gdy widziałem i słyszałem to wszystko, a jednak musiałem udawać obojętnego i spokojnego i żuć dalej gumę, jakgdyby mnie to wszystko nic nie obchodziło. — Obok mnie zaś stały obie Niemki, które z przestachem od czasu do czasu spoglądały na mnie.

Dnia tego poszedłem spać z uczuciem pewnej ulgi, że ominąłem szczęśliwie jak się zdaje ostatnią „Scyllę i Charybdę“ kontent że wszystko dla mnie przeszło szczęśliwie i że na razie nic mi nie grozi. — Zawsze jest to przyjemniej patrzeć jak drugiego wsadzają do kozy, aniżeli samemu iść pod klucz!

Jak się później okazało, powyższe aresztowanie spowodował detektyw okrętowy w „zielonkowatym ubraniu“, który zadowolony chwalił się przed wszystkimi, że przecież przyłapał niemieckiego oficera jadącego za fałszywym paszportem.

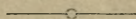
Ja zaś nie miałem najmniejszej potrzeby ani ochoty wyprowadzać go z błędu.

Na drugi dzień, mimo odbytej rewizji, okręt nie ruszał się z miejsca. Stał spokojnie jakby śpiący odpoczywając po długiej podróży. — Dzień był pochmurny, zimny, to też zadowoleni zasiedliśmy w południe do gorącego obiadu. — Ale nie skończyliśmy go jeszcze zupełnie, kiedy półgłosem rozeszła się od stołu do stołu wiadomość, że kontrola przybyła znowu na okręt i w jednej z kajut przeprowadza gorączkową rewizję. — Wszystko zaniepokojone (gdyż na razie nie wiadomem było u kogo jest rewizja) zerwało się coprędzej od stołu, wybiegło na pokład, a następnie rozeszło się po pokładach.

I rzeczywiście pokazało się, że jeszcze raz przeprowadzano szczegółową rewizję w jednej z kabin II-jej klasy, a co gorsza w sąsiedztwie obok mnie. — Wezwano ślusarza okrętowego, który odbił umywalnie, całą podłogę, rozpruł materace i o dziwo! wszędzie znalaziono masę gumy i kauczuku. Naturalnie cały ten zapas przedstawiający wartość do trzech tysięcy koron duńskich skonfiskowano. Była to kontrabanda prowadzona do Niemiec.

Następnie zrewidowano kabinę eleganckiej damy i jeszcze jedną obok mnie, ja zaś nie wiedząc co to wszystko znaczy, czekałem tylko zaniepokojony kiedy przyjdzie kolej na mnie.

Byli to więc zawodowi kontrabandziści gumy, cała zorganizowana szajka. Ktoś z okrętu widocznie doniósł o tem do portu i wskazał przemytników.





ROZDZIAŁ XXVII.

**U brzegów Skandynawji. Koniec mego ukrywania się.
Kopenhaga. Warnemünde. Wiedeń. Kraków. Nareszcie
w domu na łonie rodziny.**

Cztery dni czekaliśmy nadejścia telegramu z Londynu zezwalającego na odjazd.

Ostatecznie czwartego dnia wieczorem okręt urządził bankiet dla reprezentacji portowej z muzyką i tańcami, a równocześnie rozeszła się po okręcie pogłoska, że na drugi dzień rano ruszymy z pewnością w dalszą drogę.

I rzeczywiście na drugi dzień rano ruszyliśmy z portu. — Wyjechawszy poza przystań, spotykamy po drodze okręty pasażerskie państw neutralnych jadące z Europy do Ameryki. — Tak u nas jak i na mijającym nas okręcie wszystko wyległo na pokład i powiewając chustkami pozdrowiało się w przejeździe z zapalem.

Drugiego dnia rano zaczęliśmy się zbliżać do wybrzeży Skandynawji; morze było bardzo niespokojne i falowało wysoko. Okręt stanął, a na małej szalupie podjechał do nas pilot okrętowy. — W szerokim gumowym płaszczu, ciężkich butach i kapeluszu z szerokim rondem z przodu podwinieciem, powoli, ciężko, wygramolił się po sznurowej drabinie na pokład naszego statku. — Po chwili objął ster okrętu, i powoli ruszyliśmy naprzód, mając ciągle po lewej stronie rafy i fiordy.

Tymczasem okręt ciągnął za sobą, wciąż jeszcze przyczepioną na linie szalupę, która przywiozła pilota. Siedzący w niej marynarz popuszczając powoli linę łączącą go z okrętem, odczepił się od nas ostrożnie. — Równocześnie chwycił za ster i nastawiwszy go zręcznie począł przy pomocy odpowiednio ustawionego żagla oddalać się od nas coraz bardziej, kiwając nam tylko wesoło ręką na pożegnanie. — Morze było tak niespokojne i tworzyło tak wysokie bałwany, że chwilami szalupa jak drobna łupina orzecha ginęła gdzieś w otchłani fal, ukazując się jednak po chwili znowu zwycięzko na górze, ale zawsze coraz to dalej od nas. Za chwilę szalupa była już daleko na horyzoncie, pędzona silnym wiatrem w stronę wybrzeża.

Dnia tego popołudniu o 4-ej przybyliśmy szczęśliwie do Chrystyanji. Deszcz lał jak z cebra. Kilku pasażerów wysiadło z okrętu ale za to do trzydziestu gości przybyło nam na pokład. Po godzinnem zatrzymaniu ruszamy dalej.

Tego tylko czekałem. Wiedziałem, że teraz już jestem bezpieczny, że na wodach neutralnych norweg-

skich na statku duńskim nie mi się stać nie może. Pierwszy raz odetchnąłem pełną piersią i przeszedłszy się po pokładzie stanąłem pod oknem kabiny gościnnej. Były tam obie niemki. Chciałem im podziękować za ostrzeżenie mnie przed detektywem okrętowym angielskim.

Przecież się skończyło, — odezwałem się wesoło. — Osiem miesięcy męki, zmartwień i niepokoju, minęło w końcu szczęśliwie i dziś dopiero pierwszy raz mogę się przyznać otwarcie kto jestem. Rozmowa potoczyła się wesoło.

Wieczorem przy kolacji siedzieliśmy już razem rozmawiając o Chinach, Pekinie, Tientsinie, Shang-haju Ameryce i td.

Po kolacji jak zwykle był koncert muzyki, na który przyszły także i inne niemki jadące z Japonji w I-ej klasie. — Te bowiem w międzyczasie dowiedziawszy się co zaszło, przyszły oglądać mnie ciekawie.

Rozmawialiśmy tak przy stole już czas dłuższy, słuchając dźwięków muzyki; — ja zapomniałem wogóle o tem, w jakiej roli występuję, — gdy naraz ucichł huk pracujących maszyn okrętowych, statek zaczął zwalniać biegu i po chwili stanął nieruchomo na miejscu. Strach ogarnął wszystkich, mnie zaś najwięcej.

Co się stało? czy okręt się uszkodził, czy najechaliśmy na rafę, mieliznę, lub minę, czy stał się jaki inny wypadek?

Ktoś się odzywa: okręt zatrzymano! Lecz kto zatrzymał, dlaczego, pytają wszyscy niespokojnie.

Masz tam znowu, myślę sobie. Pewnie zawczasu zdradziłem się z tem kto jestem, detektyw nadał de-

peszę telegrafem bez drutu do okrętu angielskiego i teraz statek albo łódź podwodna ściga mnie i chce przyaresztować.

A niech to licho weźmie! pomyślałem sobie i coperędziej wyszedłem z jadalni chcąc się zamieszać w ciemnościach w ścisku na pokładzie.

Tu ciemno, choć oko wykol. Zamieszanie tylko i krzyki dochodzą ze wszystkich stron. Zdała na morzu widnieje małe światełko. To łódź podwodna podjeżdża szybko ku nam. Z łodzi dochodzą ciągle krzyki i jakby jakieś zapytania, których nie rozumiem. Z okrętu coś odpowiadają.

Co jest, co to wszystko znaczy? — pytam niespokojnie jednego z marynarzy.

Wkońcu wyjaśniają krótko, że okręt nasz wjeżdżając na wody duńskie nie sygnalizował swej nazwy i dlatego straż morska go zatrzymała.

Tylko tyle — to dobrze! pomyślałem sobie i wesoło wróciłem z powrotem na dół do sali jadalnej.

Ruszyliśmy dalej. Miałem wprawdzie wsiąść w nocy w Chrystyanji, ale ponieważ wszystko poszło dobrze i szczęśliwie, więc pojechałem dalej tym samym okrętem do Kopenhagi. — Na drugi dzień rano jadąc ciągle między fiordami, poczęliśmy się zbliżać powoli do stolicy Danii. Około godziny 7-ej rano okręt tak zwolnił biegu, że chwilami zdawało się, jakby stał na miejscu. Zapytywani o powód oficerowie nie dawali żadnej odpowiedzi i dopiero po godzinnej jeździe, kiedy okręt ruszył szybkim tempem wyjaśniono nam, że właśnie jechaliśmy przez pole min. Trzeba było więc uważać,

gdyż najmniejsza nieostrożność, najmniejsze zboczenie mogło spowodować katastrofę.

Około 8-ej rano zaczęliśmy się zbliżać do portu, a niedługo potem wjeżdżać wolno do przystani. — Wszystko co było na okręcie z wyjątkiem maszynistów wyszło na pokład. Muzyka gra wesoło, a jakkolwiek deszcz rosił bez przerwy, to jednak uciecha i zadowolenie jaśnieje na twarzach wszystkich. — Na molo w przystani setki ludzi czeka na przyjazd okrętu, witając zdaleka przybywających krewnych, znajomych, przyjaciół. Okrzykom, wiwatom i machaniem chusteczkami nie było końca.

Byłem w dobrem usposobieniu, choć przykro mi było, że w tym tłumie oczekujących nikt mnie nie powitał.

Kazawszy zabrać boyowi swoje bagaże, wysiadłem na ląd i udałem się wprost do poselstwa austriackiego.

Tu zaczęło się zaraz od spisywania ze mną protokołu, poczem oświadczone mi, że na razie dalej jechać nie mogę i muszę czekać aż przyjdzie pozwolenie z Berlina i Wiednia zezwalające mi na przejazd przez Niemcy do Austrii. Zglupiałem! Więc poto uciekałem z niewoli, przekradałem się przez tyle granic, aby w końcu dobiwszy szczęśliwie do granicy swego państwa nie módz się do niego dostać.

Nie było jednak rady. Z początku byłem tem wszystkiem bardzo rozgoryczony, ale później pogodziłem się z losem, gdyż czas wcale przyjemnie upływał mi w Kopenhadze.

Miasto miljonowe, starożytne, bogate i piękne. Okazałe budynki, wspaniałe muzea, duże parki,

z komfortem urządzone hotele. — Uwagę zwracają przede wszystkim na siebie setki stylowych pomników, których w żadnym mieście w tak wielkiej ilości nie widziałem. Dłuższy czas poświęciłem na zwiedzenie muzeum Torwaldsena.

Nie bez trudu udaje mi się zdobyć jakiś pokój w hotelu. — Drożyzna spowodowana wojną i tu powoli daje się odczuwać. Mnóstwo obcych, zwłaszcza dezertarów wojskowych po największej części ludzi bogatych, którzy ze wszystkich państw wojujących tu się schronili, spotyka się na każdym kroku. Wskutek tego przechodząc ulicą lub siedząc w restauracji słyszy się różne języki. Istna wieża Babel.

Po kilku dniach pobytu, kiedy ostatecznie nadszedł telegram z Wiednia, opuściłem Kopenhagę i udałem się przez Berlin do Austrii. — Przyjechawszy na granicę niemiecką do Warnemünde kazałem żołnierzowi pruskiemu zameldować mnie u komendanta straży pogranicznej.

Wkrótce wyszedł wysoki, sztywny pruski oficer gwardji, a po przedstawieniu się wzajemnem, zapytał o moje bagaże, kazał je natychmiast bez rewizji ostemplować i zanieść do pociągu, odchodzącego w stronę Berlina. — Trzeciego dnia wieczorem przyjechałem do Wiednia, gdzie zameldowałem się w Ministerstwie wojny.

Znowu nowe protokoły, nowe sprawozdania z uciezki, poczem dopiero pozwolono mi odjechać do pułku.

Przybywszy do swego pułku 57 pp. uzyskałem trzechmiesięczny urlop dla wypoczynku, a w kilka dni

potem znalazłem się już ostatecznie w swoim ukochanym Krakowie, z którego przed dwoma laty wyszedłem na wojnę.

Była godzina 9-ta wieczór kiedy zajechałem na stację. Serce uderzyło silniej pełne niepokoju i radości. Szybko opuszczam peron i wychodzę przed dworzec. I teraz dopiero poczułem się naprawdę szczęśliwym i zadowolonym, kiedy idąc ulicami znalazłem się znowu w mojem ukochanem mieście. Z nieopisaną radością witam mury bramy Florjańskiej, kościoła Marjackiego i Sukiennic.

Był to mglisty wieczór listopadowy. Patrząc na te umiłowane miejsca nie chciało mi się wierzyć, że ja w nich rzeczywiście jestem, że po tylu przygodach, trudach i niebezpieczeństwach, znowu chodzę po swoim bruku krakowskim.

Zatrzymawszy się dzień w Krakowie wyjechałem do rodziny, do Nowego Sącza. — Tutaj radości, uciechy i powitaniom nie było końca. To czego najwięcej pragnąłem: aby zastać ojca staruszką przy życiu, siostrę i trzech braci, — którzy od początku wojny byli bez przerwy na froncie — zdrowych, spełniło się szczęśliwie. Bóg wysłuchał mojej gorącej modlitwy i dozwolił abyśmy się znowu w niedługim czasie znaleźli razem w dobrem zdrowiu w nieuszczuplonem rodzinnem gronie.



Czyż mogłem kiedykolwiek marzyć nawet o tem, że gorące pragnienia wczesnej młodości spełnią mi się w tak wyjątkowych nieoczekiwanych warunkach?

Podróż naokoło świata odbyłem tylko dzięki temu, że wybuchła wojna światowa, że wziąłem w niej udział jako oficer armji austriackiej, że w odwrocie z pod Lublina we wrześniu 1914 roku zostałem ciężko ranny i w następstwie tego dostałem się do niewoli rosyjskiej. Dziwne są drogi Opatrzności!

K O N I E C.

W Bregencji, w szpitalu 29 kwietnia 1918.

乙. 674

(175)



GDAŃSKI
ANTYKWARIAT NAUKOWY

A. Krafczyński
Gdańsk 6, Marchlewskiego 18



7736/
1